



ANITA
SHREVE

SKRADZIONY CZAS

Przełożyła Katarzyna Kasterka



TLR

Naszym ojcom, lotnikom czasu wojny

TLR

Od autora

Powieść ta jest w całości fikcją literacką, nie powstałaby jednak bez pomocy następujących osób: Maralyse Martin Haward, Andre Lepina i Rosy Guyaux, którzy uraczyli mnie epizodami i anegdotami z Belgii okresu wojennego; Johna Risinga, głównego pilota Collings Foundation, który sprawdził poprawność opisów technicznych; George'a Cole'a, który zabierał mnie na podniebne wyprawy; oraz, w szczególności, Mable Osborne, która dostarczyła mi wielu wątków wykorzystanych w tej opowieści. Chciałabym również podziękować mojemu wydawcy Michaelowi Piet-schowi, a także mojej agentce Virginii Barber.

Na koniec parę słów na temat belgijskich nazwisk. Używałam nazwisk powszechnie występujących na obszarze południowej Belgii. Powieść jest wytworem wyobraźni, toteż zupełnie przypadkowo występujące w niej postacie noszą wymyślone nazwiska. Wspominam o tym, ponieważ okres, w którym rozgrywa się akcja powieści, wciąż jeszcze stanowi drażliwy temat, a ja wykorzystując określone nazwiska, nie zamierzałam ani gloryfikować żadnych belgijskich rodzin, ani rzucać cienia na ich reputację.

10 listopada 1993 roku

Serdecznie zapraszamy na
UROCZYSTE ODSŁONIĘCIE POMNIKA KU CZCI CZŁONKÓW ZAŁOGI WASZEJ LATAJĄCEJ FORTECY B-17

W czwartek 30 grudnia nasze stowarzyszenie organizuje uroczyste odsłonięcie pomnika upamiętniającego samolot, który spadł na wzgórze w pobliżu naszego miasteczka 30 grudnia 1943 roku.

Pomnik został wykonany z marmuru wydobytego w tutejszych kamieniołomach i opatrzony poniższą inskrypcją:

*

Homage à nos alliés

Le 30 décembre 1943 vers midi s'écrasa a 500 m d'ici la forteresse volante américaine Woman's Home Companion Equipage

Pilote: Lt. T. Brice

Co-pilote: Lt. W. Case

Navigateur: Lt. E. Baker

Bombardier: Lt. N. Shulman

Ingénieur: J. McNulty

Ass. Ingénieur: E. Rees

Radio: G. Callahan

Ass. Radio: V. Tripp

Mitrailleur: L. Ekberg

Mitrailleur: P. Warren

Delahaut, le 30 XII 1993

*Mamy zaszczyt zaprosić Pana wraz z Małżonką na naszą uroczystość.
Z największą przyjemnością będziemy państwa gościć w Delahaut, za-
pewnimy nocleg i wszelkie wygody.*

*Jeżeli pozostaje Pan nadal w kontakcie z innymi członkami załogi, pro-
simy ich powiadomić, że zapraszamy ich równie serdecznie. Gdyby ze-
chciał Pan udostępnić nam ich adres, natychmiast wyślemy oficjalne za-
proszenie.*

Z wyrazami szacunku

Jean Benoit

30 GRUDNIA 1943

Pilot zatrzymał się na skraju dębowego lasu - mrocznego, choć dopiero dochodziło południe. Oparł się o drzewo w nadziei, że zdoła ukryć się w jego cieniu, przynajmniej przez chwilę. Pozostali już umknęli. On jako ostatni opuszczał pastwisko. Czekał, póki inni nie znikną, jeden po drugim – niewyraźne kształty błyskawicznie wchłaniane przez drzewa.

Wszyscy zdołali zbiec poza, oczywiście, tymi dwoma leżącymi na ziemi - jednym martwym, drugim umierającym. Teraz już jednak nie dobiegały go pełne paniki pytania strzelca pokładowego. Uciszył go zimowy chłód i rany, choć niewykluczone, że to morfina zaaplikowana skostniałymi palcami Teda złagodziła najgorsze. Ciągnąc za sobą nogę zranioną w pogruchotanym bombowcu, Ted dotarł do strzelca, kierując się jego jękami. Wyłuskał ранego mężczyznę z płataniny trzymającego go w kurczowym uścisku metalu i położył na stwardniałym gruncie, wciąż oszronionym mimo południowej godziny. Nisko, przez podbrzusze młodego mężczyzny biegła głęboka rana. Zbyt nisko - Ted spostrzegł to od razu. Strzelec głośno krzyczał, zadawał pytania, domagał się natychmiastowych odpowiedzi, ale Ted patrzył w inną stronę, metodycznie przygotowywał zastrzyk i szeptał słowa pokrzepienia, które natychmiast porywał wiatr. Strzelec wodził nerwowo tłustymi od smaru palcami po brakujących częściach ciała. Pilot i nawigator złapali go za ramiona, mocno przycisnęli do ziemi.

Być może strzelec już teraz nie żyje, pomyślał Ted, stojąc na skraju lasu. Wokół ciała było zbyt wiele krwi tryskającej gorącym strumieniem, zbierającej się w małe jeziorko, szybko krzepnące, zamarzające na ściętej szronem ziemi. Drugi leżący mężczyzna, także strzelec pokładowy, był bez wątpienia martwy, gdy zaciągali go w pobliże ранego, mimo że nie dostrzegli na jego ciele najdrobniejszego draśnięcia.

Ted powoli odwrócił głowę, wciągnął w płuca głęboki haust powietrza. Kiedy był jeszcze chłopcem, polował na wiewiórki i wtedy też nie-

kiedy chodził do lasu w takie dni jak ten – dni jakby wyprane z koloru, gdy niebo zdawało się oleiste i szare, a palce kostniały mu na strzelbie kaliber 22.

Samolot leżał na zamarzniętym polu, przeorany spopieloną blizną, najwyżej czterdzieści stóp od lasu. Żywy stwór zestrzelony na ziemię, teraz już obezwładniony na zawsze. Hałaśliwy, wibrujący gigant obscenicznie rozpostarty na pastwisku.

Ted powinien podpalić wrak. Tak nakazywały instrukcje. Ale nie mógł się na to zdobyć, bo płomienie mogłyby pochłonąć wciąż żywego człowieka, toteż wraz z nawigatorem wyciągnęli z samolotu wszystkie zapasy żywności i ułożyli, na podobieństwo katafalku, u boku strzelca, którego wcześniej owinęli spadochronem - białymi warstwami jedwabiu natychmiast rozkwitającymi plamami czerwieni.

Niedługo na pastwisku pojawią się ludzie. Bo przecież trudno nie spostrzec wielkiego samolotu spadającego z nieba. Ted nie miał pojęcia, gdzie wylądował - na ziemi francuskiej, belgijskiej czy może niemieckiej. Zapewne na niemieckiej, nawet całkiem prawdopodobne, że na niemieckiej.

A teraz musiał zaszyć się w lesie. Wciąż jednak się wahał, nie chciał zostawiać samolotu na pastwę losu. Miał wrażenie, że porzucenie go byłoby tym samym, co porzucenie kalekiego psa, skazanego na poćwiartowanie przez bandę obcych.

Najpierw zdemontują uzbrojenie, potem silniki, a na końcu każdy potencjalnie przydatny kawałek metalu, pozostawiając wypatroszone zwłoki - jedynie psie kości. - Metalowe kości. Samolot ogołocony przez sępy. Ale zobowiązania ma się wobec żyjących.

Ted mógł się wycofać z tej misji. Miał do tego prawo.

Wiedział, że to nie będzie beztronski spacer, że mają polecieć nad terytorium Niemiec, do Ludwigshafen, by zbombardować fabrykę chemiczną. Nie czuł się komfortowo bez Masona u boku, swojego stałego nawigatora, którego znalazł pijanego, leżącego przy angielskiej narzeczonej, w pewnym hotelowym pokoju w Cambridge. Kiedy tam wszedł, od razu uderzył go ostry zapach ginu. Na stole stała niemal całkiem opróż-

niona butelka. Mason spojrzał na Teda i wybuchnął śmiechem. I wówczas Ted pomyślał: „Muszę się wycofać z tej misji”. Nieobecność stałego nawigatora to zły omen. Razem wykonali jedenaście lotów bojowych, parę razy dostali się pod ostrzy ostrzała, ale nigdy nikt nie został poważnie ranny, nikt nigdy nie zginął. „Wycofaj się”, przekonywał samego siebie. Jednak o świcie, gdy blade zimowe światło rozblęskło nad lądowiskiem, a on spojrzał na swój samolot - nie mógł się na to zdecydować. Mason został zastąpiony kimś innym. Zdolnym facetem, ale całkiem Tedowi nieznanym. Dopiero kiedy razem przyszpilali ramiona strzelca do ziemi, spojrzeli sobie prosto w oczy.

Czy naprawdę brak jednego z członków załogi mógł zmienić na złe bieg losu, w taki sam sposób, jak błąd w doborze mieszanki paliwa - zbyt- nie jej wzbogacenie lub zubożenie - doprowadza do katastrofy? A może to niepokój wywołany nieobecnością stałego nawigatora sprawił, że Ted wahał się o sekundę za długo w sytuacji, gdy nie powinien się wahać wcale, lub że zadziałał zbyt szybko w chwili, gdy powinien się zawahać? Czy może zabobonna wiara w zły omen w jakiś niezrozumiały sposób zaważyła na jego ocenie sytuacji? Case, drugi pilot, miał rację. Powinni byli wodować na Kanale. Ale Ted nie mógł się na to zdobyć; nie ma co udawać, że było inaczej.

Pod jego stopami zachrzęściły gałązki. Ted spróbował stanąć, opierając się o szorstką korę. Wcześniej jakoś zdołał przeczołgać się tutaj mimo zranionej prawej nogi, by nie tkwić na otwartej przestrzeni. Teraz, gdy stanął, ostry ból powędrował w górę, aż do uda. Mocno objął pień drzewa, przywarł do niego czołem. Ból był tak wielki, że całą twarz zrosił mu nagle zimny pot. Szybko zgiął się wpół, opadł na zmrożoną ściółkę. Może powinien ten zastrzyk zachować dla siebie? Bał się jednak, że wpełźnie w gęstwinię drzew i tam zamarznie w narkotycznym śnie. Teraz wiedział, że musi ruszyć dalej, w głąb lasu.

Dziś był dzień jego urodzin. Właśnie skończył dwadzieścia dwa lata.

Ted zastanawiał się, gdzie się podział penis strzelca.

Odwrócił się, by jeszcze raz rzucić okiem na samolot, i wówczas zobaczył coś, czego nie zauważył wcześniej. Czołgając się w stronę lasu, zo-

stawił w zmarzniętej ziemi ślad – równie wyraźny i oczywisty, jak ścieżka wykopana łopata w śniegu. I w tym samym momencie usłyszał pierwsze, jeszcze odległe głosy. Obcy język. Znowu zaczął się czołgać, by co prędzej znaleźć się jak najdalej od pastwiska.

Jean dotarł na wzgórze przed Marcelem. Rzucił na bok rower, pierś rozsadzała mu niezwykle żar. Zaczerpnął chciwie haust lodowatego powietrza i wbił wzrok w samolot usadowiony na martwej trawie. Nigdy wcześniej nie widział takiej wielkiej maszyny. Nigdy. Olbrzymi samolot był w pewnym sensie przerażający, przynajmniej w tym miejscu. Jak taka niewiarygodna ilość metalu mogła w ogóle wzbić się w powietrze? Podchodził do bombowca z wielką ostrożnością, zastanawiając się przez cały czas, czy maszyna może jeszcze wybuchnąć. Słyszał kroki Marcela podążającego tuż za nim, dobiegał go jego ciężki oddech, przypominający dyszenie zziąjanego psa.

Jean podszedł bliżej do samolotu i zobaczył ciała dwóch mężczyzn. Obaj w skórzanych kaskach, jeden owinięty spadochronem. Białą jedwab znaczyła gorąca czerwień – był przesiąknięty krwią.

Jean odwrócił się gwałtownie i wrzasnął do Marcela:

- La Croix-Rouge, Marcel! Madame Dinant! La Croix-Rouge!

Marcel wahał się jedynie przez ułamek sekundy, a potem usłuchał polecenia Jeana, tym bardziej że nie był pewien, czy ma ochotę z bliska zobaczyć to, na co patrzył jego przyjaciel.

Gdy Marcel zniknął, Jean zaczął powoli zbliżać się do samolotu. Po raz pierwszy od chwili, gdy zobaczył, jak gigantyczna, dymiąca niespodzianka spada gwałtownie zza zasłony chmur, mógł równo i spokojnie oddychać. Zaczął też odczuwać dojmujący chłód - to pot pod swetrem gwałtownie się wyziębiał. Gdy wybiegł ze szkoły, by pognać na wzgórze, nawet nie przyszło mu do głowy zabrać płaszcz.

Dotarł do samolotu i spojrzał uważnie na ciała. Obaj lotnicy leżeli z zamkniętymi oczami, ale mężczyzna owinięty w spadochron wciąż jeszcze oddychał. Obok piętrzyły się puszki z żywnością, leżały też dwa brązowe płócienne worki.

Jean zaczął powoli okrążyć samolot.

Amerykańska maszyna - nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Bombowiec spoczywał na brzuchu, wryty w ziemię, powyginane śmigła zaklinowały się pod skrzydłami. Same skrzydła były nadzwyczaj długie. Ogon został rozszczepiony na połowę, a w kadłubie widniało mnóstwo dziur, niektóre wielkie jak okna. Znajdowały się tam też jakieś wymalowane znaki oraz biała pięcioramienna gwiazda.

Jean doszedł do dziobu samolotu. Może, pomyślał, w kokpicie wciąż znajdują się uwięzieni piloci, i przez moment zaczął fantazjować, że to on, Jean, ich stamtąd wyciągnie, ocali im życie. Przednia szyba była roztrzaskana odłamkami pocisku. Jean wdrapał się na skrzydło i zajrzał w głąb kabiny. Zobaczył jedynie poszarpany metal, mnóstwo szkła i rozbitą tablicę z przyrządami nawigacyjnymi. Próbował sobie wyobrazić siebie za sterami. Po chwili jednak zeskoczył ze skrzydła i okrążając dziób, przeszedł na drugą stronę bombowca. Poniżej kokpitu widniał dodatkowy emblemat - Jean nie mógł uwierzyć własnym oczom: że też coś podobnego mogło się znaleźć na samolocie! - a pod nim jakiś angielski napis, którego nie umiał przeczytać. Gdyby był z nim Marcel, na pewno zaczęliby sobie pokazywać ten malunek i zaśmiewać się do rozpuku. Jednak gdy Jean tkwił tak samotnie przy zestrzelonym bombowcu, jakoś wcale nie było mu do śmiechu.

Powoli okrążył cały samolot i znów znalazł się przy mężczyznach leżących na ziemi. Teraz ten owinięty spadochronem zaczął jęczeć i nagle otworzył oczy. Jean cofnął się instynktownie. Nie wiedział, czy powinien się odezwać, czy też zachować milczenie. Do oczu nabiegły mu łzy; bardzo chciał, żeby madame Dinant znalazła się tutaj już jak najszybciej. Bo jak dziesięcioletni chłopiec może pomóc ciężko rannemu mężczyźnie leżącemu na pastwisku?

Tyłem zaczął się oddalać od samolotu, wciskając zlodowaciałe ręce w kieszenie. I w tym momencie spostrzegł coś, co powinien zauważyć już dawno temu, gdyby tak gorączkowo nie palił się do zlustrowania samolotu. Od dziobu bombowca rozchodziły się wachlarzowato ślady stóp odbite

w szronie - dużych stóp, na pewno nie jego. Jean widział wyraźnie, dokąd biegły: i ten, i tamten, i dwa kolejne. Prowadziły do lasu.

A do tego jeszcze jakiś inny ślad - jakby ścieżka.

Z oddali zaczęły dobiegać go głosy - gorączkowe, nerwowe murmurando ludzi spieszących w górę zbocza. Jean błyskawicznie zanotował w pamięci, w którym miejscu poszczególne odciski stóp zagłębiały się w las. A potem, zupełnie nie wiedząc, czemu to robi, zaczął zacierać ślady, szurając po nich butami. Głosy były coraz bliżej. Jego własne stopy nie wystarczą. Pobiegł więc na skraj przesieki, oderwał z najbliższego świerku sporą gałąź. Zaczął się miotać po pastwisku, ścierając szron z zeschniętej trawy.

Antoine szedł przed nim, z zaskakującą prędkością kuśtykał w górę ścieżki. Jakim cudem tak otyły, zazwyczaj nieruchawy człowiek mógł poruszać się tak szybko? - zastanawiał się Henri. Jego samego aż kłuło w piersiach z wysiłku. Poza tym wcale nie chciał odnaleźć tego samolotu, nie miał ochoty go oglądać.

Zaledwie kilka minut temu razem z Antoine'em pili w miasteczku u Jauqueta. Chcieli wypełnić czymś południową przerwę. Nie było to formalne zebranie, po prostu rozmawiali trochę o ulotkach i popijali piwo uwarzone przez Jauqueta, o wiele gorsze niż piwo roboty Henriego. I nagle, gdy siedzieli w małym, ściętym przymrozkiem ogródku burmistrza, spostrzegli

spadający z nieba samolot. Gwałtownie, chybotliwie pikował w dół, a za jego trzema silnikami ciągnęły się czarne smugi, tworząc niesamowity rysunek na szarym tle chmur. Henri miał ochotę nakryć głowę rękami; był niemal pewien, że bombowiec runie na miasteczko. O mały włos nie zahaczył o iglicę kościoła Świętej Katarzyny, i wówczas wyraźnie było widać, że wciąż leci ze schowanym podwoziem. Henri z przejęciem i strachem

patrzył, jak samolot wznosi się nieznacznie, po czym znowu opada, ponownie się wznosi i niknie za Wzgórzami. Czekał na odgłos eksplozji i grzyb

czarnego dymu ponad polami. W milczeniu przesiadzieli kilkanaście sekund. Nic się nie stało.

Amerykański, oznajmił Antoine.

Jak wiele czasu upłynęło od czasu, gdy samolot znalazł się na ziemi? Dziewięć minut? Jedenaście?

Inni dotarli już do przesieki. Therese Dinant znalazła się tam pierwsza; szła tak szybko, że zginała się wpół w swoim wełnianym płaszczu. Raz po raz poprawiała węzeł chustki pod brodą, zacieśniała go, by ochronić się przed chłodem. Tuż za nią dyszał ciężko Jauquet - bardzo chciał ją wyprzedzić i pierwszy wkroczyć na pastwisko. Leon, chudy mężczyzna w drucianych okularach i robociarskiej czapce, miał kłopoty z pokonaniem wzgórza i teraz został daleko w tyle. Wokół zaś kręciło się mnóstwo uczniów, którzy wybiegli ze szkoły radośnie, ze śmiechem, jakby pędzili na piknik.

Henriego dobiegły okrzyki zdumienia i strachu. Minał ostatni zakręt i nagle zobaczył wszystko jak na dłoni: zestrzelony samolot, ciała lotników, rozoraną ziemię. Instyktownie podniósł dłoń i przeżegnał się.

To nie była kraksa, ale lądowanie na brzuchu. Wokół unosił się zapach benzyny, lada chwila mógł wybuchnąć pożar. Therese klęczała na pokrytej szronem ziemi. Badała puls mężczyzny owiniętego spadochronem i nieustannie coś do niego mówiła cichym głosem. Po chwili chwyciła za nad-

garstek drugiego leżącego lotnika, ale Henri widział, że ten człowiek już nie żyje. Świadczył o tym charakterystyczny kolor jego twarzy.

Dinant podniosła wzrok, zażądała noszy i ciężarówki. W tym momencie Girard, który pracował u Bastiena, właściciela zakładu pogrzebowego, ruszył gwałtownie w dół zbocza.

Coraz więcej ludzi pojawiało się na pastwisku. Dwadzieścia, dwadzieścia pięć, trzydzieści osób. Mieszkańcy miasteczka otoczyli samolot, wdrapywali się na skrzydła. Mali chłopcy swoimi wełnianymi rękawiczkami tarli metal pokrywy silnika, jakby to było zaśnieżone złoto. Zerkali pod skrzydła i nie mogli się nadziwić, jak bardzo śmigła się pogięły w czasie lądowania. Wszyscy trzymali się z dala od zmarłego i rannego, nad

którymi pieczę roztoczyła Therese, tyle że kilku mężczyzn oddało swoje płaszcze, by utrzymać w cieple cierpiącego lotnika.

Henri też chciał dać swój płaszcz. Ale nie mógł się ruszyć.

Kobiety - żony okolicznych farmerów, sklepikarki - przeglądały zawartość płóciennych worków, wydając okrzyki zachwytu na widok zapasów prowiantu. Henri spostrzegł, że pierwsza rozeszła się czekolada. Niedługo, pomyślał, gdy znikną stąd ciała Amerykanów, worki zostaną wymienione do czysta.

We wnętrzu samolotu też wrzała praca. Z kokpitu wyciągano papiery i instrumenty nawigacyjne. Henri zauważył, że Antoine kiwa, by podszedł bliżej. Stał więc pod kabiną z uniesionymi ramionami, żeby odbierać uratowane dobra. Nie chciał widzieć, jakie instrumenty przechodzą przez jego ręce ani co jest napisane w papierach. Im mniej wiesz, tym lepiej - taka obowiązywała zasada.

Ile czasu jeszcze zostało, zanim pojawią się tu Niemcy? Kilkanaście minut? Godzina? Gdyby teraz pojawili się na zakręcie, już by padł od ich kul.

Kiedy się odwrócił, zobaczył Jauqueta obwieszzonego tornistrami pożyczonymi od kilku chłopców. Skąd burmistrz wiedział, którym dzieciom można ufać? Antoine wygramolił się z samolotu i po skrzydle ześliznął na ziemię. Zaczął pomagać w pakowaniu tornistrów.

„Odczekam dwie godziny, a potem ruszam do St. Laurent”. To słowa Jauqueta, już kipiącego wściekłością z powodu swej misji. Żeby powiadomić Niemców, to miał na myśli. Standardowa procedura ludzi z ruchu oporu, oznajmił Jauquet autorytatywnie, a Henri w duchu zastanawiał się, skąd on może być taki tego pewien, skoro to był pierwszy samolot, który spadł w okolicach miasteczka. Jauquet tłumaczył dalej, wyjaśniał niebezpieczeństwo: Jeżeli Niemcy znajdą samolot, zanim zostaną o tym oficjalnie powiadomieni, założą Jauquetowi pętlę na szyję. Henri uważał jednak, że o tej porze Niemcy najprawdopodobniej obżerają się w *l'hôtel de ville* w St. Laurent, jak zwykle około południa, i że po sporej ilości piwa, jaką zapewne zdążyli już wyłopać, nie byli w stanie ani zobaczyć, ani usły-

szeć spadającego samolotu. Ludzie z miasteczka często żartowali, że piwo jest najlepszą bronią defensywną Belgii.

Nagle przy kokpicie Henri dostrzegł chłopca wpatzonego w kadłub samolotu, przywołującego ruchem ręki kolegę. W szeroko otwartych oczach chłopców widział nieopisane zdumienie. Zaczęli szeptać do siebie w podnieceniu i wskazywać na coś znajdującego się tuż pod kabiną. Henriego dobiegły ich słowa: „*La chute obscène*”.

Chwilę później pojawiła się ciężarówka z noszami. Thérèse zabierała pilotów do swojego domu. Zaopiekuje się rannym, a pod wieczór Bastien przyjedzie po zmarłego. Jeżeli ranny mężczyzna przeżyje, zajmie się nim siatka przerzutowa - zostanie stąd odesłany, zanim znajdą go Niemcy.

Kobiety z miasteczka kręciły się wokół worków. Na pastwisku pojawiali się wciąż nowi ludzie, podchodzili do samolotu, przyglądali się, jakby był żywą istotą - cyrkową osobliwością. Teraz w pobliżu bombowca zebrało się już pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt osób. Uczennice w grubych wełnianych skarpetach i brązowych bucikach stały na skrzydle i ostrożnie posuwały się do przodu, by zajrzeć do kabiny. Chichotały nerwowo. Ten chichot wydał się Henriemu nie na miejscu, działał mu na nerwy.

Zza pleców dobiegł go głos Antoine'a:

- Schowamy wszystko u Claire, zwołaj zebranie w kościele.

Henri odwrócił się, by zaprotestować, ale słowa uwięzły mu w gardle. Tylko nie u Claire, chciał powiedzieć. Twarz Antoine'a wydała mu się jak z kamienia.

- Musimy odnaleźć wszystkich lotników - cicho nalegał Antoine. - Zanim znajdą ich Niemcy.

Henri, obładowany tornistrami, kiwnął głową, bo wiedział, że tak trzeba. To dopiero początek, pomyślał, a kto wie, jak się to wszystko skończy?

Kiedy była sama, czasami stawała przy oknie, blisko pompy, i wpatrywała się w horyzont ponad płaskimi polami. Tam była Francja. Pola, szare od początku listopada, ani trochę nie odcinały się barwą od zabudo-

wań gospodarskich – kamiennych struktur o grubych ścianach i łupkowych dachach. W zimne dni, takie jak dziś, często nie mogła odróżnić, gdzie kończą się pola i zaczyna ołowiane niebo. Wydawało się jej, że we Francji -jeżeli jeszcze kiedykolwiek uda jej się tam pojechać – będzie bardzo kolorowo. Że poczuje się, jakby odwróciła stronę książki i natknęła się niespodziewanie na roziskrzoną barwami ilustrację. Tak sobie wyobrażała przekroczenie granicy – ujrzy cudownie kolorowy obraz.

Z kieszeni spódnicy wyciągnęła papierosa. Zapaliła. Stała w oknie z jedną ręką pod biustem, w drugiej, zgiętej w łokciu, trzymając papierosa. Na tle szyby dym tytoniowy rozpływał się leniwie, układał w wymyślny wzór. To już jej trzeci papieros tego dnia; wiedziała, że musi zwolnić tempo. Henri miał niezwykły dar zdobywania papierosów. Zdarzało się niezmiernie rzadko, by ich nie przynosił, bez względu na to, jak bardzo deficytowym towarem były akurat w miasteczku. Ale miała z nim umowę - jedną z wielu umów — że jednego dnia nie będzie wypalać więcej niż pięć sztuk.

Tym razem przechowywała w domu starą Żydówkę. Staruszka nie wpadła w łapy gestapo tylko dlatego, że przez dwa dni i dwie noce ukrywała się w kominie. Jej syn, lekarz z Antwerpii, przygotował dla matki tę kryjówkę, ponieważ była tak wąska w biodrach i ramionach - pomimo swoich siedemdziesięciu pięciu lat - że bez trudu mieściła się w szybie komina. Gdy gestapowcy zjawili się przed świtem, pobiegła prosto do kominka i wdrapała się na podpórki dla stóp zamontowane u góry przez syna. Stała w kominie ubrana jedynie w koszulę nocną, z szeroko rozstawionymi stopami wsuniętymi w strzemiona. Strasznie żałowała, że nie uściskała męża, zanim wyskoczyła z łóżka i pobiegła do swojej kryjówki. Z przerażeniem słuchała, jak Niemcy przeszukują dom-dwukrotnie, trzykrotnie. I w końcu znaleźli jej męża, także lekarza, który ukrywał się w specjalnym schowku w piwnicy. Wówczas nie mogła go zawołać, za to teraz często, we śnie, wykrzykiwała jego imię: „Awram... Awram...". Gdy Claire nie mogła zasnąć, wsłuchiwała się w te krzyki dochodzące zza ściany.

Wreszcie stara kobieta nie miała już sił dłużej stać w kominie; wysunęła nogi ze strzemion i spadła na wilgotne palenisko kominka. Znalazł ją tam syn sąsiada, krawca, gdy przyszedł sprawdzić, czy ktoś przeżył nalot gestapo. Kobieta była cała poczerniała od sadzy, więc chłopak w pierwszej chwili pomyślał, że Niemcy spalili ją żywcem, i zwymiotował wprost na perski dywan. Ale w tej samej chwili staruszka zaczęła przywoływać męża: „Awram... Awram...”, i syn krawca zaniósł ją do domu swojej matki. Żona krawca wykapała starą kobietę i skontaktowała się z ludźmi z ruchu oporu. Claire nie miała pojęcia, jak długo Żydówka tułała się po różnych kryjówkach. Wszystko, co o niej wiedziała, usłyszała od człowieka, który przyprowadził tę staruszkę do jej domu. Ona sama nic nie mówiła.

W tej chwili madame Rosenthal znajdowała się na górze, w małym pomieszczeniu na strychu, ukrytym za podwójną tylną ścianą olbrzymiej szafy. Owa szafa była częścią posagu Claire. Henri skonstruował w niej sekretne drzwi, otwierające się na wąziutki korytarzyk, prowadzący do schowka na strychu. Wybił też niewielkie okienko w łupkowym dachu, by do pokoiku docierało trochę dziennego światła. Gdyby pewnego dnia Niemcy wdrapali się na dach, odkryliby niewielki otwór pokryty szkłem i wówczas zabraliby Claire oraz Henriego i rozstrzelali. Z dołu jednak okienko pozostawało niewidoczne, bo znajdowało się za kominem.

Madame Rosenthal była dwudziestą ósmą osobą, którą ukrywali. Claire pamiętała każdą z nich, niczym paciorki jednego różańca. Ledwo usłyszeli z Henrim o walkach w Antwerpii, a już się okazało, że mała belgijska armia nie ma szans w starciu z nazistowską potęgą. Mimo to do Claire nie docierała świadomość niemieckiej okupacji aż do chwili, gdy w maju 1940 roku w miasteczku pojawili się pierwsi uciekinierzy. Zatrzymali się na rynku i poprosili o żywność oraz nocleg. Teraz rozumiała, że wówczas wśród mieszkańców dokonały się istotne podziały, właśnie w tych pierwszych tygodniach. Niektórzy z Delahaut od razu wylegli na rynek i zabrali wysiedlonych Belgów do swoich domów. Inni cichcem pozamykali drzwi i okiennice. Kiedy w owych pierwszych miesiącach w ich kuchni zjawiał się Antoine z prośbą, by Claire i Henri przyłączyli się do Maquis, Claire natychmiast spostrzegła, że Henri, gdyby był sam, prawdopodobnie nale-

żałby do tych zamykających okiennice. Ale Antoine nalegał. Claire zna obce języki, uczyła się pielęgniarstwa, argumentował. I wówczas Henri spojrzął

na nią tak, jakby jej znajomość języków i medyczne umiejętności miały pewnego dnia ściągnąć na nich zgubę.

Pierwsza grupa, którą u siebie przechowywali, była rodziną profesora uniwersytetu z Antwerpii - w sumie sześć osób. Claire przygotowała dla nich prowizoryczne posłania w drugiej sypialni. Tej samej nocy, w kuchni, zapytała Henriego, czy przypadkiem sami nie powinni zbiec z Belgii, ale Henri powiedział, że nie, nie opuści farmy, która należała do jego ojca, a jeszcze przedtem do ojca jego ojca.

W takim razie musimy w domu przygotować jakąś kryjówkę, oznajmiła Claire. Bo czeka nas prawdziwy zalew.

Claire odwróciła się od okna i wyłożyła na stół białą kielbasę sporządzoną z mleka i chleba, bez odrobiny mięsa. Przygotuje z niej południowy posiłek dla Henriego. Do tego poda chudy, wodnisty twaróg i zupę z kapusty i cebuli. Bardzo schudła od początku okupacji, ale jej mąż - o dziwo - zdecydowanie przytył. To zapewne z powodu piwa, pomyślała, mocnego, ciemnego piwa, które Henri i inni warzyli w tajemnicy i skrzętnie chowali przed Niemcami. Całe jego beczki stały ukryte w oborze, a w piwnicy -butelki, niekiedy strzelające korkami lub rozsadzające szkło. Piwo było naprawdę bardzo mocne i ciężkie, więc nawet po jednej szklance Claire niemal natychmiast ogarniał błogi spokój.

Chwilę wcześniej przeczołgała się z tacą przez wąski korytarzyk prowadzący do kryjówki na strychu, by nakarmić Żydówkę odrobiną zupy. Jedną ręką trzymała ją za ramię, drugą wlewała łyżką zupę w usta. Stara kobieta była już bardzo wycieńczona - Claire zupełnie sobie nie wyobrażała, jak madame Rosenthal zdoła przetrzymać jeszcze jedną przewodzkę. A tymczasem Maquis chcieli ją stąd zabrać w przyszłym tygodniu i przerzucić dalej, do Francji. Wszystko było już zorganizowane, poza tym na po-

kój na poddaszu czekali inni. Claire jednak sądziła, że żona lekarza najprawdopodobniej umrze u niej na strychu.

Ponownie owinęła się fartuchem i zabrała do gotowania kawy - kawy z cykorii o ostrej goryczy, której żadna ilość cukru - nawet jeżeli zdarzyło się im mieć cukier - nie była w stanie złagodzić. Co prawda taka kawa i tak była lepsza od tego, co mieli w zeszłym miesiącu: zupełnie nienadającej się do picia lury spreparowanej ze słodu. Znowu podeszła do okna i zaczęła wyglądać powrotu męża. Nie wiedziała, gdzie jest, a nawet czy w ogóle zjawi się o tej porze w domu. Wyszedł z obory ponad godzinę temu. Nie powiedział jej, dokąd idzie.

Rano poszedł do obory, jak zwykle, by wydoić krowy. Przed wybuchem wojny mieli siedemdziesiąt krów; teraz zostało im jedynie dwanaście. Resztę zabrali Niemcy. Całe dni Henri spędzał na oporządzaniu tego małego stada i reperowaniu prostych rolniczych maszyn. Nie było to łatwe zadanie, części zamienne bowiem stały się całkowicie nieosiągalne. Musiał więc sam je wytwarzać, obmyślać, jak je skonstruować, wyklepać ze starych garnków, czajników czy sprzączek - ze wszystkiego, co nie było absolutnie niezbędne dla Claire w domu. Pewnego razu zabrał jej cynową chochlę - cynową chochlę na długiej rączce, którą wniosła do ich wspólnego gospodarstwa. Strasznie się z nim o tę chochlę pokłóciła - krzyczeli na siebie niepohamowanie, aż nagle jej gniew opadł. Przecież to było takie proste - on bardziej potrzebował tej chochli niż ona.

Claire niechętnie myślała o tym, co jej mąż całymi dniami robi w oborze. Być może zabrał się już do wypijania piwa z beczek. Nie miałyby mu tego za złe. Pogoda była ostatnio ostra, mroźna, a w oborze niekiedy panował większy chłód niż na zewnątrz.

Za oborą stała ich jedyna ciężarówka, której teraz już nie używali. Dla Belgów nie starczało benzyny, ale Henri trzymał saturator, na wszelki wypadek. O dziwo, Niemcy nie zarekwirowali im ciężarówkę, chociaż niekiedy zabierali ją na parę tygodni. Delahaut miało szczęście - nie podzieliło losu niektórych innych miasteczek. Niemcy tutaj nie stacjonowali. Kwatery w St. Laurent były o wiele wygodniejsze.

Claire wyciągnęła luźną cegłę zza pieca i wyjęła swoją ulubioną książkę. W te grudniowe dni czytała po angielsku. Niekiedy czytywała po flamandzku, włosku czy francusku, ale najbardziej lubiła angielski, i gdy tylko mogła dostać jakąś angielską książkę - przedkładała ją nad wszystkie inne.

Podobało jej się brzmienie angielskich słów i często, gdy była sama w domu, wymawiała je na głos: *foxglove, cellar, whisper, needle*. O wiele lepiej mówiła i czytała po angielsku niż pisała, więc próbowała opanować i tę sztukę, chociaż musiała bardzo uważać, by nie pozostawiać żadnych angielskich zapisków na wierzchu. Żałowała, że nie może poczytać po angielsku kobiecie zamkniętej na strychu. Ale podstawowym językiem madame Rosenthal był jidysz, a wspólnie mogły się porozumiewać jedynie po niemiecku, co na obie działało przygnębiająco.

Claire usiadła przy dębowym stole i położyła przed sobą otwartą książkę. Dostała ją od brytyjskiego bombardiera, który wyskoczył na spadochronie z zestrzelonego samolotu, i podczas lądowania w okolicach Charleroi zламаł obojczyk. Pamiętała go dobrze - chudego chłopca z twarzą obsypaną trądzikiem. Był jeszcze uczniem, gdy go zmobilizowano. Nie nadawał się na bombardiera - to od razu rzucało się w oczy - taki trzciniowaty chłopak o delikatnych ustach. W swoim kombinezonie lotniczym trzymał dwie książki: modlitewnik i tomik poezji angielskiej, i gdy odchodził, zostawił tę antologię Claire. Powiedział, że już i tak zbyt często czytał te wiersze, ale ona podejrzewała, że nie mówił całej prawdy. Rzadko otrzymywała jakieś wieści dotyczące ludzi, którzy przewinęli się przez jej dom, nie wiedziała, jaki los przypadł im w udziale: czy przedostali się do Francji lub Anglii, czy może zginęli po drodze - zastrzeleni lub zdradziecko wydani w ręce wroga. Claire знаła początek wielu historii, ale tajemnicą pozostawały dla niej ich zakończenia.

The world is charged with the grandeur of God.

It will flame out, like shining from shook foil...

Najbardziej podobało się jej parę wierszy Gerarda Manleya Hopkinsa, chociaż ich dobrze nie rozumiała. Jednak wielką przyjemność sprawiało

jej brzmienie samych słów, zachwycał sposób zestawienia określonych dźwięków. W wielu wypadkach nie знаła znaczenia poszczególnych wyrazów. Wydawało jej się, że wie, co oznacza w tym kontekście słowo *shook*, jednak nie była pewna. Ale loll? Niemniej podobało jej się brzmienie

frazy *shining from shook* i często powtarzała ją na głos.

Gdy tak siedziała przy stole i wczytywała się w wiersze, poczuła ostry, ciągnący ból w dole brzucha - znak, że wkrótce, jeszcze przed zapadnięciem nocy, zacznie się miesięczne krwawienie. Przeżegnała się odruchowo. Zamknęła oczy i zaczęła szeptać słowa modlitwy, słowa bardziej ulgi niż wiary. Chociaż bardzo uważała w okresie, gdy mogła zajść w ciążę - zniechęcała Henriego subtelnymi gestami: nieznacznie odwróconą głową, wzniesieniem ramienia - nigdy nie miała stuprocentowej pewności. Nie chciała zajść w ciążę, póki trwała wojna, nie chciała wydać dziecka na świat w czasie, gdy jednemu lub obojgu rodziców groziło aresztowanie nocą i gdy małeństwo mogłoby zostać wydane na pastwę mrozu lub ognia. Czy zginąć w czasie nalotu. Teraz nawet powietrze było nieustannie gwałcone. Claire już nieraz widziała na własne oczy brudne smugi na niebie i śmiertelne obłoki. Choć prawdę mówiąc, wcale nie była pewna, czy chciałaby mieć dzieci, gdy wojna się już skończy. Niekiedy zdawało się jej, że tragizm historii, które w pewnym sensie stały się częścią jej domu, wysłał z niej nadzieję i wiarę w ludzką dobroć, konieczną, by chcieć urodzić dziecko.

W każdym razie w tym miesiącu nie będzie musiała się martwić. Zaczęła liczyć. Nie zdarzyło się to więcej niż cztery razy. Henri często znikał na całe noce. Claire myślała czasami, że wojna oraz to, co Henri widział i słyszał, również w szczególny sposób wpłynęło na jej męża.

For skies of couple-colour as a brindled cow;

For rose-moles all in stipple upon trout that swim...

Próbowała sobie wyobrazić Anglię, ale nie potrafiła. Nawet kiedy angielscy chłopcy opowiadali jej o rodzinnym kraju, nie umiała przedstawić sobie brytyjskiego krajobrazu. Tym bardziej że te opowieści były często mylące: czasem opisywały kamienne domki, wokół których - przynajm-

niej we wspomnieniach młodych lotników - zawsze pięknie kwitły ogrody, nawet w zimie; niekiedy mówiły o wielkomiejskich ulicach, wąskich brukowanych uliczkach i pokrytych sadzą ceglanych budynkach.

Na zwirowym podejździe zagrzechotały rowery, wrywając ją z zamyślenia. Claire zrzuciła tomik poezji pod stół, na kolana. W tym momencie Henri i Antoine Chimay wkroczyli do kuchni. Każdy z nich trzymał w rękach kilka szkolnych tornistrów. Henri był zziębnięty.

- Claire...

- O co chodzi

- Samolot.

-Samolot?

- Tak, tak. Samolot. Zestrzelony nad Delahaut.

-Angielski?

- Amerykański.

- Amerykański? Czy ktoś przeżył?

- Jeden lotnik zginął. Drugi jest na wpół martwy. Ale prawdopodobnie w okolicy jest jeszcze ośmiu innych.

- Gdzie to się stało?

-Na Wzgórzach. Pozostali zapewne kryją się w lesie. Henri i Antoine położyli tornistry na stole.

- Musisz to schować - powiedział Antoine.

Henri spojrzał na żonę tak, jakby zamierzał ją przeprosić. Powiedział jednak:

- Najlepiej w oborze.

Miał mocno zaczerwienioną twarz, ale Claire nie umiała określić, czy z powodu jazdy rowerem, czy zdenerwowania. Był od niej starszy; na wiosnę skończy trzydzieści dwa lata. Rysy twarzy pogrubiały mu z wiekiem, jak to często się zdarzało miejscowym mężczyznom. Zdawało się, że jego twarz i całe ciało nabrało ostatecznie kształtów, jakie Henri zachował przez resztę swoich dni - krępy jak jego ojciec, z potężną, podaną do przodu pierś i muskularnymi, krągłymi ramionami. Włosy miał identycznie ciemnobrązowego koloru jak oczy. Grzywka w kształcie litery V, przypominająca ptasi ogon, opadała mu na czoło. Claire zauważyła, że je-

den z bocznych zębów zaczyna mu ciemnieć. Zastanawiała się, czy cierpiał z tego powodu; sam Henri nigdy się nie skarżył.

- Muszę iść - powiedział teraz. - Nie wiem, kiedy wrócę. Claire skinęła głową. Patrzyła przez okno na Henriego i Antoine'a wskakujących na rowery. Potem schowała tomik poezji za obłuzowaną cegłą. Włożyła płaszcz i chwyciła w ramiona tornistry. Gdy wychodziła, wydawało się jej, że z góry dobiega kobiecy płacz.

Ciemność pośród drzew, fałszywy zmrok. W kuchni obchodzono czyjeś imieniny. Jego matka była w pracy, w sądzie, a ojciec - wiecznie cuchnący surowym mięsem - jeszcze nie wrócił do domu. Dobiegające skądś dźwięki piosenki. Twarze dzieci zwrócone w stronę świeczek. I Frances - to ona upiekła tort - pochylająca się nad nim, tak że wdychał zapach jej ciepłego oddechu, czuł go na policzku, szepcząc mu do ucha: „Życzenie, Teddy. Pomyśl sobie jakieś życzenie”.

Kiedy w dzieciństwie coś doprowadzało go do płaczu - biegł do Frances.

Ziemia była niczym twardy marmur. Od czasu do czasu gdzieś z oddali dochodziły go podniesione głosy, krzyki, chrzęst gałęzi odpadających z drzew. Mróz sprawiał, że gałęzie trzaskały zupełnie tak samo jak w ogniu.

Ciągnął za sobą nogę - jak długo? Jak daleko? Sto stóp? Tysiąc? Ani śladu słońca, by mógł się zorientować w kierunku, a kompas roztrzaskany. Być może posuwa się w głąb Niemiec, a może coraz dalej od Niemiec; na drzewach nikt nie poprzybijał drogowskazów.

Gdy spadł z drzewa i złamał rękę, to Frances go pielęgnowała, siedziała przy nim, grywała z nim w remika na każde życzenie. Frances - równie wysoka jak on, o niemal identycznych rysach twarzy, tyle że wyjątkowo nieregularnych. Jego matka niekiedy szeptała, że Frances nigdy nie zdoła znaleźć męża.

Nogę miał u dołu sztywną i spuchniętą. Nie mógł zgiąć jej w kolanie. Zastanawiał się, czy to jakieś szczególne zeszywnienie.

Marzył o papierosie. Czyż to papierosa nigdy nie odmawia się umierającym?

Jeżeli nikt go nie odnajdzie, pomyślał, jeszcze przed świtem będzie martwy.

Ale jednocześnie przerażała go myśl, że mógłby zostać odnaleziony. Nieznany mu kształt hełmu. Wylot lufy przyciśnięty do podbródka.

Stella miała na ganku huśtawkę. Wczoraj wieczorem, a może miesiąc temu, usiadła obok niego na tej huśtawce w swojej cienkiej, bawełnianej sukience. Jej skóra w zagłębieniu między piersiami była ładnie opalona, pod sukienką miała gołe nogi. Pomyślał, całkiem nedorzecznie, o dziewczynce na rowerze, też z gołymi nogami, która przewróciła się i podrapała sobie kolana. Stella na dobrą sprawę też wciąż jeszcze była dziewczynką. Czy dlatego się wahał? Sukienka wydymała się niczym czasza spadochronu i całkowicie zakrywała nogi.

Teddy - jego imię z czasów dzieciństwa. Teddy. Tak nazywała go Frances. Stella mówiła do niego Ted.

Ręce miał tak zlodowaciałe, że palce zwinęły mu się w pięści. Czołgał się na łokciach. W swoim lotniczym kombinezonie miał fotografię. Położył się na wznak, całkiem wyczerpany. Zmarzniętymi na kość palcami zaczął się zmagać z suwakiem kombinezonu, ale nie mógł sobie poradzić. A w środku było zdjęcie Stelli.

Niebo ponad drzewami miało kolor popiołu. Gdzieś na ziemi leżała gruba warstwa dębowych liści i wtedy łatwiej było mu się przesuwać. Kiedy z oddali dobiegły go głosy, zaczął się zastanawiać, czy nie powinien wezwać pomocy. Ale przecież miał określone instrukcje. A co mówiły instrukcje na temat zamarznięcia na śmierć w lesie?

Był rok 1936 lub 37. Nie pamiętał dokładnie. Matt, młodszy brat, w szale wściekłości wpadł do jego pokoju, pokoju Teda (a może wówczas pokoju Teddy'ego?), i roztrzaskał wszystkie modele samolotów zwieszające się na delikatnych sznurkach z sufitu - każdy model pracowicie złożony i pomalowany, kupiony za pieniądze, które Ted zarobił, pomagając w pracach polowych. Modele zbierane przez wiele lat. Ted siedział na dole, z góry dobiegały go odgłosy wyładowywanej furii, obawiał się najgor-

szego. Poszedł do pokoju i ogarnął wzrokiem obraz zniszczenia. Drzazgi i splecione sznurki, szczątki połamanych skrzydeł na łóżku. Tysiące godzin, które poszły na marne. Wówczas przysiągł, że już nigdy w życiu nie odezwie się do Matta, przenigdy, i rzeczywiście się nie odezwał aż do tego ranka, gdy miał nadjechać pociąg, by zabrać go na wojnę. Wstrząsany dreszczami stał na peronie razem z ojcem, matką i Frances, która płakała całkiem otwarcie. A Ted już tylko marzył, by pociąg nadjechał jak najszybciej; przerażała go perspektywa pożegnań. A potem nagle się odwrócił i powiedział do Frances: „Za chwilę wracam”.

Przebiegł cały dystans w iście sprinterskim tempie; nie miał z tym najmniejszych problemów - wygrał bieg na milę na zawodach stanowych i dostał się do college'u dzięki sile swych nóg. Przebiegł obok farm, gdy słońce dopiero wznosiło się nad pola, popędził schodami - białymi deskami prowadzącymi na ganek - ich dom był kiedyś siedzibą farmerską, teraz zaś domem jak wszystkie inne na obrzeżach małego miasteczka w Ohio. Matt jeszcze wciąż leżał w łóżku.

Uściskał mu dłoń. Pożegnał się.

I czego właściwie dotyczyła tamta straszna kłótnia? Nie mógł sobie przypomnieć. Głupia sprzeczka. A Matt był wówczas przecież tylko dzieckiem.

Zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek w życiu będzie mógł biegać. Lub chodzić. Czy amputują mu nogę?

I kim są ci „oni”?

Ted widział młodych mężczyzn ze starannie zrolowaną jedną nogawką, umocowaną na biodrze agrafką. Mijali go, wracali do domu. Żywe ostrzeżenie przed tym, co może spotkać każdego.

Ale wówczas nikt o tym nie myślał. Piło się gin pędzony z soku grapefruitowego, siedemdziesięciopięcioprocentowy, z nadzieją że nie ogłoszą alarmu w środku nocy, gdy jeszcze wszyscy są kompletnie pijani.

Wszystko było dobre, jeżeli dzięki temu można było uniknąć losu, jaki przypadł w udziale jego ojcu. Miejscowy rzeźnik. Ręce po łokcie w zwie-

rzęcych wnętrznościach. Pod paznokciami wciąż mięso. Odór surowego mięsa miał już na zawsze wżarty w skórę. A może Teddy'emu tak się jedynie zdawało?

Jego ojciec pijał seagram. Przez całe noce.

Ted ocknął się; zdał sobie sprawę, że zapadł w drzemkę. A może zemdlał. Ból powracał falami. Marzył o tym, by noga zamarzła mu na dobre, zdrętwiała tak całkowicie jak palce.

Gdzie się podziewają Case i Baker, i Shulman? Case miał przestrzelone ramię, Shulman paskudnie kulał. Na kombinezonie Trippa pojawiła się krew. Czy ktoś ich odnalazł? Czy blakają się zagubieni? Już nie żyją?

Teraz nie umiał zdecydować, czy wolałby papierosa, czy może szklankę piwa.

Pragnienie dało znać o sobie nagle i niespodziewanie. To zły znak. Ted oparł się na łokciach, obejrzał zranioną nogę. Przez kombinezon przesączała się krew. Nie mógł poruszyć stopą, nie miał w niej żadnego czucia.

Czy schował w kombinezonie papierosy? Nie pamiętał. Ale nawet jeżeli je tam miał, były dla niego równie odległe, jak diamenty zamknięte w sejfie. Razem ze zdjęciem Stelli.

Fotografia wyglądała tak jak wszystkie inne, które przyszło mu oglądać - pogięta, wytarta na rogach. Zagięcia przebiegały dokładnie przez szyję Stelli.

Czemu - na ganku tamtego wieczoru przed wyjazdem - czemu nie wziął jej za rękę, nie zabrał w jakieś miejsce oddalone od domu?

Coś sprawiło, że się zawahał.

Głupota, pomyślał, leżąc na zmrożonej ziemi, te idiotyczne moralne skrupuły. Czyż tysiące mężczyzn nie kochało się ze swoimi kobietami tamtej nocy tylko po to, by poczuć, że żyją?

Wyobraził sobie, że wodzi dłonią wzdłuż gołej nogi Stelli, sięga pod sukienkę wydymającą się na podobieństwo spadochronu.

Czy to możliwe, że gdy wydał rozkaz zrzucenia bomb, pod nimi, na ziemi, znajdowali się ludzie? Wydawało mu się, że lecą nad polami, nad bezkresnymi polami, ale pokrywa chmur była tak gruba, że nie mógł być tego całkiem pewien. Tyle że gdy zszedł na niższy pułap, zobaczył kwa-

draty pól. Bombardier twierdził, że zrzucili wszystko na pola. A w grudniu na polach nie mogło być przecież żadnych ludzi. Nie mogło.

Powinien był zabrać ze sobą manierkę.

Balansował pomiędzy jawą a snem, przed oczami stawał mu jedwab spadochronu. Rozbierał kobietę, rozwijał z jakiejś

TLR

tkaniny, a ona patrzyła na niego z uśmiechem. Ted klęczał, rozwijał i rozwijał, ale tego jedwabiu było niezwykle dużo, wprost niekończące się warstwy...

Ocknął się gwałtownie. Dobiegł go jakiś odgłos, nie miał co do tego wątpliwości. Kroki. Kroki nie we śnie, lecz na jawie.

Ponownie podparł się na łokciach. Zamarł w bezruchu. Dźwięk był nikiły, nie dochodziły go żadne trzaski, tylko miękkie stąpanie. Oho. Usłyszał je znowu. Zmierzające ku niemu, dochodzące od strony pastwiska. Przez gęstwinę drzew nie mógł jednak dostrzec zbliżającej się osoby.

Gwałtownie rozejrzał się wokół w poszukiwaniu jakiejś kryjówki. Gdyby zdołał się schować, mógłby zobaczyć tego kogoś, zanim sam zostałby dostrzeżony. Mniej więcej dwadzieścia stóp od niego znajdowała się płatanina jeżynowych krzewów. Zaczął się czołgać, na tyle szybko, na ile się odważył. Nie chciał hałasować. Pędy jeżyn były twarde, pełne kolców. Ted odwrócił się na brzuch i położył nieruchomo pośród krzewów.

Żadnych głosów. Tylko stąpanie pojedynczych kroków.

Bliżej. Zdecydowanie coraz bliżej.

Zastanawiał się, czy umiałby zmówić modlitwę. Często żartowali na ten temat; nazywali to zajęciem religijnym. Mężczyźni od dawna niepraktykujący, usiłujący przypomnieć sobie poszczególne słowa, frazy, zdania, z trudem układający je w odpowiednim porządku.

Wydawało mu się, że zobaczył zarys sylwetki.

Wszędzie wokół były fokewulfy. Pole walki rezonowało detonacjami, tonęło w dymie. B-17 przecięty na pół pociskiem z myśliwca - dziób wirujący w dół, opadający w niekontrolowanych podrygach, i ogon posuwający się ślizgowym ruchem, jakby nadal w regularnym locie, a w ogonie strzelec pokładowy wciąż miotający seriami z ciężkiego karabinu...

Ekberg wrzasnął rozdzierająco. Ręce przymarzły mu do broni. Wrzask ludzi i ryk samolotu. Wycie - ogłuszające, wibrujące w głowie, w całym ciele, w kościach.

Czy zdołaliby dotrzeć do domu, prawie bez paliwa, przetak uważał.

Niemiecki pilot źle obliczył dystans, zderzył się z bombowcem. Myśliwiec wroga przekoziółkował, poleciał w dół, oddalił się, korkociągiem zbliżał do ziemi.

Bandyci na dwunastej. Policz spadochrony. Gdzie podział się penis strzelca? Jedwab spadochronu poznaczony wielkimi plamami krwi. To Frances go wychowała. I pożegnał się z Mattem. A teraz klęczał i odwijał z delikatnej tkaniny kobietę, która się do niego uśmiechała. Ale tego jedwabiu było tak dużo, tak dużo. Warstwy, te wciąż niekończące się warstwy...

Kiedy Jean powrócił na pastwisko, było tam już o wiele mniej ludzi, co stanowiło niechybny znak, że wkrótce pojawią się Niemcy. Nikt nie chciałby się znajdować w pobliżu samolotu, gdy nadejdą hitlerowcy. Jean pojechał do szkoły po płaszcz i chlebak i zaraz wrócił w pobliże bombowca, tym razem pieszo, bo nie chciał, by zdradził go rower. Ostatecznie żadnej kryjówki nie można być pewnym. Gdyby żołnierze wroga przyłapali go w lesie na próbie pomocy Amerykanom, na pewno wysłaliby go do jednego z tych strasznych obozów. Chłopiec nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

Wśliznął się do lasu niepostrzeżenie, w jednym z miejsc, które dobrze wryło mu się w pamięć. W kieszeniach płaszcza ukrył kawałek chleba, ser i małą butelkę z wodą. Ludzie wokół powtarzali nakaz nauczyciela, by wszystkie dzieci natychmiast powróciły na lekcje; te, które tego nie zrobią, zostaną surowo ukarane. Przed oczami stanęło Jeanowi okrągłe, czerwone

oblicze monsieur Dauvina, wychowawcy. Ta twarz na pewno pokryła się jeszcze ciemniejszymi plamami, gdy spostrzegł puste miejsce w ławce Jeana. Jean poprosił Marcela, by powiedział, że nagle zaniemógł, teraz jednak dotarło do niego, że kłamstwo wkrótce wyjdzie na jaw i prawdopodobnie tylko zwiększy wymiar kary. Nie powinien był prosić o taką przysługę Marcela, bo teraz i Marcel pewnie dostanie różgi.

Jean doskonale znał ten las. Prawdopodobnie żaden chłopiec w Delahaut nie znał go lepiej, bo dom Jeana, farma jego ojca, od północy przylegała do lasu. Już jako mały chłopiec Jean uważał las za swój azyl. Codziennie po szkole wałęsał się pomiędzy bukami i dębami, przyglądał się nowym samosiejkom na wiosnę, strzępiastym, jasnozielonym pączkom, konwaliom, wystrzelającym niespodziewanie z ziemi. Wiosną i latem łowił z Marcellem ryby. W zimie darzył las szczególnym respektem. Dobrze wiedział, że chłopiec czy mężczyzna, który się zgubi w tym lesie w grudniu - niechybnie będzie musiał umrzeć.

Dziwnym śladem przypominającym ścieżkę podążał z łatwością; to znaczy, że inni też nie mieliby z tym najmniejszych kłopotów. Sunący wtedy człowiek zgniótł wysuszoną trawę, połamał drobne gałązki z pobliskich krzewów. Jean wiedział, że musi szybko odnaleźć ukrywającego się w lesie lotnika, bo inaczej zrobią to Niemcy. Ślad był zbyt wyraźny, a on nie miał dość czasu, by go zatrzeć.

Nie wiedział, co tak naprawdę powinien zrobić, jeżeli rzeczywiście uda mu się odnaleźć amerykańskiego żołnierza. Wyobrażał sobie, że poczęstuje go chlebem i serem, da mu wody, a potem zaprowadzi w bezpieczne miejsce. Widział już siebie, jak pomaga mu przedostać się do francuskiej

granicy, a potem ściska dłoń niczym dorosły mężczyzna. Jednak kiedy się nad tym głębiej zastanowił, ogarnęły go wątpliwości. Jakie schronienie mógłby zaoferować amerykańskiemu lotnikowi? Pomyślał o swojej stodole i natychmiast poczuł oblewający go gorącą falą wstyd. W szkole niektórzy ze starszych chłopaków zaczęli powtarzać scenicznym szeptem, tak by Jean dobrze usłyszał: *le fils du collaborateur* - syn kolaboranta.

O poczynaniach ojca dowiedział się w szkole, gdy zaczęły się docinki, których w pierwszej chwili nie pojmował. Kiedy zapytał ojca, co oznaczają, ten nie odpowiedział. Po chwili zaś rzucił jedynie, że wojna to sprawa mężczyzn, a nie dzieci. W jakiś czas potem, uważnie wszystko obserwując i słuchając, Jean zrozumiał, że jego ojciec handluje z Niemcami, że Niemcy

jedzą chleb wypieczony ze zboża z jego pól i mięso ze sztuk bydła wyhodowanych w jego oborze. Jean uznał, że to równie haniebne, jak gdyby ojciec sprzedawał wrogowi jakieś części ważnych maszyn czy tajemnice wojskowe. Ostatecznie, co to za różnica, jaki towar jest przedmiotem handlu? Co innego, gdy naziści rekwirowali należące do farmerów zwierzęta - taki los spotkał wielu ludzi z miasteczka; ale czymś zupełnie innym było sprzedawanie żywności za pieniądze. Niekiedy ten wstyd za ojca stawał się nie do zniesienia. Jean zaczął rozważać możliwość ucieczki z domu, ucieczki ze szkoły - ale przecież była zima, więc dokąd mógłby się udać? Nawet gdyby zdołał się przedostać do Francji, a w jego wyobraźni wydawało się to dziecinnie proste, co potem? Jak zdołałby przeżyć? Kto przyjąłby do siebie obcego chłopca, kolejną gębę do wyżywienia? I czy natychmiast nie wykryliby go Niemcy, i nie odesłali do obozu? Poza tym nie mógł porzucić matki. Myśl o jej Izach natychmiast uciniała podobne rojenia.

Od przesieki przeszedł już jakieś trzysta metrów. Tę część lasu znał wyjątkowo dobrze. Niedaleko stąd znajdowało się jeziorko, w lecie pełne pstrągów. Teraz na pewno był zamarznięty - czarna tafla lodu. Jean zastanawiał się, gdzie się podziewają pstrągi. Czy chowają się na dnie, w mulle? Przypomniawszy sobie, jak bezpiecznie i dobrze czuł się w tamtym miejscu. Kiedy był młodszy, miał łyżwy i wtedy zimą często ślizgał się po czarnej tafli stawu. Ale teraz już wyrósł z tych łyżew i wiedział, że na jakiś czas musi zapomnieć o ślizgawce.

Stanął bez ruchu pomiędzy drzewami. Wydawało mu się, że słyszy jakiś dźwięk niepodobny do naturalnych odgłosów. Miękkie przesuwanie po liściach. Poczował, jak żołądek zaciska mu się w węzeł. Bardzo też chciało mu się sikać. Powinien był zrobić to jakiś czas temu - teraz już było na to za późno, ktoś mógłby go usłyszeć. Powoli, ostrożnie zaczął iść naprzód - stapał najciszej, jak umiał. Znów się zatrzymał i zaczął nasłuchiwać. Już nie dobiegało go szuranie. Odczekał jeszcze chwilę. Przeszedł następne dziesięć metrów i wtedy ze zdumieniem spostrzegł, że ślad się gwałtownie urywa. Całkiem zdezorientowany zatrzymał się obok płataniny jakichś krzewów. Instynktownie spojrzał w górę. Czyżby amerykański

pilot wspiał się na pobliski dąb? Czy spostrzegł nadchodzącego Jeana? Nagle chłopca poraził strach; miał ochotę nakryć głowę rękami. Nie powinien był tu przychodzić. A przynajmniej powinien zabrać ze sobą Marcela.

Teraz parcie na pęczek stało się już nie do zniesienia. Dokąd prowadzi ten ślad? Pochylił się, by zbadać dokładnie, gdzie urywa się owa dziwna ścieżka, szukał jakiegoś dodatkowego znaku. Być może mężczyzna się podniósł i teraz już szedł normalnie, na dwóch nogach... Jean od razu się zorientował, że w mroku lasu nie zdoła odnaleźć śladów stóp.

I wówczas, gdy się odwrócił, całkiem już zdesperowany, ujrzał to, po co tu przyszedł - podeszwę ciężkiego wojskowego buta wystającą z jeżynowych krzewów.

Stacjonowali w pewnej wiosce tuż pod Cambridge. Wokół na wiele mil rozciągały się płaskie tereny - płaskie i podmokłe, wyrwane morzu. Przez całą późną jesień, od października - kiedy przybył do Anglii - wsiał na rower i przemierzał okolicę, jeździł szosami i drózkami, które już z dała zapowiadały panoramę kolejnej wioski, i jeszcze następnej - z ich kościelnymi iglicami i tak monotonną rzeźbą terenu, że mogłaby stanowić idealny pas startowy.

Wzięli tę wioskę w posiadanie. To była zmasowana inwazja. Niedawne pola farmerskie znaczyły teraz równe rzędy metalowych tuneli: lotniczych baraków, wylęgarni chorób płuc, gdzie każdy co noc zanosił się kaszlem - z powodu zimna lub nadmiernej ilości papierosów, co w gruncie rzeczy było bez znaczenia. Tamtej nocy, przed ich dwunastym lotem bojowym, Ted leżał na pryczy tuż naprzeciwko Case'a. Obaj podpierali się na łokciach, obaj cały czas palili papierosy, dyskutowali nerwowo, spekulowali, nieustannie spekulowali na temat ewentualnego celu misji, pogody, głębokości penetracji terytorium wroga, pokrywy chmur. Case był bardzo spięty i niespokojny. Od czasu do czasu chwalił się swoimi wspaniałymi zdolnościami miotacza, utrzymywał, że tuż przed wojną pierwszoligowa drużyna baseballowa Boston Braves podpisała z nim wstępny kontrakt, jednak coś

w jego tonie, w umykającym wzroku kazało Tedowi wątpić w prawdziwość tej opowieści. Po każdym locie bojowym Case przeżywał ataki obezwładniającej migreny. Wówczas przez cały dzień leżał bez życia na pryczy. Ted uważał, że Case'owi przypadła w udziale trudniejsza rola - jako drugi pilot miał mniej do roboty, a zatem więcej czasu na rozmyślanie o czyhających na nich niebezpieczeństwach. Tamtej nocy, przed lotem, Case w ogóle nie mógł zasnąć. Ted też nie. Obaj odpalali jednego papierosa od drugiego, Case opowiadał o swojej narzeczonej w Ameryce i o drużynie Bravesow. Nigdy nie sypiał przed lotem bojowym, a tym razem i Ted nie był w stanie zmrużyć oka. Stracił swojego stałego nawigatora. Często myślał, że gdyby musieli wyskakiwać z samolotu nad terytorium wroga, Case swobodnie mógłby się podać za Niemca z tym swoim wysokim, płaskim czołem i niemal pozbawionymi koloru włosami. Gdy tak leżeli w ciemnościach, wciąż dochodziło ich kasłanie. Nagle ktoś zajęczał, a potem zaczął krzyczeć przez sen. Case spojrzał na Teda. „Shulman”, zawyrokował. Pilot kiwnął głową. O świcie pomiędzy ich pryczami ciągnął się pas niedopałków

- szeroki co najmniej na stopę.

Wcześniej tego samego wieczoru, gdy potwierdzono lot bojowy na następny dzień, Ted wyruszył na poszukiwania Masona, jedyne go członka swojej załogi, którego nie mógł odnaleźć. Najpierw poszedł do klubu, potem do punktu pocztowego, następnie do jadalni, a w końcu nawet do kaplicy. Ostatecznie zarzucił poszukiwania, przekonany, że nawigator pojawi się przed odprawą wyznaczoną na trzecią rano.

W wieczór poprzedzający lot bojowy Ted zawsze brał prysznic w ustawionej na dworze kabinie. Cierpliwie znosił brutalnie lodowatą wodę, zdającą się zamarzać pod stopami. To był rytuał, rodzaj przesądu, pokuta, mająca przebłagać los, za każdym bowiem razem ich szanse statystycznie malały. Na tej samej zasadzie Tripp zawsze wkładał swój ulubiony szalik, a McNulty zabierał talię kart z pięcioma asami. Gdy tego wieczoru, trzęsąc się z zimna, wciąż wilgotny, Ted wrócił do baraku, usłyszał, jak Case mówi niemalże wyzywająco, a na pewno tak, by dotarło to do jego uszu,

że Mason pojechał do Cambridge. Ted ubrał się, wsiadł na rower i w zimowych ciemnościach popedałował do hotelu, w którym - jak wiedział - Mason zazwyczaj spotykał się ze swoją angielską dziewczyną. Po drodze zamarzyły mu wilgotne włosy, które zaczęły tajać w hotelowym holu. Recepcjonista poczuł respekt na widok lotniczych skrzydełek i, wbrew przepisom, wpuścił go na górę.

Ted zastukał, po czym otworzył drzwi. Na łóżku leżała naga kobieta. Zapamiętał rzadkie, rude włosy i pokrytą piegami skórę. Na stole stał gin, najprawdziwszy na świecie, nie wojskowy samogon. Mason był kompletnie pijany. Ted zdawał sobie jednak sprawę, że do tego hotelu przygnało nawigatora zmęczenie. Nazywali to zmęczeniem - ale był to eufemizm określający całkowite wypalenie, fizyczną niezdolność do wejścia na pokład samolotu, gdy szanse przeżycia z każdym lotem maleją i wynoszą teraz zaledwie 1:3. Kiedy Mason usłyszał o kolejnej misji, opuścił bazę. W hotelowym pokoju powiedział Tedowi, iż wie, że postawią go przed sądem polowym, zdegradują, zabiorą lotnicze skrzydełka, ale on - dodał z pijackim bełkotem - serdecznie to wszystko pieprzy - po czym wybuchnął śmiechem. Ted najpierw miał zamiar protestować, wyciągnąć go stamtąd - ale natychmiast zrezygnował. Nie ma sensu lecieć z kompletnie pijanym nawigatorem, którego na dodatek ogarnęło „zmęczenie”.

Wtedy też pomyślał przesądnie: „Muszę wystąpić o zwolnienie z tej misji”. Jednak tego nie zrobił.

Boże Narodzenie spędził z pewną angielską rodziną. Przyniósł w prezencie czekoladę i owoce dla dzieci. Była tam dziewczynka, najwyżej dwunastoletnia, o okrągłej buzi, z krótkimi włosami rozdzielonymi na boku przedziałkiem, ostrzyżonymi prosto, „pod garnek”. Dziecko było nieładne, przypominało mu Frances. I wówczas w tym małym, ceglanym domku, z pieczenia z taniego mięsa na stole i tandetnymi papierowymi dekoracjami zwieszającymi się z lamp i framug drzwi, poczuł tak wielką tęsknotę za domem, że niemal wybuchnął płaczem. Uspokajał się długo, ciągnąc głębokie łyki gorącej herbaty z porcelanowej filiżanki.

Od przedświątecznego tygodnia nie było żadnych lotów bojowych, a kiedy nie wyruszali na akcję - ogarniała ich męcząca nuda. Grali w karty,

godzinami przesiadywali w pubie. Czekali na pocztę. Codziennie chodzili na lotnisko, oglądali swoje samoloty i gawędzili z mechanikami. Niekiedy pogoda uniemożliwiała starty przez wiele dni, i ten pozorny spokój sprawiał, że wszyscy stawali się nadmiernie drażliwi. Kiedy tamtego wczesnego ranka szli na odprawę, w sali panowało tak straszne napięcie, jakiego Ted nie wyczuwał nigdy do tej pory. Pokazał wartownikowi swoją przepustkę. Gdy będzie wkładał kombinezon bojowy, zostawi tę przepustkę w bazie. Zabierze jedynie swoje blaszki-nieśmiertelniki i „zestaw ucieczkowy”: zdjęcie paszportowe w cywilnym stroju i garść drobnych w obcej walucie. Każdy członek załogi weźmie też ze sobą na pokład coś szczególnego. Monetę przynoszącą szczęście. Fotografii narzeczonej. Papierosy. Aparat fotograficzny. Małe książeczki, bez trudu mieszczące się w wewnętrznej kieszeni kombinezonu, wytwarzane z wojennego papieru, tak kruchego, że niekiedy w palcach rozsypywał się w pył.

Pogodę będą mieli fatalną. Wiedzieli to od razu. Gdy szli z baraków do sali odpraw, każdy zadzierał głowę, wpatrywał się w nocne niebo w poszukiwaniu choćby jednej gwiazdy, najwęższego skrawka księżyca, najdrobniejszej luki w pokrywie chmur. Jednak ciemność nieba zdawała się nieprzenikniona. Ted pomyślał, że jeżeli w ogóle wystartują, będą musieli natychmiast ostro wznieść się w górę, ponad pułap chmur. Formowanie klucza bywało niekiedy w takich warunkach katastrofalne w skutkach. Samoloty zderzały się we mgle, eksplodowały, w korkociągu spadały na ziemię, zanim zdołały się wznieść na wysokość tysiąca stóp. Zagubiona eskadra wpadająca na inną eskadrę w gęstych chmurach, przerażająca masyakra. Bezsensowna śmierć, o ile w ogóle można mówić o sensownej śmierci.

Case dłużył w zębach wykałaczką; siedzący za nim Shulman coś nucił pod nosem. Glenn Miller, „A String of Pearls”. Shulman pochodził z Chicago, gdzie pracował jako spawacz, tak jak i jego ojciec. Miał fatalną cerę i małe, świdrujące oczka. Mason był perkusistą. Zazwyczaj grywał w salach tanecznych Nowego Jorku. Niekiedy zabawiał ich, wystukując skomplikowane rytmy drewnianymi pałeczkami zrobionymi ze wskazówki ukradzionej z sali odpraw, odpowiednio ostruganej i wygładzonej papie-

rem ściernym. Gdy patrzyło się na jego ręce fruujące nad barowymi stolami, można było sobie wyobrazić, że się siedzi w jakimś nocnym klubie przy stoliku ustawionym w pobliżu parkietu, słucha solówki na perkusji i popija różowy gin w towarzystwie kobiety w czerwonej sukni. Chociaż, prawdę mówiąc, Ted nigdy w życiu nie przeżył czegoś podobnego. W sali odpraw Case odpakowywał jedną gumę do żucia po drugiej i metodycznie wypychał suche listki do ust. Nieustannie podrygiwał nogą. Mimo przejmującego chłodu po skroniach drugiego pilota spływały strużki potu.

Ted wbił wzrok w zawieszoną na ścianie mapę, wciąż jeszcze zasłoniętą czarną płachtą. Zastanawiał się, jak długi będzie tym razem biegnący przez nią czerwony sznureczek – dokąd dokładnie ich zaprowadzi. Cała sala rozbrzmiewała pokasywaniami, a było tak zimno, że każdy mógł zobaczyć własny oddech.

Zapamiętał poznaczony plamami oleju beton pasa startowego i nadzieście brzasku - ledwo widoczny, blady rozbłysk w spowijającej wszystko ciemnej szarości. Na płycie lotniska stały inne samoloty, wokół których uwijały się służby naziemne, ładowarki bomb, cysterny z paliwem. A dalej ciągnęły się gołe pola, za nimi zaś ostra linia drzew, w powietrzu unosił się samotny, rytmiczny stukot pociągu.

Podał Case'owi swój spadochron i torbę lotniczą, a sam zwrócił się do szefa obsługi naziemnej Aikinsa, który wręczył mu formularz 1A. Klapa podwozia została nareperowana, przeczytał Ted, po czym zajął się inspekcją samolotu z zewnątrz. B-17, przypominający kawał wyklepanego metalu, został doprowadzony do stanu pozwalającego na bezpieczne latanie, ale nie przeszedł żadnych zabiegów kosmetycznych. A niezliczone misje odcisnęły na nim swe piętno. W wielu miejscach farba była odrapana i tam wyłaniała się srebrzystość metalu; kule i odłamki poznały kadłub. Oliwkowa farba w pobliżu dziobu była cała wymazana olejem silnikowym.

Usadowieni w ogonie członkowie załogi wkładali swoje kamizelki ratunkowe. Niemal wszyscy byli bardzo młodzi - dziewiętnasto-, dwudziestoletni - i przygnębieni wysokim odsetkiem strat. Nazywali Teda „sta-

rym", mimo że dzisiaj obchodził dopiero dwudzieste drugie urodziny. Jeżeli wrócą bezpiecznie do bazy, powie im o tym, po czym się upije i zostanie pijany aż do Nowego Roku. Warren był synem farmera, Ekberg pracował w kłęgielni. Byli grupą obcych sobie ludzi, których przypadkowo zetknął los - w rodzinnym kraju zapewne nigdy nie mieliby ochoty się poznać. A teraz zdarzało się niekiedy, że nawet zawiązywały się między nimi przyjaźnie.

Ludwigshafen. Ted smakował tę nazwę na języku. Fabryka syntetycznego paliwa i środków chemicznych w pobliżu Mannheim, dwadzieścia dwie mile w głąb terytorium Niemiec. W pokoju odpraw dowódca eskadry pogasił światła, by mogli uważnie przestudiować zdjęcia lotnicze - wyszukać spośród szarych kształtów swoje cele: niewielkie prostokąty, nieznacznie odcinające się od reszty krajobrazu. Każda odprawa kończyła się w ten sam sposób - synchronizacją zegarków, przestrogi i ostrzeżeniami oraz ponurym komunikatem: „Jeżeli wam się nie uda, będą tam musieli polecieć następni”.

Przeszedł na lewe skrzydło i zaczął oglądać silniki. Wyteżał wzrok, by sprawdzić, czy na śmigłach nie ma żadnych pęknięć ani szczerb. Jeden z członków służb naziemnych polerował pleksiglasowy dziób. Zasalutował Tedowi. Ted tymczasem wspiął się do środka samolotu, by i tam dokonać inspekcji. I w tym momencie, jak zwykle, poczuł się nieswojo. Nie z powodu strachu - choć, oczywiście, bał się jak wszyscy inni - ale ponieważ nie odpowiadała mu rola dowódcy. Był dobrym pilotem, może nawet doskonałym pilotem. Ale nie chciał ponosić odpowiedzialności za życie tych wszystkich ludzi siedzących z tyłu maszyny. Gdy wstępował do wojska, miał nadzieję, że dostanie się do lotnictwa zwiadowczego. Chciał latać samotnie.

Case siedział w kabinie z pobladłą, ciastowatą twarzą. Ted jednak wiedział, że gdy już się wzbiją w powietrze, drugi pilot poczuje się lepiej. Najbardziej wykańczało go zawsze czekanie na lot bojowy.

Piloci zazwyczaj kochali swoje samoloty, ale Ted - nie. To z pewnością nie była miłość. Inni mówili o swoich samolotach tak, jakby rzeczywiście były to kobiety, których imiona nosiły - Miss Barbara, Jeannie Bee,

Reluctant Virgin – głaskali je czule przed misją, a po szczęśliwym powrocie obcałowowali szaleńczo. Ale dla Teda bombowiec był jedynie maszyną,

w której coś może w każdej chwili przestać funkcjonować - co niekiedy rzeczywiście się zdarzało - maszyną, z którą w ciągu poprzednich jedenastu misji ledwo zawarł chwiejny rozejm. Ted darzył szacunkiem tę maszynę i ludzi, którzy musieli znajdować się na jej pokładzie, ale po skończonym locie zawsze z przyjemnością odchodził od niej jak najdalej.

Dwóch pilotów siedziało w pięciostopowym sześcianie kabiny. Wszędzie wokół nich - z przodu, po bokach, z tyłu w suficie, a nawet w podłodze - znajdowały się kontrolki, przyciski, przełączniki. W przypadku B-17 latanie to pojęcie względne - Ted uważał, że to bardziej przedsięwzięcie inżyni-

nieryjne niż pokonanie prawa grawitacji. Za mniej więcej dwadzieścia minut będzie musiał przeprowadzić skomplikowaną serię manewrów tą ciężką maszyną na wysokości 26 000 stóp ponad ziemią, w temperaturze 30° poniżej zera, w czasie gdy niemieckie myśliwce będą prowadzić ostry ostrzał. Ale w tym momencie nie należało o tym myśleć.

Pozycja Shulmana, bombardiera, znajdowała się w samym nosie; Warren wkrótce miał wpełznąć do stanowiska strzeleckiego, poniżej kabiny pilotów, gdzie przez cały czas będzie siedział skulony w pozycji embrionalnej; Ekberg, tylny strzelec, zajął swoje stanowisko w ogonie. Baker, nowy nawigator, był cichy w towarzystwie nieznanym sobie ludzi. W przedziale radiowym Callahan i Tripp wykpiwali Reesa, który dostał torsji w czasie poprzedniego lotu - albo ze strachu, albo z powodu zatrucia pokarmowego, Ted tak naprawdę nie wiedział. Rees miał wielki nos i krzywy półuśmiezek - swoją własną szczególną broń przeciw niewyobrażalnemu.

- Porzygasz się tym razem, to wyślę cię do Ludwigshafen razem z naszym ładunkiem.

Rees nachylił się w stronę Trippa, krztusząc się wymownie.

- Odpieprz się, Rees - odepchnął go Tripp.

- Case, masz jeszcze gumę?

Case właśnie odwijał trzeci listek w ciągu trzech minut. Kolejny miał już przygotowany, zatknięty za ucho. Ted postanowił przebiec jeszcze raz standardową procedurę przedstartową, by uspokoić nieco nerwy Case'a.

Chłodnica. W porządku. Żyroskop. W porządku. Przełączniki paliwa. OK. Ssanie. W porządku. Odladzacze skrzydeł i śmigieł. Wyłączone. Generatory. Przygotowane do startu.

I wtedy usłyszał sygnał przez radio. Czas wznosić się w górę.

Pewnego razu, w październiku, odbył prawdziwy lot samolotem. Jakiegoś generała trzeba było przetransportować do innej bazy i Ted, który dzień wcześniej zaliczył swój trzeci lot bojowy, został wyznaczony do tego zadania. Maszyna była istnym darem bożym - jednosilnikowy tiger moth,

który uniósł się z pasa startowego z lekkością bańki mydlanej. Ted zastanawiał się, do kogo to cacko należało przed wojną. Do utytułowanego playboya o rozlicznych włościach? Dzień był pogodny - ani śladu mgiełki nad horyzontem - i tylko wysoko nad nimi cienkie, białe cirrusy. Lot do Molesworth odbył zgodnie ze wszelkimi prawidłami sztuki. General mówił niewiele, Ted jeszcze mniej. Kiedy jednak wysadził swojego pasażera - a ten zasalutował mu z płyty lotniska - Ted poczuł, że ma teraz samolot całkowicie dla siebie.

Przekołowat w radosnych podrygach przez płytę lotniska Molesworth, po czyni wpadł na twardą powierzchnię pasa startowego. Żwirowe utwardzone stanowiska po obu stronach ziały pustką - normalnie stało tam wiele samolotów, które jeszcze tego samego dnia powrócą, albo i nie powrócą z misji.

Ted rzucił okiem na metalowe tunele baraków, ciężarówki służb ratowniczych, rękaw wiatromierza, z lekkim trzepotem wydymający się ku wschodowi. Mechanik pracujący na skrzydle uszkodzonego B-17 podniósł się i pomachał mu ręką. Ted pchnął dźwignię mocy. Samolot nabrał przyspieszenia. Drgania ustały. Samolot zaczął poruszać się gładko.

Gdy tylko koła oderwały się od podłoża, przechylił się na skrzydło i przygotował do skrętu. Za oknami ziemia umykała spod brzucha maszyny, pokazały się kunsztowne sploty zieleni, brązu i złota, gdzieniegdzie

przetykane pasemkami wody, ostro połyskującymi w słońcu. Ted ujrzał traktor ciągnący pług i biegnącego za nim psa. Miał wrażenie, że z ziemi dobiega go zapach nawozu. Na następnym polu pasły się owce, a gdzieś za nimi, ułożone w abstrakcyjny wzór, majaczyły bele siana. Kątem oka wciąż jeszcze dostrzegał baraki lotników, hangary, drewnianą wieżę kontrolną - ale teraz były to już tylko maleńkie kształty, bez żadnego znaczenia. Prawdę mówiąc, w tym momencie nic, co znajdowało się na ziemi, nie miało już dla niego najmniejszego znaczenia.

Przeleciał nad wioską - z pubem, kościelną iglicą i wąskimi, szeregowymi domkami. Podążył wzdłuż piaszczystej ścieżki prowadzącej do jednej z chat i został nagrodzony pięknym widokiem rozbłysku słonecznych promieni na szybie okna w dachu. Niebo miało głęboki szafirowy odcień, słońce aż nazbyt jaskrawo odbijało się od dziobu samolotu. Niespodziewanie Ted wpadł w obszar turbulencji, maszyna zadygotała, straciła mniej więcej sto stóp wysokości. Na zachodzie wyłoniło się pasmo grafitowego atlasu - najprawdopodobniej Londyn, pomyślał Ted.

Nagle ostro zanurkował i przeleciał nisko nad polem żyta, nabierając prędkości. A zaraz potem poderwał nos maszyny ostro do góry, aż wcisnęło go w siedzenie. Wspinał się po długiej, wysokiej pętli i na moment, na jej szczycie, zamarł w bezruchu - zaledwie ciemny punkt na niebie rozciągniętym ponad sielskim krajobrazem. Po chwili zaczął gwałtownie opadać i poczuł cudowny dreszcz podniecenia. Pochylił się na skrzydło, zawrócił, zataczał ósemki. Takich sztuk uczyli człowieka w szkole pilotażu, a potem wsadzali do trzydziestopięcioletniego bombowca, którego tylko przy wielkim szczęściu udawało się poderwać z ziemi. Teraz jednak Ted wzbijał się coraz wyżej i obracał w beczkach ponad urokliwymi wiejskimi terenami w najpiękniejszy dzień, jaki Anglia oglądała od wielu tygodni, i przez ten krótki moment czuł się wolny. Wolny od Case'a, Shulmana i McNulty'ego oraz bezsennych nocy. Wolny od „wylęgarni chorób płuc” i obrzydliwego żarcia. Wolny od strachu przed śmiercią. Wolny od samej wojny. Po piekle pierwszego lotu bojowego obiecał sobie, że gdy tylko wojna się skończy, już nigdy nie usiądzie za sterami samolotu. Ale tamtego dnia - gdy w powolnych obrotach dryfował w stronę horyzontu -

przez chwilę znowu odczuł tę nadzwyczajną radość latania. Bogactwo niezwykłych doznań przeszło łagodnie jego pierś gdzieś w okolicach serca.

Gdy samolot zawisał w powietrzu, zaczął trzepotać i opadać niczym pisklę, niechętnie opuszczaniu gniazda. Ted czuł wyraźnie tę lekkość powietrza pod sobą, szczególny przechył maszyny. Prawe skrzydło zapadało się w przestrzeń, po czym zaczynało wirować. Ale gdy Ted czuł, że zaczyna niekontrolowanie tracić wysokość, wprowadzał maszynę w ostry lot nurkowy, po czym natychmiast gwałtownie wyprowadzał ją w górę.

Znajdował się sto stóp nad polami. Gdyby ktoś go obserwował i zameldował o tych wyczynach dowództwu – odebraliby mu licencję. Kiedy zamajaczyły przed nim wieże Cambridge, zaczął znowu się wznosić - leciał w górę tak ostro, jak tylko mógł. Nagle zapragnął się znaleźć zawieszony ponad tym światem - byle jak najdalej od ziemi.

Policzki Case'a dygotały w rytm wibracji samolotu. Czekali na flary stanowiące sygnał do startu. Przez telefon pokładowy Ted zaczął sprawdzać pogotowie bojowe załogi. Ekberg, strzelec siedzący w ogonie, zdawał się pijany. Jakim cudem nie zauważył tego wcześniej? Będą drugim samolotem w formacji - tuż za prowadzącym Old Gold, pomalowanym na krzykliwy kolor, by łatwo było go dojrzeć w powietrzu. „Old Gold” - jarmeniowa, tandetna kaczka ciągnąca za sobą szare, posępne stado. Dwadzieścia maszyn - a oni będą drugą.

Ted rzucił okiem na rozkaz bojowy, po czym podał go Case'owi. Rozkaz zawierał kody i szczegóły zadania. Spisywano go na papierze ryżowym - gdyby zostali zestrzeleni, pilot miał obowiązek go zjeść. Chwilę później Ted dojrzał flary i uniósł kciuk w górę, dając tym znak członkowi obsługi

naziemnej, by wyjął podstawki spod kół. Wytoczył powoli maszynę ze zwirowego stanowiska na pas startowy. Huk w samolocie zdawał się ogłuszający. Ted niekiedy sądził, że najgorszy w tym wszystkim jest właśnie ten hałas i że jeżeli istnieje coś takiego jak piekło, to rozbrzmiewa dźwiękami rozlegającymi się we wnętrzu B-17. Zwiększył obroty silnika, by
sprawdzić

ich działanie. Byli załadowani do granic możliwości - w lukach bombowych mieli 5000 funtów bomb, a w zbiornikach 2600 galonów paliwa. W takiej sytuacji nigdy nie wiedzieli, czy zdołają się oderwać do ziemi. Ted w tym momencie pomyślał o Shulmanie usadowionym w kabynie dziobowej, wpatrzonym w umykający grunt.

„Old Gold” uniósł się znad pasa; Ted zwiększył obroty silników do maksimum. Hałas, który wcześniej zdawał się nie do zniesienia, teraz był już monstrualny. Ted wiedział, że ludzie siedzący za i pod jego kabiną modlą się teraz – poderwij tego skurwysyna z ziemi. Tak jest, pomyślał pilot, poderwij bombowiec w górę, a potem proś o łut szczęścia, byś zdołał zrobić to jeszcze następnych trzynaście razy. Nagle beton pasa się urwał, znaleźli się w nieprzejrzystej brei.

Lotnicy z RAF-u nazywali to mlecznym akwariem. Ted przeleciał nad radiolatarnią, pilnie wypatrując złowieszczy cienia we mgle - innego błędzącego po omacku B-17, który mógłby przypałać się za blisko. Na wysokości 10 000 stóp wydał rozkaz nałożenia masek tlenowych. W takich warunkach dwadzieścia sekund bez tlenu mogłoby się zakończyć tragicznie. Poza tym przypomniał wszystkim, tak jak zwykle, by pod żadnym pozorem nie ściągali rękawic. W ferworze walki strzelcy niekiedy zrzucali je z rąk, by precyzyjniej obsługiwać broń, ale na tych wysokościach palce przymarzały im do metalu i trzeba było odrywać je brutalnie wraz ze skórą. Za moment zrobi się tak zimno, że nawigator nie będzie mógł nanosić koordynat ołówkiem - grafit zamarzał na wysokości 20 000 stóp. Lodowate powietrze wdzierało się otworami w środkowym przedziale kadłuba - tam, gdzie znajdowały się pozycje strzelców. Większość załogi miała na sobie elektrycznie ogrzewane kombinezony, ale Ted, odkąd w czasie ósmego lotu bojowego drut z uszkodzoną izolacją sparzył mu nogę, wolał siedzieć w tradycyjnym skórzanym stroju i w kurtce podbitej kożuszką. Wszyscy byli w kamizelkach ratunkowych, jednak spadochrony mieli zawieszane w pobliżu swoich

stanowisk, trzymanie ich bowiem na plecach uniemożliwiało wykonywanie zadań bojowych. Kiedy wejdą w strefę zagrożenia ogniem baterii

przeciwlotniczych, Ted wyda rozkaz włożenia kamizelek przeciwodłamkowych. Chociaż Rees na pewno swojej nie włoży, za to na niej stanie. W trakcie jednego z lotów bojowych z inną załogą Rees widział na własne oczy, jak myśliwiec Luftwaffe rozorał brzuch bombowca. Środkowy strzelec został trafiony od dołu. Pocisk wybił dziurę szeroką na dwie i pół stopy i zastrzelony mężczyzna, ku przerażeniu Reesa, po prostu wypadł przez podłogę samolotu.

Silniki ciężko pracowały w locie wznoszącym. Na wysokości 14 000 stóp ich praca się wyrównała.

Od Kanału do punktu wyjściowego Ted co piętnaście minut zmieniał się za sterami z Case'em. Dzięki tej taktyce Case nie zawracał mu głowy: gdy lecisz w kluczu, trzymaj się blisko innych, ale nie za blisko; wypatruj myśliwców wroga, przecież wiesz, że zaraz się pojawią.

W słuchawkach słyszał pogaduszki załogi odbywane przez interkom. Bezmyślną paplaninę 20 000 stóp ponad Kanałem.

Dopóki mogłeś gadać z kumplami, przerzucać się dowcipami - czuleś, że żyjesz. Słowa ślizgały się w przestrzeni naładowanej nerwowym napięciem - przebiegały od dziobu do ogona i z powrotem.

Chłodnicze jajka nie są ani odrobinę lepsze od tego sproszkowanego gówna. A przecież skazańcom należało się przynajmniej przyzwoite śniadanie. Nawet więźniowie byli traktowani dużo lepiej. Zamknij się i nie pieprz nic o skazańcach, Mc Nulty. Ściągniesz nieszczęście na ten samolot.

Słuchaj, Callahan, po prostu z góry załóż, że jesteś już trupem, co za problem? Ciesz się z wycieczki. Chryste, mam nadzieję, że nie będziemy musieli wyskakiwać. Coś się popieprzyło w moim spadochronie. A mnie w butach przestało działać ogrzewanie. Stopy mi zamarzają. Jesteś pewien? Całkowicie. Hej, Warren, oddaj mi swoje buty. Odpieprz się, Ekberg. Jeżeli nas zestrzelą, wrócę z zaświatów, by cię prześladować. Chłopie, kocham ten moment, gdy już się wzniesiemy ponad chmury. Nie mogę znieść życia w tym kraju. Jak ci ludzie dają radę tu żyć? Dzień po dniu nic, tylko deszcz. Co się dzieje z „Fil Be Home”? Czy zawraca do bazy?

Nie, wpadł w turbulencję. Hu naszych jest teraz w górze? Nie mam pojęcia, dwadzieścia pięć, trzydzieści maszyn? Chłopie, ale sobie jutro pofolguję. Na przyjęcie noworoczne mają ściągnąć dziewczyny z Cambridge. Ale nie dla ciebie, Shulman, ty jesteś żonaty. 1944. Dacie wiarę? Myślicie, że wojna się skończy w 1944? Słuchaj, Rees, ja jedynie chcę dożyć czterdziestego czwartego. Myślisz, że mam jakieś szanse?

Ted słuchał tych pogawędek i jednocześnie uważnie lustrował niebo. Wiedział, że walka niekiedy przekształca się w tak wspaniały spektakl, że aż zapiera dech w piersiach. Wdzięczny łuk myśliwca ukazującego swój opancerzony grzbiet, opadającego ślizgiem w dół, znikającego z zasięgu wzroku i strzału. Ostre błyski srebrnych samolotów, gdy atakują cię od strony słońca. Wielki B-17 opadający ku ziemi z godnością, majestatycznie, jakby przez nieuwagę strącony ręką Boga. Dziwaczne atramentowe kleksy wykwitające na tle błękitu i unoszące się w powietrzu antyki szerokie na dwadzieścia stóp, wypełnione eksplodującą stalą. Długie, białe smugi ciągnące za formacją bombowców - mapy drogowe dla niemieckich myśliwców. Samolot, rozdarty w połowie na ten widok zamiera serce. Szybko liczy się spadochrony. I przerywa radiową ciszę, wydziera do nieszczęsnej załogi, by wyskakowali, natychmiast wyskakowali. To było zawsze najgorsze doświadczenie, z którym trudno się uporać, wymazać je z pamięci.

Prawy środkowy do pilota. „Harriet W” odpada od prawej.

Zrozumiałem, prawy środkowy. Tylny, a co u ciebie?

Tylny do pilota. Nasz prawoskrzydłowy został jakieś trzysta jardów za nami. I leci na niższym poziomie. Dwa inne B-17 jakieś ćwierć mili na prawo od nas.

Dzięki, tylny.

Łuk strzelniczy do pilota. Wyraźne smugi odrzutowe przed nami.

Zrozumiałem, łuk strzelniczy.

Ted pomyślał o Warrenie siedzącym w tym luku. Pięć, sześć, niekiedy dziewięć godzin w nieprawdopodobnie ciasnej przestrzeni, w skulonej pozycji. Widok jedynie na ziemię. A jeżeli kłapa luku się zacięła, co się niekiedy zdarzało, uwięziony tam strzelec musiał z pokorą znieść, co przy-

niesie los: gdyby zostali trafieni, nie mógłby wyskoczyć; w razie lądowania na brzuchu zostałyby starty na proch. Najgorsza pozycja bojowa w samolocie.

Lewy środkowy do pilota. Prawoskrzydłowy zawraca do bazy. Wycofuje się z misji.

Zrozumiałem.

Tylny do pilota. Kolejna formacja bombowców wysoko, na trzeciej.

Dzięki. Nie spuszczaaj ich z oka.

Wkrótce też Ted usłyszał, jak Shulman wydaje wszystkim strzelcom rozkaz oddania próbnych serii z broni pokładowej. Karabiny zagrzechotały i w kabinie rozsunęła się woń dymu.

Prawy środkowy do pilota. Z formacji odpadł kolejny samolot. Ma jakieś kłopoty ze śmigłem.

Nawigator do pilota. Wybrzeże nieprzyjacielskie.

Zrozumiałem. Pilot do wszystkich członków załogi. Kamizelki przeciwodłamkowe.

Ted pamiętał, że mniej więcej w tym właśnie momencie spotkali się z eskortą własnych myśliwców, i że już rozboleły go plecy od nieustannych wibracji w bombowcu. Miał też wrażenie, że wciąż dochodzi go szczególnie, ostry zapach gorącego ebonitu z przedziału radiowego. I wówczas usłyszał krzyk Reesa, a może Ekberga - w pierwszej chwili nie mógł rozróżnić. Nie, to jednak musiał być wrzask Reesa, i wówczas zorientował się, że zostali trafieni. Przerazająco szybko. Wstrząs uderzenia był tak potężny, że Ted przygryzł sobie język i poczuł smak krwi w ustach.

Nagle jakby eksplodował telefon pokładowy, a wraz z nim otaczające ich niebo.

Bandyci na trzeciej, dużo wyżej. Jezu Chryste. Szlag by to trafił. Gdzie są te pieprzone myśliwce eskorty? Fokkery na dwunastej, ten sam poziom. Grzechot broni maszynowej. Kurwa, zaciął mi się karabin. Widziałem go, został trafiony. Ciągnął się za nim pas dymu. Święty Boże. Sponiewierany, zmaltretowany samolot. Białe wykwyty ognia. Wreszcie obok myśliwce eskorty. Cudownie - tylko spójrzcie na ten widok. Niemiecki fokewulf przeleciał tuż przed kokpitem, ziejąc ogniem. Wykończyć pilota, unieruchomić bombowiec – przecież właśnie o to chodziło w tej grze. „Lady-in-Waiting” zaliczyła trafienie, sir. Jezu Chryste, ma odstrzelone skrzydło. Zaczyna spadać. Liczcie spadochrony. Nie wolno załamywać linii formacji. Słońce świeci prosto w oczy. Trafienie, uderzenie rozrywające kręgosłup. Ale Ted wciąż nie wiedział, gdzie dokładnie zostali trafieni. Prawy środkowy, zgłoś się. Tylny, zgłoś się. Gdzie zostaliśmy trafieni? Tuż ponad lukiem bombowym, sir. Cztery minuty do obszaru lądowego Rzeszy. Nawigator, Baker, składający beznamiętne meldunki, kreślący koordynaty. Czym on, na Boga jedyne, je wykreślał? Luk strzelniczy do pilota. B-17 w nisko lecącej formacji plonie. Lewoskrzydłowy plonie i spada. Myśliwce! Na trzeciej, ten sam poziom. Skurwysyn. Na przedniej szybie

wykwitła plama krwi. Case zaczął wrzeszczeć. Dostał w ramię. Zgiął się wpół, wpadł pod tablicę z przyrządami nawigacyjnymi. Tuż za nim Rees zaniósł się histerycznym śmiechem. Dorwałem jednego. Dorwałem. To niepotwierdzone trafienie, Rees. Gównno, a nie żadne niepotwierdzone. Trafiłem go i już. Case, z twarzą białą jak płótno, wymiotował. Tripp, przyjdź tu natychmiast z apteczką. Case dostał. Jezu Chryste. Palimy się, sir. Tripp rwący bandaż zębami. Callahan miotający się z gaśnicą. Kurwa, eskorta zawraca. Utrzymać formację. Słońce oślepia, uderza prosto w oczy. Eskadra bombowców została teraz zdana jedynie na siebie.

Wróg, nadlatujący ze wschodu, ma przewagę pozycji. Dziesięć messerschmittów leci od strony słońca. O, mój Boże, tylko popatrzcie. Jezu, atakują eskadrę górnego pułapu. Już jesteśmy ugotowani. Zdrowaś Mario, łaskiś pełna... dziesiątkują nas jak muchy. Bombowce B-17 - trafione, wstrząsane wybuchami. Spadające na twoich oczach. Ted zanurkował ostro

i niespodziewanie. Wszystko, co nie było przymocowane, zaczęło fruwać po całym samolocie. Trzask metalu uderzającego o metal. Strzelcy przyciśnięci do ścianki działowej, zaciśnięte, rozciągnięte usta. Nikt nie był w stanie wykrztusić z siebie słowa. Ted wyrównał lot, po czym znowu zaczął się wznosić. Jezu Chryste, a co to? Ledwo uniknęli zderzenia ze spadającą fortecą. Wyżej, wznies się wyżej. Dołącz do szyku. Jeden z messerschmittów atakuje teraz dolny klucz. Karabin mi się zaciął. Ted nie mógł zidentyfikować głosu tego strzelca. Lewy środkowy, zgłoś się. Niemieckie myśliwce oddalają się. Tępy odgłos wybuchającego pocisku. Te- da doleciał zapach kordytu. Musieli się znaleźć gdzieś blisko trafionego celu.

Kamizelki przeciwodłamkowe i hełmy. Nikomu nie trzeba było dwa razy powtarzać. Panika, walenie serca, szrapnel, jakby grad kamiennych kulek uderzył o powłokę metalu. Wrzask w telefonie pokładowym. Dwa karabiny zamarzły.

„Old Gold” zostaje z tyłu.
Co?

Połączył się z Shulmanem siedzącym w dziobie. Czy „Old Gold” zaliczył trafienie? Nie wydaje mi się. Widzisz ogień? Nie, nie widzę. Traci wysokość? Może nieznacznie. Przerwać ciszę radiową? Nie można. Dlaczego „Old Gold” się z nim nie skomunikował? Czemu nie przekazał mu prowadzenia klucza? Uszkodzone radio? Prawdopodobnie. Miał rozkaz lecieć za samolotem prowadzącym. Więc musi wytracić prędkość, złamać szyk formacji. Czy inni podążą za nim? To było samobójstwo. Zdecydował się więc jednak przerwać ciszę radiową. Nie miał innego wyjścia. „Old Gold”, tu „Woman's Home Companion”, czy mnie słyszysz? Cisza. „Old Gold”, zgłoś się. Czy zostaliście trafieni? Cisza. Nagle ogarnął go straszliwy gniew, zaczął wrzeszczeć. „Old Gold”, ty skurwysynu, co się dzieje? Cisza. Radio nie działało, a prowadzący teraz już gwałtownie wytracał wysokość. Tylko czemu?

W tym momencie „Old Gold” przechylił się nieznacznie na skrzydło i wówczas wszystko zrozumieli.

Z bombowca wyciekało paliwo, leciało kaskadą - jasnoatramentowa smuga przecinająca niebo. Maszyna opadała coraz szybciej. Ujrzeni spadochrony. Jeden, dwa, trzy. Czekali z zapartym tchem. Cztery... pięć... Czekali dalej. A więc tylko pięć. Nagle bombowiec, teraz już tysiąc stóp poniżej ich poziomu, przechylił się gwałtownie na skrzydło, a po chwili do góry brzuchem.

Przez chwilę w radiu panowała całkowita cisza.

Nawigator do pilota. Sir, staliśmy się łatwym celem. Musi nas pan stąd wyprowadzić.

Case siedział zwinięty w pół. Jeszcze zdołamy dolecieć do Kanału, Brice. Możemy wodować. Na rany Chrystusa, tylko nie ląduj w tym miejscu.

Bombardier do pilota. Musimy dołączyć do formacji.

Ted zwiększył obroty silników do maksimum. Nawigator wykreślał koordynaty, usiłował wyliczyć, jak daleka droga dzieli ich od klucza. Ted wzbogacał mieszankę; w tym bajzlu stracili wiele paliwa. Nieustannie też lustrował niebo, wysilał wzrok aż do bólu. Wszyscy wbijali oczy w niebo. Poza formacją byli bezbronni jak niemowlę. W radiu rozlegał się czyjś

płacz.

Ted nie mógł rozpoznać czyj. Case wciąż siedział zgięty wpół, z głową pod tablicą rozdzielczą, i znów gwałtownie wymiotował na podłogę.

Ted spojrział w górę. Niebo zdawało się płonąć jaskrawym, jasnym światłem - teatralnie, zachwycająco. Ted nigdy wcześniej nie widział tak wielu myśliwców - srebrnych, połyskujących w słońcu. Nagle przed oczami stanęła mu sfora ogarów osaczająca lisa.

Rozdzierająca go na kawałki.

Nagle w radiu rozległ się krzyk. Prawy środkowy do pilota. Zostaliśmy trafieni w ogon, sir. Trzask, wibracje – wyjątkowo gwałtowne na pedałach sterów. Przewody zostały uszkodzone. Tracili wysokość. Trzeba opuścić nos, nie dopuścić do pionowego postawienia samolotu. Pilot do tylnego strzelca. Zgłoś się. Cisza. Tylny, zgłoś się. Cisza. Lewy środkowy, sprawdź, co z Ekbergiem. Callahan ruszył w stronę ogona. Lewy środkowy do pilota. Zaliczyliśmy paskudne trafienie. Z ogona wciąż coś odpada. A Ekberg? Nie mam pojęcia, sir. Żadnego draśnięcia. Ani śladu krwi. Wstrząs mózgu? Tak mi się zdaje, sir. OK, wciągnij go do środkowego przedziału i chwytaj swój karabin. Kolejne trafienie i jeszcze następne. Wszystko się rozpada, pęka. Trzaskają obudowy przyrządów. Bezpośred-

nie trafienie w silnik numer cztery. Nagłe ogłuszający krzyk. To Warren, sir, w łuku strzelniczym. Teraz w radiu rozlegał się jedynie ten wrzask.

Uniki, jak najwięcej uników. Bandyci są już wszędzie wokół. Tak blisko, że widać, jak rytmicznie, szybko pęcherze ich masek tlenowych pompują i wypompowują powietrze, podobnie jak i jego. Kolejne trafienie. Spieprzajmy stąd jak najszybciej. Teraz Baker już wrzeszczał. Nie wiedział, gdzie się znajdują. Kawałki statecznika rozpadają się w ciągu powietrznym. Ted zanurkował w chmury, przechylił na skrzydło, skręcił na zachód. Tracili paliwo i wysokość. Silnik numer dwa płonął. Case ponownie zaczął krzyczeć - możemy jeszcze wodować w Kanale, sukiny-synu. Nie, nie możemy. Mamy rannych. To oznacza śmierć dla rannych. Pieprzyć rannych, Brice. To tylko dwóch. Pozostało nas jeszcze ośmiu, na pewno nas wyłowią. Wyciągnijcie Warrena z luku. Nie widzę myśliwców,

sir. Nie widzę też ziemi. Chmura była szarym, ochronnym kocem - ale na swój sposób także śmiertelną pułapką. Bombardier, spuścić cały ładunek bomb, ale nad polami. Bomby są uzbrojone, sir. Bombardier, masz się natychmiast ich pozbyć. To sytuacja awaryjna. Czekał, aż Shulman przesunie dźwignię klapy luku bombowego. Lewy środkowy do pilota. Zauważyłem, jak odpada kawał stabilizatora. Ted teraz już walczył, by zachować panowanie nad sterami i utrzymać samolot w locie poziomym, jednak szybko tracili wysokość. Nagle rozległ się głośny szurgot - luk bombowy został otwarty. Samolot był teraz na tyle blisko ziemi, że czuli wstrząsy wywołane wybuchami. Zdawało im się, że zrzucili ładunek na pola, ale pokrywa chmur była bardzo gruba, a niebo ciemnoszare. Więc kto wie? Dwa tysiące stóp. Czy zdołaliby dolecieć do Kanału? Obowiązki ma się wobec żywych. Ale jakże mógłby skazać dwóch ludzi na pewną śmierć? Pilot do całej załogi. Wyrzucicie wszystko, co niezbędne. Lądujemy na brzuchu. Na horyzoncie zamajaczyła wioska. Pilot do nawigatora. Gdzie jesteśmy? Nie wiem, sir. Tysiąc pięćset stóp. Za wioską wypłaszczenie terenu, być może pole. Tysiąc stóp i ciągle wytracanie wysokości. Pilot do załogi. Przygotować się do awaryjnego lądowania. Osiemset stóp. Pilot do lewego środkowego. Czy Warren wyciągnięty z luku strzelniczego? Tak, sir, ale potężnie oberwał. Case wciąż się wydzierał. Jeszcze zdołasz dolecieć do Kanału. Pięćset stóp. Znajdował się nad wioską, opadał. Zdołał wzniesić się odrobinę, silniki już wysiadały. Musi skierować się jak najdalej na zachód. Proszę, Boże, pozwól nam dolecieć do tego pastwiska. Może wystarczy miejsca, by wylądować. Ślizg na brzuchu spowoduje znaczne wytracenie prędkości. Jeżeli nie - uderzą w drzewa. Baker wciąż składał mu meldunki. Dwieście stóp. Tracą paliwo. Sir, czy pan mnie słyszy? Czy pan mnie słyszy?

Uszy rozsadał mu czyjś wrzask. Wibracje niemal rozrywały samolot, groziły oderwaniem skrzydła. Z największą trudnością utrzymywał bombowiec w locie poziomym. Ujrzał iglicę kościoła, pastwisko. Z powodu nieopisanego ryku silników krowy rozpierzchły się w panice; koń stanął dęba. Lekki przechył na skrzydło, ale Ted zdołał wyrównać lot, tuż zanim

dotknęli ziemi. Poczuli ostre uderzenie, szarpnięcie, jedno, drugie, tarcie podwozia o grunt. Wyszłą trawę pokrywał szron.

I wówczas wreszcie zapadła cisza.

Chłopiec drżał w swej kurtce. Tym razem nie z zimna ani ze strachu, ale z powodu gęstwiny jeżyn, szarości nieba, roztrzaskanego samolotu. Teraz po raz pierwszy poczuł, że znalazł się w wirze wojny. Czymś zupełnie innym było rojenie, że odnajdzie w lesie amerykańskiego lotnika, a całkiem innym wpatrywanie się w jego stopę. Jean pomyślał, że mężczyzna na pewno nie żyje. Opadł na kolana, przeczołgał się do drugiego końca kępy krzewów. W szarym świetle wbijał wzrok w płataninę kolczastych gałęzi, przerażony, że jednak znajdzie to, czego szukał.

W końcu dojrzał twarz - podrapaną, we krwi, przechyloną na bok, z zamkniętymi oczami. Ale ta twarz wciąż miała różowy odcień; ten Amerykanin zupełnie nie wyglądał tak, jak nieżywy człowiek obok samolotu.

- Hello - odezwał się Jean łamiącym głosem, wypowiadając jedyne znane mu angielskie słowo.

Pilot otworzył oczy. Nawet w tym przygasłym świetle Jean wyraźnie ujrzał ich kolor - przejrzystą zieleń, zieleń wyłowionego z morza kawałka szkła, który jego matka trzymała w szkatułce na biurku. Chłopiec nigdy w życiu nie widział u nikogo takich oczu - wydawały się jedyną barwną plamą w mrokach lasu.

- Jestem Belgiem. Spadliście na belgijską ziemię – zaczął gorączkowo szeptać w dialekcie walońskim.

Amerykanin intensywnie wpatrywał się w chłopca.

Jean, dygocząc na całym ciele, spróbował raz jeszcze. Teraz swoją przemowę ilustrował odpowiednimi gestami. Wskazując na siebie, a potem na ziemię, raz po raz nagłym tonem powtarzał słowo *Belgique*.

Amerykanin w ogóle się nie poruszył, jedynie jego oczy wpatrywały się w twarz Jeana.

Chłopiec wyciągnął z kieszeni chleb, ser i butelkę z wodą. Gestem zaproponował picie. Jednak nie mógł dosięgnąć Amerykanina przez płatani-

nę jeżyn. Jakoś będzie więc musiał wyciągnąć go z tych krzewów. Tylko jak? Czy odważy się dotknąć zranionej nogi?

Jakby w odpowiedzi na jego rozterki Amerykanin zaczął powoli pełznąć na brzuchu do tyłu, aż w końcu wyswobodził się z kłębu kolczastych gałęzi. Jean szybko posuwał się na kolanach, by spotkać się z lotnikiem po drugiej stronie krzewów. Przyglądał się w napięciu, jak Amerykanin przewraca

się na plecy i leży nieruchomo, wpatrzony w czubki drzew. Czołganie wyraźnie go wyczerpało.

Jean otworzył butelkę, uniósł delikatnie głowę lotnika i przytrzymał pod takim kątem, by mężczyzna mógł się napić. Skóra kasku na głowie lotnika była niezwykle zimna w dotyku. Jeanowi ręka drżała gwałtownie i przez moment bał się, że rozleje wodę na brodę i szyję Amerykanina. Lotnik podparł się z wysiłkiem na łokciach, po czym pociągnął długi łyk. Na koniec powiedział coś po angielsku, czego chłopiec, oczywiście, nie rozumiał.

Chwilę później mężczyzna dowlóknął się do najbliższego drzewa i podpierając się na nadgarstkach podciągnął do pozycji siedzącej. Bacząc pilnie, by nie dotknąć żadnej części ciała, która mogła być zraniona, Jean energicznie wyciągnął w stronę mężczyzny chleb. Amerykanin - pilot? bombardier? nawigator? Jean nie umiał stwierdzić - chwycił chleb skulonymi dłońmi, podtrzymał nadgarstkami i usiłował ugryźć. Jednak bochenek był twardy, a Amerykanin nie miał dość siły w nadgarstkach. Jean przytrzymał więc chleb lotnikowi, karmił go. Zauważył wówczas, że mężczyzna ma palce całkowicie zeszywniałe, a skórę na nich nienaturalnie woskowo białą.

Amerykanin przeżuł kęs, połknął, znowu coś powiedział. Z intonacji Jean wywnioskował, że jest to pytanie, ale mógł jedynie potrząsnąć bezradnie głową.

- Czy pan mówi po francusku? - spytał chłopiec bardzo powoli. Tym razem Amerykanin potrząsnął głową.

Chłopiec zadał więc następne pytanie, choć tym razem szanse na usłyszenie twierdzącej odpowiedzi były niemal żadne:

- A może po holendersku?

Amerykanin wyraźnie nic nie zrozumiał.

Przerażony, że wąta nić porozumienia mogłaby się zerwać całkowicie, gdyby się okazało, że nie mogą sobie już nic powiedzieć, Jean wycelował palec w swoją własną pierś. „Jean”, powiedział.

Amerykanin skinął głową, po czym wskazał na siebie. „Ted”.

Jean żałował, że nie jest mądrzejszy. Gdy karmił Amerykanina chlebem i serem, gdy poił go wodą, cały czas zastanawiał się, jak wprowadzić w życie swój plan - plan, który należało zrealizować bardzo szybko, bo inaczej Niemcy odnajdą lotnika. Frustracja wywołana niemożnością porozumienia niemalże doprowadzała go do łez. Gorączkowo ponownie wskazał na siebie, potem na północny skraj lasu, a następnie ułożył palce w strzałkę wskazującą na kępę jeżyn.

Amerykanin pilnie przyglądał się chłopcu. Powiedział coś po angielsku, po czym potrząsnął głową, że nie do końca zrozumiał intencje Jeana.

Jean spróbował raz jeszcze.

- Niemcy - powiedział wskazując na ślad pozostawiony przez lotnika, prowadzący na pastwisko i do samolotu. Ale Amerykanin wpatrywał się w niego nierozumiejącym wzrokiem.

- Ted - odezwał się znów Jean nagłym tonem, po czym wskazał na płataninę jeżyn.

Amerykanin skinął głową.

- Jean - powiedział Jean i raz jeszcze wskazał na północ i z powrotem. Powtarzał ten gest kilkakrotnie. W ostatecznej desperacji rzucił w końcu po francusku:

- Proszę się schować. Wrócę po pana.

- Wrócisz? - powtórzył lotnik powoli.

A więc znaleźli wspólne słowo w swoich językach. Jean pokiwał energicznie głową, nie posiadając się z radości.

Amerykanin też się teraz uśmiechał, ale już po chwili twarz wykrzywił mu grymas bólu. Jean spojrzał na jego nogę w skórzanym kombinezonie, o której zupełnie zapomniał, gdy intensywnie wpatrywał się w twarz i

oczy lotnika. Jedna nogawka kombinezonu była pokryta krwią - zaschniętą, zrudziałą krwią. Jeanowi zakręciło się w głowie, ogarnęła go słabość.

- Szybko - zaczął poganiać Amerykanina wskazując na jeżyny. - Szybko.

Nie same słowa, ale coś w tonie chłopca dotarło do świadomości Amerykanina. Ostrożnie opadł na wznak i czołgając się na łokciach, wpełzł do swojej kryjówki.

Jean uważnie spojrział na ukrytego w krzakach mężczyznę. Niemcy znajdą go bez problemu, nie miał co do tego wątpliwości. Chyba że on, Jean, zdoła ich przechytrzyć.

Chwycił w obie garści zeschniętą ściółkę - sosnowe igły, kawałki kory, brązowe liście dębów - i zaczął zasypywać wystającą stopę. To jednak nie wystarczy.

Dodatkowe minuty, których teraz potrzebował, mogły okazać się dla niego zgubne, ale trzeba było to zrobić.

Chłopiec podążył śladem lotnika, aż znalazł się jakieś pięćdziesiąt metrów od pastwiska. Dobiegały go głosy, chociaż nie był w stanie wyłapać poszczególnych słów ani stwierdzić, w jakim języku mówiono. Cofając się, zaczął zacierać, najlepiej jak mógł, ciągnący się ślad. Gdy jednak okazało się to niemożliwe - zgnieciona, zeschnięta trawa już nie powstanie, poułamywane gałązki nie przyrosną do gałęzi - wpadł na inny pomysł i aż sam się zachwycił własnym sprytem. Postanowił stworzyć nowe tropy, mylne ścieżki rozchodzące się promieniście od głównego pnia. Jakby w ataku szału zaczął czołgać się i tarzać na plecach, łamiąc gałązki i większe gałęzie, rozrzucając zeschnięte liście nogami. Próbował oszacować prawdopodobieństwo, że Niemcy wkroczą do lasu we właściwym punkcie i podążą prawdziwym tropem do Amerykanina.

Bacznie zlustrował efekty swojej pracy.

Cokolwiek się stanie, powiedział sobie, przynajmniej tyle zrobił dla lotnika.

Skreślił na północ, pochylił głowę i wyciągnął ramiona, by ochronić twarz przed chaszczami, po czym puścił się niemal biegiem przez las. Był przecież grudzień, a więc szybko zapadały ciemności.

Rower trząsł się i skrzypiał, w oponie były już tylko resztki powietrza. Cholera, czemu wcześniej nie przyjrzał się tym oponom? Ludzie stojący w drzwiach domów, wychylający się przez okna. Samolot w wiosce - spadł z nieba niczym złowieszczy znak. Spuść głowę, nie podnoś głowy, staraj się stopić w jedno z kamiennym brukiem ulicy, nie rzucaj się w oczy. Antoine powinien zwolnić. Ludzie od razu zauważą, że gdzieś się bardzo spieszą. Antoine w kuchni z Claire. Antoine cuchnący świńskim chlewem. Jakże on był brzydki z tą swoją różową twarzą, małymi oczkami i wiecznie tłustymi, rzadkimi, jasnoblond włosami.

Claire krzątająca się po kuchni. Czy wiedziała, że pił w oborze, zanim wybrał się do miasteczka? Jej piersi pod ciemnoróżowym swetrem, zaznaczające się tak wyraźnie, gdy stała, krzyżując pod nimi ramiona. Gdyby zmarła przed nim, na zawsze zapamiętałby ją w takiej pozie. I ten jej dar przygotowania posiłku z niczego. To był szczególny dar, jakaś magiczna sztuka. Podobnie zresztą jak to jej milczenie - spokój i cisza, które ją otaczały. Pochodziła z rodziny spokrewnionej z jego matką. Niekiedy była aż nazbyt cicha. Z drugiej strony wołał już jej milczenie od tego, co miał w domu Antoine – istną wiedźmę o skrzekliwym głosie. Te okropne wrzaski. Słyszeć je było aż w Rance. Jak ten człowiek może to znieść? Może właśnie dlatego Antoine tak szybko się przyłączył do Maquis. By znaleźć się jak najdalej od tej starej baby.

Pisk nieoliwionych hamulców. Tępy ból w tyle głowy z powodu nadmiaru piwa. Ciężkiego, niegazowanego piwa; może się psuje i dlatego przyprawia go o taki ból głowy. Ile kufli wychylił tego ranka? Żałował, że tyle wypił, ale skąd mógł na Boga wiedzieć, że chwilę później z nieba runie wielki samolot?

Picie pozbawiało chłód lodowatości, przyspieszało upływ czasu. Picie było nielegalne, piwo to kontrabanda, to znaczy z wyjątkiem tej łury o smaku kocich sików, sprzedawanej w kawiarniach. Ale cały prawdziwy alkohol należał się jedynie Niemcom, i to tym walczącym na froncie. Mi-

mo to Henri, podobnie jak Antoine i Jauquet, warzył własne piwo i trzymał je ukryte w oborze.

Każdego ranka ten sam monotony schemat: chleb, obrzydliwa kawa, zapiekanka bez odrobiny bekonu. A potem ostre powietrze obory, gdzie udawał, że pracuje. Gdy wojna się skończy, jeżeli kiedykolwiek się skończy, wówczas dla wszystkich będzie jasne, czym stała się jego farma - istną ruiną. Niemal sześćdziesiąt sztuk mlecznego bydła zarekwirowanych, a przed końcem zimy Niemcy na pewno zabiorą i resztę. Spuścizna jego ojca - i ojca jego ojca - poszła pod nóż. Zostanie mu jeszcze dom, będzie musiał znaleźć pracę w miasteczku - może w Rance, a może we Florennes. Co ma zrobić? Jak zreperować nieistniejące maszyny?

Zresztą nic już nigdy nie będzie takie jak przedtem, więc czy zamartwianie się ma jakikolwiek sens? Kto wie, co im pozostanie, gdy już skończą z nimi Niemcy. Henri zrozumiał, że nic już nie wróci do dawnego biegu w dniu, gdy Antoine przyniósł im wiadomość o upadku Belgii i poprosił, by Henri przyłączył się do Maquis. W takiej sytuacji nieprawdopodobieństwem byłoby odmówić. Gdy cię proszono, musiałeś się przyłączyć. Henri wolał nie zastanawiać się nad tym, co by się stało, gdyby Antoine go o to nie poprosił. W miarę spokojnie przetrwałyby wojnę, ot co. A potem by się tego wstydził. Jeżeli Henri mógł mówić o jakiegokolwiek motywacji - a wiele jej nie miał - była to myśl, że kiedy ta cholerna wojna się skończy, ludzie będą patrzeć na niego jak na człowieka, który robił to, co należało. A to nie to samo, co pragnienie robienia tego, co należy. Jak w przypadku Antoine'a czy Claire. Z tymi jej umiejętnościami pielęgniarскими i znajomością języków.

Prawda była taka, i nie ma co owijać w bawełnę, że Henri się bał, bał się nieprzytomnie ilekroć trzymali w domu Żyda czy alianckiego lotnika. Bał się też przebywać w towarzystwie Antoine'a. Kiedyś usłyszał, że średnia długość życia bojownika ruchu oporu wynosi trzy miesiące. Jakim więc cudem on i Antoine zdołali przeżyć tak długo? I czy to nie oznacza, że ich koniec nieuchronnie się zbliża? Pewnego dnia, już niedługo, zostaną złapani, rozstrzelani. Bo tylko w ten sposób można się z tego wyzwolić.

Gdy Antoine go poprosił, Henri wiedział, że nie może odmówić.

A Léon? Léon był odważny i nie miał nic do stracenia. Jego syn zginął w tym jedynym tygodniu walk, gdy Niemcy wkroczyli do Belgii. Léon, buzujący gniewem, wciąż oplakujący syna, ale zbyt chory, by podejmować się poważnych zadań. Pracował jako kelner, obsługiwał niemieckie stoliki w *l'hôtel de ville* i słuchał pilnie wszelkich rozmów, dostarczał wiadomości Antoine'owi. Léon ze swoimi okularami w drucianej oprawie i robociarską czapką. To cud, że Niemcy nie zabili go do tej pory. Przecież wygląda jak bolszewik.

Henri wcale nie chciał, by udało im się odnaleźć amerykańskiego lotnika. Nie chciał ukrywać żadnego Amerykanina w swojej kryjówce na strychu. Gdyby Niemcy przyłapali go na tej zabawie, zostałby rozstrzelany, a Amerykanina naziści poczęstowaliby piwem.

Cholera, ależ przejmujące to zimno. Kocie łby przyprawiały go o bolesne dzwoniące zębów. Niebo miało kolor popiołu. W dni takie jak ten zimno sączyło się z wolna i trzymało w nocy. Nie można się było od niego uwolnić, choćby nie wiem co się robiło. Młoda dziewczyna w otwartych drzwiach. Czyżby do niego pomachała? Czy to córka Beauloye'a? Dziewczyna z ciemnoczerwoną szminką na ustach. Ile ona właściwie ma lat? Piętnaście?

Antoine postawił rower za kościołem. Henri zrobił tak samo. Antoine umiał dostrzec wszystko, co się działo wokół, nie kręcąc przy tym głową. Wejdą do środka oddzielnie – najpierw Antoine, a minutę później on, Henri. Zapal papierosa, oprzyj się o kute, żelazne ogrodzenie, zgaś niedopałek, westchnij ciężko, nawet zaklnij, jakbyś myślał o konieczności powrotu do domu, do kobiety takiej jak żona Antoine'a. Ciężkie, drewniane odrzwia otwierały się ze zgrzytem. Mrok panujący w kościele był oślepiający.

Drżał na całym ciele. Z zimna czy ze strachu? Nie mógł zdecydować. Przysięgłby, że kamienna płyta jest mokra. Wysoka kamienna płyta i błyskająca pod nią mała lampka. Dotknął palcami wody z chrzcielnicy, przeżegnał się, przyklęknął. Ruszył w kierunku ołtarza, przyklęknął raz jeszcze, wśliznął się na ławkę obok Antoine'a. Tuż za nimi siedział Leon.

Base Bali. Słowa wypowiedziane po angielsku rozległy się za jego plecami. Emilie Boccart. Ten głos miał taki tembr za sprawą papierosów. Henri się nie odwrócił, choć miał na to wielką ochotę. Emilie miała - ile? czterdzieści, czterdzieści pięć lat? - a on wciąż miał ochotę na nią patrzeć. Długie, nisko zwisające piersi; w tym zimnie na pewno sterczą jej sutki. Siedziała w rozpiętym płaszczu, zauważył to, gdy nadchodził od tyłu nawą. Gdyby się odwrócił, mógłby przyjrzeć się zarysowi jej piersi pod bluzką. Emilie była kochanką Jauqueta. Jauqueta, który miał żonę i pięcioro dzieci.

To taka gra. Amerykańska gra, wyjaśniła. Leon zaniósł się kaszlem.

A potem Leon zaczął szeptać do Antoine'a tak, by Henri też wszystko mógł usłyszeć. W każdej chwili te słowa mogły przejść w słowa modlitwy. Emilie zaczęłaby się modlić wyraźnie i głośno. Zdrowaś Mario, łaskiś pełna... Prosty sygnał.

Lehouk odnalazł dwóch Amerykanów. Jeden jest ranny w ramię, drugi znajduje się w szoku, nic nie pamięta, nawet nie wie, jak się nazywa. Już zostali zabrani do Vercheval.

A ten ranny z samolotu, zapytał Antoine.

U Dinant. Ona go dogląda i ukrywa. Chłopak jest w bardzo złym stanie.

Antoine wpadł w gniew. Przecież przykazano jej...

Leon uniósł dłoń. Jej się nie przekona, Chimay. Już próbowałem.

A ten martwy?

Zajął się nim Bastien.

Gdzie jest Jauquet?

W St. Laurent.

Zawiadamia Niemców, pomyślał Henri, i poruszył się niespokojnie.

I znowu ten zachrypty głos tuż za jego plecami.

- Boi się, że już nie będzie mógł grać w *Base Ball*.

- Kto się boi?

- Ten lotnik ranny w ramię. Twierdzi, że jest graczem w *Base Ball*.

- Nie zostało nam już za wiele dnia, oznajmił Antoine. Musimy przeszkukać las.

- Ja pójdę. Cichy, cienki głos zza pleców. Dussart. Chłopak bez ucha. Wypadek w kamieniołomach. Błady, chudy blondyn z długimi włosami, zasłaniającymi okaleczenie. Zawsze zgłaszał się na ochotnika do każdej akcji. Była w nim jakaś awanturnicza żyłka, na którą należało mieć pilne baczenie. Gdyby nie wybuchła wojna, chłopak na pewno uciekłby z Belgii do Marsylii czy Amsterdamu.

A więc do lasu pójdzie Dussart. Następnie Henri. A także Dolane, inny hodowca mlecznego bydła. I van der Elst, rzeźnik. Van der Elst przechowywał Żydów nad swoim sklepem. Raz gestapo zrobiło na niego nalot, ale jego żona, Elise, zdołała wysłać ukrywających się ludzi po dachach do monsieur Gosseta.

Czy w okolicy spadły jeszcze jakieś inne samoloty? To znowu Antoine.

Nie, tylko ten jeden. Pilot zmierzał w stronę wzgórz. Antoine pograżył się w zadumie. Antoine mógł klękać jedynie na lewym kolanie, prawe miał uszkodzone na skutek wypadku z materiałami wybuchowymi. Małeńka świeczka w czerwonym szkłe. Powyżej Jezus wiszący na krzyżu, z wyl-

brzymionymi kroplami krwi spływającymi z boku. Kiedy Henri był dzieckiem, na ten widok robiło mu się słabo. I na dodatek ten unoszący się w kościele zapach stęchlizny. Nawet w lecie zawsze panowała tutaj wilgoć.

- Emilie, powiadom Ducoeuera i Hainaerta. Leon, wracaj do hotelu.

- Nie mogę.

- A czemuż to?

- Wysłałem tam dziś rano Chimene, by powiedziała, że zachorowałem.

- To teraz powiesz im, że już masz się lepiej.

Leon wstał i ponownie zaniósł się kaszlem. W lodowatym powietrzu wyrzucał z siebie obłoczki pary.

Teraz Antoine zwrócił się w stronę Henriego. Czy możecie przyjąć jeszcze jedną osobę? Chodziło mu o to, że ukrywają już kobietę z Antwerpii. Henri skinął głową. Staruszka i tak wkrótce umrze. Może nawet jeszcze dzisiaj. Szuranie butów za plecami. To Emilie, Dussart i Dolane opuszczali kościół. Dobiegł go ostry stukot wysokich obcasów o kamien-
ną posadzkę;

kochał ten dźwięk. Dla tego odgłosu warto było przychodzić na mszę w każdą niedzielę.

Świeczka wciąż błyskała w mroku. Kto ją zapalił? Emilie? Za siebie? Za nich wszystkich? Za dzieci, których sama nigdy nie miała? Za swoje grzeszne pożycie z Jauquetem? A czy on i Claire będą mieli dzieci? Już cztery lata i nic. Nie mógł tego zrozumieć. Czy coś jest nie tak z jego nasieniem? Czy z ciałem Claire? W jego rodzinie nie zdarzały się podobne przypadki; matka wielokrotnie go o tym zapewniała. Razem z Antoine'em wciąż siedzieli w ławce. Ale Henri nie mógł się modlić. Ale gdyby miał o coś prosić, to o to, by nie znaleźli amerykańskiego lotnika. I żeby mógł wreszcie pójść do domu i zjeść swój skromny obiad. A potem położyć się do łóżka.

Pomyślał, że w zasadzie jednak powinien się pomodlić. Poprosić o uwolnienie od tego obezwładniającego strachu.

O zapął do wykonywania zleczanych mu zadań. O taką odwagę, jaką wykazywał się Antoine, o to, by przestał tak bardzo nienawidzić wojny. Zaczął chuchać w dłonie, by je trochę ogrzać. Antoine cicho pierdnął. Antoine był straszną świnią. Ale także bohaterem ruchu oporu. Osobiście wysadził most

i zabił dwóch niemieckich żołnierzy własnymi rękami.

Henri już nie mógł się doczekać, by wyjść z kościoła, ale musiał jeszcze moment poczekać. Miał wyjść przedostatni, po nim zostawał już tylko Antoine. Boże, jak bardzo chciałby teraz coś zjeść. Ale dzisiaj raczej nie może liczyć na jakiś posiłek przed nocą. Antoine dał mu znak. Henri wstał, przeszedł wzdłuż ławki. Jego kroki niosły się po kościele gromkim echem. Na zewnątrz światło, choć bardzo przyćmione przez grubą warstwę chmur, ostro uderzyło go w oczy. Rozejrzał się po skwerze. Do tej pory Maquis z miasteczka Delahaut już zdążyli się wtopić w szary kamień.

Czasami gdy ojciec ubijał zwierzęta, gdy sprzedawał Niemcom nie tylko ziarno, ale także mięso, Jean widział, jak wśród ochłapów pozostających na ohydny stole w oborze wiją się miękkie, białe robaki. Była to

najobrzydliwsza rzecz, jaką kiedykolwiek widział w życiu, a gdy teraz szedł, pchając taczkę przez gęstwinę, gdzie ciemność sączyła się przez gałęzie wysokich buków na podobieństwo mgły, tak właśnie zaczął wyobrażać sobie las. Jego las - pełen wijących się robaków: Niemców w wysokich butach i z rewolwerami u boku, szukających Amerykanina.

Jean postanowił ruszyć starą ścieżką myśliwską, bo zakładał, że Niemcy o niej nie wiedzą, choć, oczywiście, zawsze mogli się na nią natknąć przypadkiem. Wtedy na pewno chcieliby wiedzieć, co on robi o tej porze w lesie z taczką. A gdyby poszli do jego ojca, by zapytać o syna i las, on na pewno powiedziałby im o ścieżce myśliwskiej - co prawda niewidocznej dla nienawykłych oczu, jednak nie na tyle zarośniętej, by nie można nią swobodnie podążać ku sercu lasu, gdy się już na niej raz znajdzie. Tak czy owak, Jean był pewien, że nikt nie zna tej dąbrowy tak dobrze, jak on - nawet jego ojciec. Od wielu lat było to miejsce jego zabaw; a teraz też często jego dom - azyl, w którym się chronił przed koszmarem farmy rodziców i palącym wstydem.

Prowadzenie taczki miejscami okazywało się o wiele trudniejsze, niż przewidywał, więc niekiedy musiał zbaczać z drogi - gdy na przykład dwa rosłe dęby zagroziły mu przejście. Wcale nie był przekonany, czy zdoła pokonać tę trasę z Amerykaninem, chociaż kilka miesięcy temu, w lecie, wioził na taczce dużą maciorę z farmy Hainaerta do własnego domu. Zastanawiał się, czy to możliwe, żeby Amerykanin ważył więcej niż maciora. Mężczyzna w skórzanym kombinezonie zdawał się szczupły-wysoki, ale nie ciężki. Jean pamiętał dokładnie jego twarz - spokojne oczy, niewyrażające strachu, niemal śmiejące się, gdy udało im się trafić na wspólne słowo, oczy, które zmieniły się tylko raz, gdy pobiegały z bólu. Ale teraz chłopiec nie chciał myśleć o cierpieniu czy o lodowatym chłodzie leśnego poszycia, nie chciał się zastanawiać, jakie ma szanse znalezienia Amerykanina przy życiu, gdy wreszcie dotrze do jeżynowych krzewów. I sam już nie wiedział, czego bardziej się boi - tego, że lotnik będzie martwy, czy że wcześniej natkną się na niego Niemcy.

Nagle usłyszał głosy, chrzęst kroków na martwej ściółce. Zastygł w bezruchu - nie ośmielił się nawet oprzeć taczki o ziemię. Usiłował uspo-

koić oddech, zapanować nad dyszeniem wywołanym fizycznym wysiłkiem i strachem. Wydawało mu się, że kroki wciąż się zbliżają, choć głosy były nadal jedynie niezrozumiałym mamrotaniem, pozbawionym słyszalnych

słów. Szybko zapadający zmierzch, który jeszcze przed chwilą przeklinał pod nosem, okazał się nagle wspaniałym darem. W momencie zawieszenia między dniem a nocą las – Jean świetnie o tym wiedział – stawał się iluzoryczną, tajemniczą krainą, o nieustannie zmieniającej się topografii. Nagle drzewo stojące nieopodal, z którego nie spuszczało się wzroku – zniknęło, po czym niespodziewanie pojawiało się znowu; cienie stawały się krzewami i odwrotnie, nietoperze latały szybciej, niż mogłoby nadażyć za nimi jakiegokolwiek ludzkie oko. W starym, szarym, połatanym płaszczu, którego tak nienawidził, gdy musiał w nim chodzić do szkoły, pozostanie niewidoczny w tym świetle nawet z odległości dziesięciu metrów. Jean czekał cierpliwie, dopóki nie nabrał przekonania, że kroki się oddalają. Wiedział jednak, że wkrótce Niemcy powrócą z latarkami.

Teraz ruszył więc jeszcze szybciej, czując na dodatek, że temperatura gwałtownie spada. Dotarł do kępy jeżyn, postawił taczkę i opadł na kolana w pobliżu płataniny gałęzi. Nie widział wyraźnie Amerykanina, ale zdołał go odnaleźć, macając zeschniętą ściółkę dłonią – gdy sięgnął pod zeschnięte igły i liście, natknął się na podeszwę żołnierskiego buta. W tym momencie mężczyzna przesunął nieznacznie stopę i po raz pierwszy tego wieczoru Jean odetchnął z ulgą.

- Jean - powiedział szybko, bo nie chciał, by Amerykanin się przestraszył.

W pierwszej chwili lotnik się nie ruszał, ale po pewnym czasie Jean dojrzał w przyćmionym świetle zmroku jakiś ruch wśród jeżyn. Amerykanin wyczołgał się z płataniny gałęzi, usiłował usiąść. Jean chwycił go za ramię i wykorzystując własny ciężar mężczyzny podepchnął do góry, po czym natychmiast wskazał na taczkę. Chłopiec najbardziej się przejmował wprowadzeniem w życie tego punktu swego planu. Gdyby Amerykanin nie był w stanie wdrapać się na taczkę, wszystko spaliłoby na panewce. Jean sam nie dałby rady dźwignąć dorosłego mężczyzny.

Powoli Amerykanin przekreślił się i podczołgał do taczki. Na brzuchu, pomagając sobie ramionami, podciągnął się i opadł na jej brzeg - rozległ się odgłos ciała uderzającego o metal. Jean próbował pomóc - wsunął ręce pod pachy mężczyzny i ciągnął z całych sił. Podrzucanie zranioną nogą musiało sprawiać Amerykaninowi niewyobrażalny ból – cały czas mocno zagryzał dolną wargę. Wreszcie lotnik zdołał wciągnąć biodra na taczkę i przeturlał się do środka. Na łokciach przesunął się kilka centymetrów. W tym momencie Jean wyskoczył z taczki i używając całej swojej siły, dźwignął długie rączki. Wiedział, że drewniane drągi mogą się oderwać od metalowego korpusu, ale jakimś cudem wytrzymały ciężar. Gwałtownym ruchem Amerykanin przesunął się w tył, próbował usiąść i oprzeć się o ściankę taczki. Jean, przeginając głowę i ramiona najdalej w bok jak mógł, próbował dać znać Amerykaninowi, że powinien się położyć. W mroku gałęzie mogłyby podrapać mu twarz.

Teraz było już tak ciemno, że chłopiec ufał jedynie swojemu instynktowi i doświadczeniu wielu lat spędzonych na zabawach w tym miejscu. Mimo to raz wpadł na gruby pień drzewa i wtedy Amerykanin, zupełnie mimowolnie, wydał z siebie głośny krzyk bólu. Jednak pomijając tę kolizję i parę przerażających momentów, gdy taczka wklinowała się pomiędzy drzewa, cała operacja okazała się o wiele prostsza, niż Jean wyobrażał sobie w najśmielszych marzeniach. Na skraju lasu chłopiec postawił taczkę. Z wysiłku drżały mu ramiona. Nawet w ciemnościach nie mógł ryzykować przewiezienia Amerykanina przez otwartą przestrzeń, póki się nie upewni, że ojca nie ma w oborze.

Tym razem nie zwracał sobie głowy wyjaśnianiem Amerykaninowi, co zamierza zrobić. Jean był pewien, że lotnik nie ruszy się ani nie wyda z siebie głosu. Teraz już też musiał wiedzieć, że Jean zamierza go ukryć. Chłopiec cicho przebiegi przez zamarznięte pole, dopadł obory, podniósł ciężką belkę ryglującą wrota. Gdy ciężkie zawiasy zaskrzypiały, twarz mu się skurczyła. Zamarł, nasłuchując kroków ojca. Kiedy jednak się nie rozległy, spenetrował wewnątrz obory i z zadowoleniem stwierdził, że nikogo tam nie ma.

Podczas gdy w lesie taczka sunęła niemal bezgłośnie, jej jazda po pełnym bruzd polu zdawała się w uszach chłopca przerażającym łomotem. Miał uczucie, że te ostatnie sto metrów pokonuje godzinami. W końcu postawił taczkę przed drzwiami obory. Ponownie skrzyp zawiasów i wreszcie Amerykanin znalazł się w środku.

W oborze od czasu do czasu rozlegało się muczenie krów, ale nie był to dźwięk, który mógłby zaalarmować kogokolwiek w domu. Jean podjechał taczką do długiego koryta, w którym w lecie trzymali obierki dla świń, a w zimie - ziemniaki. W tej chwili jednak koryto było puste. Teraz już nie na żarty przerażony śmiałością własnego planu i bliskością własnego domu, stojącego zaledwie dwadzieścia metrów od obory, Jean poruszał się bardzo prędko. Chwycił Amerykanina za ramię, przyciągnął lekko do siebie. Ujął dużą męską dłoń i zaczął nią wodzić wzdłuż krawędzi koryta, by Amerykanin zorientował się w jego kształcie i pojął ideę planu Jeana. Lotnik najwyraźniej zrozumiał, o co chodzi, sam przesunął się do przodu, obrócił i zarzucił zdrową nogę na krawędź koryta. Podtrzymując mężczyznę najmocniej jak umiał, Jean pomógł mu wydostać się z taczki i wsunąć do koryta. Gdy Amerykanin w końcu wpadł do środka, odgłos uderzającego o drewno ciała wydał się Jeanowi najgłośniejszym dźwiękiem, jaki kiedykolwiek w życiu słyszał.

Wcześniej tego samego dnia Jean opróżnił koryto z ziemniaków. Teraz musiał nimi zakryć Amerykanina. Ponownie chwycił dłoń lotnika, dotknął nią ziemniaka, chociaż nie był pewien, czy Amerykanin zachował jeszcze jakieś czucie w rękach. Położył ziemniak przy twarzy mężczyzny, licząc na to, że może Amerykanin poczuje jego zapach. Bo na wyjaśnienia nie było już czasu.

Ostrożnie powrzucał ziemniaki do koryta, starając się układać je jak najdelikatniej przy twarzy i zranionej nodze pilota. Mężczyzna nie wydał z siebie żadnego dźwięku, żadnym gestem nie próbował protestować. Jean wiedział, że szczeliny pomiędzy bulwami pozwolą mężczyźnie swobodnie oddychać, miał też nadzieję że warstwa ziemniaków trochę zabezpieczy go przed chłodem. Napełnił koryto do pełna, a worek z resztą ziemniaków

ukrył pod stertą siana. Zaraz potem ruszył w stronę drzwi, by jak najszybciej wynieść się z obory, jednak na progu się zawahał.

Wrócił do koryta i pochylił nisko nad miejscem, gdzie spoczywała głowa lotnika. Wargami dotknął ziemniaka.

- Wrócę - powiedział po angielsku.

Ojciec wymierzył mu taki cios, że aż nim określiło i rzuciło na tył krzesła. Jego świat, kurczący się świat wnętrza kuchni, na chwilę zapadł się w otchłani czerni, by zaraz wykwitnąć rozjarzonymi płatkami. Górną wargę miał rozciętą, od wewnątrz poharataną przez zęby, a gdy dotknął dłonią ust, palce pokryły mu się krwią. Nie śmiał jednak się poruszyć czy wykrztusić

słowa. Nie bardzo wiedział, za co oberwał, ale już dawno temu się nauczył, że w takich sytuacjach najlepiej zaczekać i zachować milczenie. Nic nie doprowadzało ojca do większego szału niż protest czy wyzywające zachowanie.

- Był tutaj monsieur Dauvin. Mówił, że po południu nie zjawiles się w szkole! - wrzasnął ojciec, który stał przy zlewie. Zaraz też chwycił ze stołu zapalonego papierosa i trzymając go pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym zaciągnął się głęboko dymem. Skąd ojciec wiedział, że Jean stanie w drzwiach dokładnie w tym momencie? Zapewne czekał na niego i w tym czasie zdążył się upić. Nawet z drugiego końca kuchni Jeana dobiegał odór piwa. Pod stołem stało kilka nieumytych butelek.

- Mam nadzieję, że nie byłeś przy tym samolocie. Kto jak kto, ale nie mój syn - złowrogo oznajmił Artaud Benoit.

Nie mój syn, pomyślał Jean. Oparł się dłonią o blat stołu, by zachować równowagę. Nogi się pod nim uginały, a bardzo nie chciał upaść. Cerata na stole była mocno zużyta, miejscami wytarta od ciągłego szorowania. Z sufitu zwieszała się pojedyncza, goła żarówka, oświetlająca pokój jaskrawym

światłem, rzucająca ostre cienie na pokrywającą ściany tapetę, na piec, marmurowy kominek ze stojącym na nim krucyfiksem i butelką ze świę-

coną wodą. Obiad Jeana zastygł na talerzu postawionym na stole. Na myśl o matce leżącej teraz w sypialni na górze ścisnęło mu się serce.

- Matka musiała kłamać przez ciebie przed nauczycielem. Powiedziała mu, że jesteś chory, a potem wyplakiwała oczy, bo nie miała pojęcia, gdzie się podziewasz.

Jean stał nieruchomo, jakby skamieniał. Pogardzał ojcem za to fałszywe współczucie wobec matki. Przez cały czas

TALERZ

starał się utrzymać równe tempo oddechu, wbijając wzrok w kamienną posadzkę, codziennie zamiataną i szorowaną przez matkę.

- Na Chrystusa, mam tylko nadzieję, że Niemcy nie przyłapali cię przy tym samolocie. Bóg jeden wie, że już i bez tłumaczenia się za mojego syna mam dość kłopotów. A tymczasem jak tak dalej pójdzie, uznają, że należysz do partyzantów. A przecież wiesz, co robią z partyzantami.

To nie było pytanie. Ojciec ponownie zaciągnął się głęboko papierosem. Był to kiepsko sporządzony skręt, więc kawałki żarzącego się tytoniu poleciały na podłogę.

- Nie stój tutaj jak kamień, bo poczęstuję cię czymś jeszcze.

Jean nie podniósł wzroku, ale nie miał wątpliwości, że dłoń ojca już zacisnęła się w pięść.

- Dobrze wiem, że urzędowałeś w lesie. Wystarczy na ciebie popatrzeć. Widziałeś jakichś Amerykanów?

Jean przecząco potrząsnął głową.

- Tylko nie próbuj mnie okłamywać, bo uznam, że nie jesteś już moim synem. Przecież Amerykanów szukałeś w tym lesie, co? Czy ty przypadkiem wyobrażasz sobie, że to zabawa? Ta zabawa może cię kosztować życia. Jeżeli zobaczysz jakiegoś Amerykanina, masz mi natychmiast o tym powiedzieć. Zrozumiano?

Jean skinął głową. Krew z rozciętej wargi zalewała mu usta. Nie śmiał splunąć, więc ją przełknął.

Ojciec chwycił talerz z obiadem Jeana i rzucił na piec. Fajans roztrząskał się z hukiem o lane żelazo. Twarz chłopca wykrzywił mimowolny skurcz. Była to bezsensowna manifestacja ze strony ojca, gest mający na celu przestraszyć syna i zranić jego matkę, gdy rano zobaczy rozbity talerz, o ile jeszcze do tej pory nie dotarły do niej hałasy z dołu. Jean nie miał wątpliwości, że upadnie, jeżeli ojciec uderzy go jeszcze raz. Nogi odmawiały mu już posłuszeństwa. Nie był nawet pewien, czy zdoła wejść na górę do swojego pokoju.

- Co prawda jeszcze z tobą nie skończyłem, ale na razie słabo mi się robi na twój widok.

Ojciec odprawił go ruchem dłoni. Dziękując Bogu, Jean wycofał się z kuchni i nie zatrzymał po drodze, żeby choćby zrzucić z siebie palto.

Na swoim łóżku, w niewielkim pokoju na poddaszu, leżał całkowicie ubrany, przyciskając do ust skarpetkę, by powstrzymać krwawienie. Nie umył się, ponieważ mógłby to zrobić jedynie pod zlewem w oborze, a w obecnej sytuacji wolał nie wchodzić do obory. Wiedział, że zaznaczono mu nieobecność w szkole, jednak nie wierzył, by monsieur Dauvin osobiście

fatygował się do jego domu. Miał wielką ochotę pójść do sypialni matki i powiedzieć jej, że wszystko z nim w porządku, ale przecież nie było wszystko w porządku. Poza tym nie chciał ryzykować ponownego spotkania z ojcem.

Leżał na łóżku i rozmyślał o amerykańskim lotniku. Próbował sobie wyobrazić, jak można się czuć, gdy się leży w korycie pełnym ziemniaków. Natychmiast przyszła mu na myśl ciemność, zapach kartofli i ciche muczenie krów. I im więcej myślał o lotniku, tym większy ogarniał go niepokój. Bo jeżeli Amerykanin zamarźnie w korycie i nie dożyje rana? A jeżeli nawet nie zamarźnie, to co Jean z nim pocznie? Plan Jeana obejmował zaledwie przetransportowanie lotnika do obory i przeschumowanie dla niego wody oraz odrobiny żywności w ciągu nocy. Gdy jednak teraz tak leżał w ciemnościach, odpowiedzialność za to, co zrobił, zaczynała mu coraz
bar-
dziej ciążyć.

Koniecznien musi coś zrobić przed świtem. Teraz już mu nie wolno zatrzymać się w pół drogi. Przecież podjął te wszystkie działania po to, by ocalić lotnikowi życie. A jeżeli będzie czekał do rana, ojciec znajdzie mężczyznę w oborze i wyda w ręce Niemców. I czy ojciec miał rację? Czy to, co robił Jean, to była jedynie zabawa? Niezwykła przygoda, która mogła
się
zakończyć prawdziwą katastrofą?

Bardzo chciało mu się płakać. I nagle przypomniał sobie o nodze lotnika. A co, jeżeli wda się infekcja i nogę trzeba będzie amputować? Jeżeli Amerykanin umrze z powodu tej infekcji? Czy dorosły mężczyzna może tak szybko skonać z powodu rany w nodze? Ale przecież stracił wiele krwi, a do tego na pewno był w szoku. Jean widział twarz Amerykanina w ciemnościach - twarz mężczyzny, który miał na imię Ted, który nie władał w pełni rękami, i który niemal uśmiechnął się radośnie, gdy udało się trafić na znane im słowo.

Jean powiedział, że wróci. Obiecał. Musi więc zabrać lotnika z obory przed świtem.

Kurczowo przyciskał skarpetkę do ust, teraz już po to, by zwalczyć senność. Wytrzeszczał oczy i wpatrywał się uparcie w nieprzeniknioną ciemność swego małego pokoju. Robił wszystko, by nie zamknąć oczu, i oddawał się rozmyślaniom. Po jakimś czasie wreszcie usłyszał ciężkie kroki ojca na schodach i trzask drzwi w sypialni rodziców.

Potem odczekał jeszcze jakiś czas, i gdy uznał, że teren jest już bezpieczny, rzucił skarpetkę na podłogę, po czym otulił się paltem.

Balansowała między jawą a snem, wciąż nasłuchując dobrze znanych odgłosów - kroków Henriego wkraczającego do kuchni, szumu płynącej wody, stukotu szklanki stawianej na stole. Siedziała na dole, dopóki mogła, ale w końcu zimno zagnało ją do łóżka. Pod grubą kołdrą, w ciepłej koszuli, na wpół uśpiona, zastanawiała się, co porabia Henri. Nie czuła strachu; nie pierwszy raz jej mąż spędzał noc poza domem, wypełniając jakąś misję. Mimo to wolałaby, żeby się przedtem z nią skontaktował. Tym bardziej że martwiła się o starą kobietę leżącą za ścianą, ciężko dyszącą, która teraz już odmawiała wszelkiego jedzenia, nawet odrobiny bulionu. Claire chciała sprowadzić staruszkę na dół, położyć blisko ognia, ale sama nie dałaby rady znieść jej ze schodów. Zrobiła więc jedynie to, co mogła - okryła jej wychudłe ciało kilkoma warstwami koców. Choć miała przy tym nieprzyjemne wrażenie, że grzebie starą kobietę; uniemożliwia jej jakiegokolwiek ruchy.

Nie miała wiele nadziei, że madame Rosenthal przetrwa tułaczkę. Nawet gdyby Claire pomogła jej odzyskać nieco sił, Maquis i tak będą chcieli przerzucić staruszkę przez granicę, udostępnić kryjówkę na strychu następnym uciekinierom bądź alianckim lotnikom. A Claire nie mogła sobie pozwolić na luksus zaoferowania madame Rosenthal pokoju w swoim domu. Dobrze wiedziała, co powiedziałby Henri, gdyby tylko spróbowała coś podobnego zasugerować. Madame Rosenthal była Żydówką, a żadnemu Belgowi nie wolno przechowywać Żydów. Karą za złamanie tego zakazu byłaby śmierć staruszki i ich obojga na dodatek.

Martwiła się więc o los madame Rosenthal. Wiedziała, że nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach trudno byłoby przeprowadzić ją przez francuską granicę, nie mówiąc już o granicy hiszpańskiej. W tym momencie przypomniała sobie historię pewnego przetrwania, którego finał poznała całkiem przypadkowo. W kwietniu czterdziestu ludzi, wśród nich dwóch brytyjskich lotników, którzy wcześniej znaleźli schronienie w Delahaut, zdołało dotrzeć pod samą hiszpańską granicę. Gdy dzieliło ich od niej zaledwie dwadzieścia pięć kilometrów, jeden z Anglików, uszczęśliwiony bliskim pomyślnym zakończeniem wycieczającej podróży, zaczął śpiewać po angielsku podczas kąpieli w strumieniu. Do mieszkającej nieopodal starej kobiety przez mur ogrodzenia dotarły angielskie słowa. Zawiadomione przez kolaborantkę gestapo aresztowało dwóch brytyjskich pilotów i pozostałych uciekinierów. Jeszcze tego samego dnia, gdy dzieliło ich zaledwie kilka godzin od wolności, trzydziestu dwóch mężczyzn zostało rozstrzelanych nad rowem, do którego wpadły ich ciała i którego przez parę dni nie wolno było zasypywać, by ów widok stanowił pouczającą przestrożę dla mieszkańców miasteczka.

Claire usiadła na łóżku. Wydało się jej, że słyszy pukanie do drzwi. Nieśmiałe pukanie, potem cisza. Natychmiast poczuła, jak zalewa ją fala gorąca. Odrzuciła kołdrę i nawet nie chwytając szlafroka, zbiegła bosą do kuchni. Przejmujący chłód kamiennej posadzki poraził całe jej ciało, sprawiał ból stopom.

Objęła się ramionami, stanęła tuż przy drzwiach. Rytmiczne stukanie znowu się powtórzyło. Która to godzina? Trzecia, czwarta rano? Czyżby coś strasznego spotkało Henriego i ktoś przyszedł ją o tym zawiadomić?

- Kto tam? - zawołała.

- Jean Benoit - usłyszała w odpowiedzi.

Usłyszała - ale w pierwszej chwili nie pojęła o kogo chodzi. Jean był przecież małym chłopcem, zaledwie dziesięciolatkiem. Zapytała więc raz jeszcze:

- Kto tam?

- Madame Daussois, proszę otworzyć - odezwał się nagły głos. - To ja, Jean Benoit.

Claire uchyliła drzwi. Na progu stał rozdygotany chłopiec. Lodowate powietrze wtargnęło do kuchni, więc Claire kiwnięciem ręki zaprosiła Jeana do środka. W ciemnym pomieszczeniu z trudem rozpoznawała jego rysy. Szybko zarzuciła na siebie stare palto Henriego wiszące na kołku przy drzwiach, po czym zapaliła świeczkę stojącą na kominie. Na widok twarzy chłopca mimo woli zakryła dłonią usta.

Jeden policzek miał spuchnięty i zasiniony, wokół rozciętej wargi, a także na brodzie - zakrzepłą krew. Stał w bardzo ubrudzonym palcie, do którego gdzieś poprzywierały gałązki i kawałki kory.

- Muszę się zobaczyć z monsieur Daussois - rzucił Jean ledwo słyszalnym głosem, po czym odchrząknął.

Claire przyglądała się chłopcu nieufnie. Każdy w miasteczku wiedział, że jego ojciec to *collabos*.

- Kto ci to zrobił? - zapytała.

Chłopiec patrzył jej w oczy i milczał.

- Czy zrobili to Niemcy?

Jean pokręcił głową.

- Twój ojciec?

Chłopiec wahał się przez moment, jakby wazył jakąś decyzję. W końcu raz, krótko kiwnął głową.

- Muszę porozmawiać z monsieur Daussois - oznajmił. - To bardzo pilne.

Panika pobrzmiewająca w jego głosie zdawała się autentyczna, jednak Claire wiedziała, że musi się mieć na baczności.

Maquis musieli zawsze pamiętać o zagrożeniu. Czasami podstęp i zdrada były oczywiste, ale niekiedy o wiele bardziej zawołowane. Zdarzało się, że Niemcy podstawiali własnych agentów jako alianckich lotników - ludzi, którzy perfekt władali angielskim i lądowali na belgijskiej ziemi wraz z brytyjskimi lub amerykańskimi spadochroniarzami. Kryło się ich i oddawało w ręce siatki przerzutowej, a oni na końcu wydawali wszystkich, którzy udzielili im pomocy. Aresztowanych mężczyzn i kobiety poddawano torturom, by z kolei wydali następnych. Claire wiedziała, że wielu z nich oślepiano i przypalano elektrycznymi prętami, a potem rozstrzeliwano i grzebano bez choćby prześcieradła w płytkich grobach, skąd zwierzęta wywlekały ich kości. Ale Claire wiedziała też, że dla Niemców rozpracowanie siatki przerzutowej nie zawsze było najważniejsze. Niekiedy bardziej niż na wykryciu członków ruchu oporu zależało im na poszczególnych alianckich lotnikach. Gestapo infiltrowało siatkę przerzutową, podstawiało jednego kolaboranta, który stopniowo wydawał w ich ręce najcenniejszych alianckich oficerów, i to w taki sposób, by nie ściągać na siebie podejrzeń. Bo tak naprawdę, kto mógłby z całą pewnością stwierdzić, które z ogniw siatki zostało spalone? Dlatego z zasady Maquis organizowali wszystko tak, by każda komórka partyzancka posiadała tylko niezbędne informacje o komórce stanowiącej ogniwo poprzedzające i o żadnej innej poza tym.

- Dlaczego musisz z nim porozmawiać? - zapytała Claire, mierząc chłopca uważnym spojrzeniem.

Jean westchnął ciężko. Claire zauważyła, że to dziecko jest przerażone nie na żarty. Przerażone i cierpiące. Jego warga i policzek wymagały pomocy lekarskiej.

- Mam Amerykanina - odparł chłopiec wprost.

W pierwszej chwili nie zrozumiała, o co chodzi. Jak mały chłopiec może mieć Amerykanina? Jednak gdy spojrzała bacznie w oczy Jeana, w pełni dotarły do niej te słowa.

- Gdzie on jest?

- Ukryłem go w oborze ojca. Jest ranny w nogę. Potrzebuję pomocy monsieur Daussois, by go stamtąd zabrać, zanim rankiem znajdzie go mój ojciec.

- A gdzieś ty go znalazł?

- W lesie.

- Czy mówiłeś o tym komukolwiek?

Chłopiec potrząsnął przecząco głową.

Claire wciąż wbijała w niego uważne spojrzenie. Czy może mu ufać? Natychmiast zrodziło się w jej głowie pytanie: skąd chłopiec wiedział, że może przyjść akurat do ich domu? Już sam ten fakt był zatrważający - czy Niemcy wiedzieli o niej i Henrim? Czy była to jedynie pułapka, sposób na zidentyfikowanie jednego z członków ruchu oporu? Mimo tych obaw jednak uwierzyła chłopcu, gdy powiedział, że to własny ojciec go pobił.

W tak małym miasteczku jak Delahaut trudno było zachować w całkowitej tajemnicy, kto należy do Maquis, a kto kolaboruje z Niemcami. Niektórych zdrajców można było rozpoznać na pierwszy rzut oka - na przykład Czarnych Belgów, mężczyzn w czarnych koszulach, pełniących odpowiedzialne funkcje we władzach okupacyjnych, często przejmujących jurysdykcję burmistrza. Były też kobiety, zadające się z niemieckimi żołnierzami, przyjmujące pieniądze i prezenty za okazywanie im swych względów. W Delahaut mieszkało ich zaledwie kilka i powszechnie uważano je za coś gorszego od sprzedajnych dziwek. Claire niejednokrotnie widziała, jak na widok tych kobiet ludzie spluwają na ulicy, i nawet nie chciała się zastanawiać, co się z nimi stanie, gdy się skończy wojna.

Jednak członkowie ruchu oporu musieli być nadzwyczaj ostrożni, by nie zdradzić nikomu swojej działalności. Claire wiedziała, że tego dnia Henri wraz Antoine'em zaryzykowali i wyciągali z rozbitego samolotu różne papiery i przyrządy w obecności miejscowych dzieci. Wiedziała też jednak, że dzieci w swej przeważającej większości uważały Maquis za bohaterów i marzyły o tym, by walczyć w ich szeregach, gdy dorosną. Nie. Niebezpieczeństwo bardzo rzadko groziło ze strony dzieci; raczej ze strony mężczyzn i kobiet przychodzących do domu pod pozorami serdecznej przyjaźni, pijących razem z tobą namiastkę kawy, a nawet dekla-

rujących swą nienawiść do nazistów, ale jednocześnie nasłuchujących, czy w domu nie rozlegają się jakieś niezwykle dźwięki.

Nagle Claire zrozumiała, w jaki sposób chłopiec ją zdemaskował.

Maquis działali nadzwyczaj ostrożnie, darząc zaufaniem bardzo wąskie grono ludzi, musieli jednak także korzystać z pomocy niektórych mieszkańców miasteczka, sympatyzujących z ruchem oporu. Jak na przykład madame Omloop. W Belgii cała żywność była racjonowana. Dzienna porcja na osobę wynosiła 225 gramów chleba, trzy kostki cukru, dwie małe kiełbaski i pół kilograma ziemniaków. Tymczasem nikt z ukrywających się przed Niemcami - Żydzi, alianccy lotnicy, belgijscy chłopcy uciekający z niemieckich obozów pracy i sami Maquis - nie miał bonów żywnościowych. Pozyskiwanie żywności i wykarmienie tej małej armii pochłaniało czas i energię. Dlatego ruch oporu musiał polegać na przyjaznych sklepikarzach, którzy kupowali żywność na czarnym rynku. Gdy Claire szła do miejscowego sklepiku, jego właścicielka, madame Omloop, bez prośnienia dawała Claire więcej żywności, niż zezwalały na to jej kartki.

- Widziałeś mnie w sklepie - powiedziała do Jeana. Chłopiec wbił wzrok w swoje stopy. Gdy w końcu na nią spojrzał, dostrzegła zmieszanie na jego twarzy.

- Monsieur Daussois nie ma w domu - oznajmiła powolnym tonem. - Musiał wyjść.

Nie udzieliła mu żadnych dodatkowych wyjaśnień. Uniosła nieznacznie głowę i pomyślała o starej kobiecie.

- Ale ja mogę z tobą pójść - dodała po chwili. - Być może wspólnie uda nam się przenieść tego mężczyznę.

Wyraz nieopisanej ulgi złagodził rysy chłopca. Claire wsunęła stopy w chodaki, zapięła płaszcz i włożyła chustkę na głowę. Za oborą stała stara ciężarówka i saturator z resztkami paliwa. Henri powiedział, że można z niego skorzystać tylko w nadzwyczajnych okolicznościach. Czy uda się jej uruchomić saturator? Czy razem z chłopcem zdołają pobudzić do życia starego forda? Claire nie widziała jednak innego wyjścia. Miała tylko nadzieję, że staruszka nie będzie jej potrzebować, gdy Claire znajdzie się poza domem.

Jean, siedząc obok madame Daussois w ciężarówce, kazał jej zgasić motor i światła, gdy jeszcze znajdowali się na głównej drodze, z dala od okien farmy jego ojca. Cicho otwarli drzwi, każde po swojej stronie, i wysiedli z kabiny. Rano zacznie sypać śnieg, Claire nie miała żadnych wątpliwości. W powietrzu unosił się pewien bardzo szczególny aromat.

Chłopiec szedł pierwszy i wskazywał jej drogę. Claire nawet nie próbowała się zastanawiać, jakie mogłaby ponieść konsekwencje, gdyby została w tym momencie przyłapana przez Niemców. Niekiedy proszono ją, by zjawiała się w jakimś domu w miasteczku, opatrzyła rannego lotnika lub służyła za tłumacza. Ale w takich sytuacjach zawsze jeździła rowerem, jak niemal wszyscy inni mieszkańcy miasteczka, więc ryzyko było minimalne. Jednak ona i chłopiec jadący po nocy ciężarówką, to już zupełnie inna sprawa. Z czegoś podobnego nie sposób byłoby się wytłumaczyć. Czy ktoś zauważył samochód na drodze w czasie tej krótkiej wyprawy z jej farmy na farmę Benoit? I która właściwie jest teraz godzina? Ile czasu pozostało do wschodu słońca? W tym momencie Claire przeklinała samą siebie, że przed wyjściem nie rzuciła okiem na duży zegar stojący w kuchni.

Gdy usłyszała skrzypienie zawiasów, aż wstrzymała oddech z przerażenia. Pod grubym paltem Henriego dygotała na całym ciele. W pierwszej chwili nie śmiała się nawet poruszyć w ciemnościach obory z obawy, że się potknie, przewróci i narobi hałasu. Zaraz jednak chłopiec dotknął jej lekko, po czym chwycił za rękę i wprowadził do środka. Claire czuła zapach krów, słyszała je, ale żadnej nie mogła dostrzec.

Chłopiec ciągnął ją za rękę i coś cały czas mówił. Claire ukłękła i wyciągnęła przed siebie obie dłonie. Klęczała na czymś miękkim - pomyślała, że to nawóz pomieszany ze słomą. W pierwszej chwili trafiła rękami na szorstkie drewno koryta i nieregularne, gruzłowate bulwy ziemniaków.

Pilnie wsłuchiwała się w odgłosy krzątania chłopca. Raz usłyszała jak szeptem wypowiedział swoje imię, „Jean”. Rozpoznawała głuchy stukot

kartofli uderzających o klepisko obory. Aż nagle chłopiec przerwał swą pracę.

I znowu sięgnął po jej rękę. Przeciągnął jej palcami po krawędzi koryta, a potem po skórcie ziemniaków.

I nagle, niespodziewanie, Claire poczuła ciepło ludzkiej skóry. Twarz mężczyzny. Stojący obok niej chłopiec wypowiedział w tym momencie jego imię.

TLR

31 GRUDNIA 1943 - 7 STYCZNIA 1944

Na boisku za szkołą aż wrzało. Chłopcy w źle dopasowanych paltach i starych, wełnianych swetrach grali w kule, rzucali do celu obręczami i kamykami w tych kilku ostatnich minutach długiej przerwy południowej. Tylko nieliczne dziewczynki zdecydowały się wyjść na dwór w tak chłodny dzień; większość z nich została w klasie z madame Lepin, uczącą je robić na drutach skarpetki dla belgijskich jeńców wojennych w Niemczech. Jean stanął na szczycie schodów i rozejrzał się dokoła. Marcel, który cały czas czekał na niego niecierpliwie, zauważył go pierwszy i zawołał po imieniu. Na dźwięk jego imienia kilku chłopców przerwało zabawę i przyglądało się, jak Jean schodzi powoli po kamiennych stopniach. Oficjalnie wymierzona kara, bez względu na przewinienie, zawsze wzbudzała ciekawość chłopców. Jean podszedł do przyjaciela.

- Jean - zaczął Marcel gorączkowym szeptem. - Co się stało? Co monsieur Dauvin ci zrobił?

Jean wyciągnął przed siebie ręce. Największym wysiłkiem woli oparował ich drżenie. Stawy palców miał obrzęknięte. Na środkowych palcach skóra była poprzecinana i pojawiły się kropelki krwi.

-Kij?

Jean potakująco skinął głową.

- To lepiej, że kij, a nie trzcinka.

Jean ponownie potaknął skinieniem głowy.

- Ja nikomu nie pisałem słowem - ciągnął szeptem Marcel. - Chciałeś, żebym powiedział, że jesteś chory, wiem, ale monsieur Dauvin był taki wściekły, że nie odważyłem się odezwać.

- To i lepiej - odparł Jean. - Bobyś też dostał kije.

- A co ty w ogóle porabiałeś? - zainteresował się Marcel. - Gdzie byłeś całe popołudnie? Czy odkryłeś lub znalazłeś coś?

Jean spojrzał ponad ramieniem przyjaciela na kąt boiska, gdzie grupa chłopców grała w kule. Kule sami robili z drewna - wycinali je z jednego klocka i pracowicie polerowali – nie były one jednak idealnie okrągłe, więc kolebały się zabawnie po piachu. Gdy Jean zjawił się w szkole tego ranka, nikt nie zapytał go, czemu ma spuchniętą twarz i rozciętą wargę. Nie pierwszy raz był w takim stanie; wszyscy wiedzieli, że ojciec często go bije.

Jean znów spojrzał na przyjaciela. Włosy Marcela pilnie wymagały strzyżenia - długie kosmyki sterczały mu nad uszami. I podobnie jak Jean miał żałośnie za krótkie spodnie.

- Nic się nie stało. Poszedłem do lasu, ale nic nie znalazłem. Kiedy wróciłem do domu, okazało się, że monsieur Dauvin widział się z moim ojcem, więc oberwałem.

- Ach tak - odparł Marcel. Miał bardzo zawiedzioną minę.

Jean próbował wsunąć ręce do kieszeni, ale miał kłopoty ze zginaniem palców w stawach. Wiedział, że przynajmniej do następnego dnia dłonie będą sprawiać mu ból. Ostatecznie nie pierwszy raz dostał kije.

Natomiast po raz pierwszy w życiu okłamał przyjaciela. I zrobił to automatycznie, nie zastanawiając się nawet nad tym, co mógłby powiedzieć. Instynktownie wiedział, że nie powinien nikomu opowiadać o tym, co wydarzyło się w nocy. Nie tylko ze względu na własne bezpieczeństwo, ale przede wszystkim na bezpieczeństwo madame Daussois. Nie mógł zapomnieć jej widoku, gdy stała w swojej kuchni ubrana tylko w nocną koszulę, ani hartu ducha, jakim się wykazała zeszłej nocy. Była piękna. Jean uważał, że jeszcze nigdy w życiu nie widział tak pięknej kobiety - nawet Marie-Louise, która smarowała nogi sokiem z orzechów włoskich, by wydawało

się, że nosi pończochy, nie umywała się do madame Daussois. Jean był pewien, że madame Daussois nigdy niczym nie smarowałaby sobie nóg. Gdyby musiał, ścierpiałby dla niej cały tuzin kijów.

W ciemnościach razem z tą piękną kobietą opróżnili koryto z ziemniaków, po czym pomogli lotnikowi stanąć na nogi. Amerykanin był oszołomiony i bardzo wycieńczony – ledwie mógł się utrzymać w pozycji pionowej. Madame Daussois cały czas coś do niego mówiła, szeptała po angielsku kojącym głosem, tłumaczyła, że ona i Jean są przyjaciółmi. Jean powrzucał ziemniaki z powrotem do koryta. Gdy podtrzymywał lotnika, nie widział wyraźnie jego twarzy, ale czuł jego ciężar,

fakturę skórzanego kombinezonu i futro kozucha przy szyi. W ciężkim ubraniu lotnik ważył o wiele więcej, jednak Jean miał świadomość, że tylko dzięki temu kombinezonowi Amerykanin w ogóle zdołał przeżyć. Nie raz już słyszał historie o lotnikach, którzy wyskakiwali z samolotów w ogrzewanych elektrycznością kombinezonach i potem zamarzali na polach czy w lesie, zanim ktokolwiek zdołał udzielić im pomocy.

Madame Daussois w nocnej koszuli i w ciężkim, za dużym płaszczu swojego męża oraz Jean w starym palcie i wystrzępionej czapce wytoczyli na taczce Amerykanina z obory do ciężarówki. Wspólnie podnieśli i wtłoczyli jakoś mężczyznę na lorę samochodu, jakby wieźli ubite zwierzę na targ. Był to tak wielki wysiłek dla wszystkich trojga, że nie sposób było zachować idealną ciszę - każde stęknienie z wysiłku czy okrzyk bólu lotnika sprawiały, że madame Daussois lub Jean instynktownie zwracali wzrok w stronę domu, oczekując nagłego poruszenia. Gdy już w końcu Amerykanin znalazł się w ciężarówce, Jean ruszył w stronę szoferki, by wspiąć się na siedzenie obok madame Daussois. Nawet nie przyszło mu do głowy, że nie miałby pojechać z powrotem do jej domu. Bo jak ta delikatna kobieta mogłaby sobie poradzić bez jego pomocy? Jak wniosłaby rannego lotnika do domu? Jednak madame Daussois chwyciła go za ramię, a potem zaczęła tłumaczyć, że nie może się z nią zabrać. Jean próbował przekonać ją gorączkowym szeptem, że jego pomoc będzie niezbędna, ona jednak pozostała niewzruszona. Nie patrzyła na niego suro-

wym wzrokiem, jak na przykład matka Marcela - ale jej postanowienie było nieodwołalne. Jean nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. I w tym momencie przez twarz przebiegł mu skurcz bólu, bo przypomniał sobie własną matkę, jej nieustanny strach przed mężem i przerażającą wobec niego uległość.

Madame Daussois nalegała, by chłopiec natychmiast pobiegł do swojego pokoju. Tłumaczyła, że gdyby został złapany, nie zdołałby przetrwać tortur i w ten sposób naraziłby ich wszystkich na śmierć. Jean wciąż się wahał, bardzo chciał się jej przeciwstawić, z niechęcią myślał o porzuceniu lotnika. Bo przecież, gdyby nie on, Jean, mężczyzna pozostałby w lesie i być może nawet zamarłby w nocy lub został znaleziony przez Niemców. W nocnym chłodzie z oczu płynęły mu łzy, gdy tak się zmagał z własnym strachem i pragnieniami. W końcu jednak wzruszył ramionami, odwrócił się plecami do madame Daussois i ruszył przed siebie bez jednego słowa. Teraz miał za to do siebie pretensje. Odszedł od niej nadszany, podczas gdy powinien być wdzięczny, że przyszła mu z pomocą, jak tylko poprosił. Marzył, by pójść na jej farmę i przeprosić za swoje zachowanie. Poza tym bardzo chciał się dowiedzieć, co się dzieje z lotnikiem - jak się czuje, czy wciąż jeszcze jest u niej, czy może został przerzucony gdzieś dalej. Wyraźnie dostrzegł przerażenie na twarzy madame Daussois, kiedy zdała sobie sprawę, że on, Jean, odkrył jej przynależność do ruchu oporu. Chciał ją zapewnić, że nigdy nikomu nie zdradzi tego sekretu i bez względu na okoliczności nikomu nie opowie o wydarzeniach zeszłej nocy.

Stanął na poboczu, skryty w mroku, przyglądając się, jak zawraca ciężarówką. Pamiętał drogę z jej domu na jego farmę - całym ciałem kobiety rzucało tak gwałtownie, że z trudnością włączała sprzęgło czy zmieniała biegi. Boczna polna droga była niezwykle wyboista, koleiny pozamarzały w płatanię ostrych wzniesień i dolin, Jean wiedział więc, że trzęsienie na nierównej powierzchni będzie prawdziwą udawką dla Amerykanina. Gdy madame Daussois odjeżdżała zeszłej nocy, włączyła światła dopiero dobre sto metrów od miejsca, gdzie zaparkowali. Mimo to blask reflektorów przeraził Jeana: zabłyśły nagle i oślepiająco, oświetlając wyraźnie każde

drzewo, wydobywając z ciemności ostre, tańczące cienie. Jean poczuł taki niepokój, jakby na ciężarówkę padła nagle wiązka światła szperacza. Przygryzł policzek od środka. Stał i czekał tak długo, aż przestały go dobiegać odgłosy silnika. Dopiero potem ruszył długą ścieżką do domu.

- Benoit.

Jean odwrócił się na dźwięk tego głosu. Pierre Albert, chłopak o rok od niego starszy, stanął tuż za nim, przerzucając z jednej ręki do drugiej drewnianą kulę. Patrzył na Jeana zwięzonymi oczami. Kuzyn Pierre'a, Jan, był w grupie dywersyjnej Maquis w Charleroi i został rozstrzelany przez belgijski

oddział gestapo, gdy przyłapano go w piwnicy własnego domu z materiałami wybuchowymi. Pierre wszystkim do znudzenia opowiadał tę historię, jak gdyby heroizm kuzyna i jego opromieniał szczególnym splendorem.

- Dostałeś kije.

Jean nie odezwał się słowem. Marcel miał zaniepokojoną minę. Pierre lubił znęcać się nad słabszymi i Jean wiedział, że Marcel się go boi.

-Za co?

- Przecież wiesz, za co - odparł Jean, mimo bólu wciskając ręce do kieszeni.

- A właściwie dlaczego nie było cię w szkole?

- Rozchorowałem się.

Pierre cmoknął znacząco. A potem przymrużył oko.

- Mój ojciec twierdzi, że wie, gdzie są Amerykanie. Jean milczał. Miał poważne wątpliwości, czy ojciec Pierre'a rzeczywiście wie cokolwiek o którymkolwiek Amerykaninie. A jeżeli nawet wie, czy powiedział o tym swojemu synowi.

- Widziałem ten samolot na własne oczy - chełpliwie do-rzucił Pierre.

Jean wciąż się nie odzywał. Nie przypominał sobie, by widział Pierre'a na pastwisku. Jednak nazwanie Pierre'a Alberta kłamcą jedynie pogorszyłoby sprawę.

Marcel przestępował z nogi na nogę, robił wrażenie, jakby nie marzył o niczym innym, tylko o przyłączeniu się do chłopców grających w kamyki.

- Chodźmy, Jean - powiedział w końcu.
Pierre zwrócił się w jego stronę i rzucił drwiąco:

- A ty dokąd się wybierasz?

Marcel zastygł w pół gestu. Pierre ponownie spojrzał na Jeana.

- A więc się rozchorowałeś.

Jean stał spokojnie, wciąż się jednak nie odzywał.

- A wiesz, co ja myślę? - zapytał Pierre, rzucając jednocześnie kulę tak, że niemal otarła się o twarz Jeana. Jean jednak wciąż stał nieporuszony.

- Myślę, że potajemnie pobiegłeś do St. Laurent, żeby o wszystkim powiadomić Niemców. I to tam właśnie byłeś zeszłego popołudnia.

Jean już otworzył usta, by ostro zaprotestować - na coś takiego sobie nie pozwolił. Ale zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, na boisku rozległ się ostry dźwięk dzwonka. Marcel wydał westchnienie ulgi.

Pierre ponownie rzucił kulę tak, że prawie uderzyła Jeana w twarz. Po-tem odwrócił się i pobiegł w stronę klasy, rzucając jednak za siebie znie-nawidzone słowa:

- *Fils du collabos.*

Claire uklękła przy lotniku. Zdjęła chustkę, rozpięła ciężkie palto. W blasku świecy po raz pierwszy ujrzała twarz Amerykanina. Malował się na niej wyraz niezwykłego spokoju, jakby mężczyzna po prostu spał. Uznała, że ma jakieś

dwadzieścia jeden, może dwadzieścia dwa lata. Światło zagrało cieniem na jego kościach policzkowych, na wargach. Całą twarz znaczyły drobne skaleczenia, usta były paskudnie spuchnięte. Przelotnie Claire musnęła palcami policzek. Teraz - jak i wcześniej w przypadku innych żołnierzy - zastanawiała się, kto o nim śnił co noc, jaka kobieta go kochała, modliła się za niego, czekała na jego listy, liczyła dni do jego powrotu. Jeżeli nie odzyska przytomności - a nie można było mieć pewności, że odzyska - Claire nigdy się tego nie dowie. Rozpięła suwak skórzanego kombinezonu do połowy jego piersi, palcami wymacała blaszki nieśmiertelnika. Trzymała w ręku jego znaczek identyfikacyjny, nieco wytarty od ciągłego noszenia, i nagle rzuciła go na kamienną podłogę. Miała ochotę krzyczeć. Ogrom zniszczenia i śmierci był niezmierny. Pomyślała o tych wszystkich mężczyznach, w zasadzie niemal chłopcach, ginących bezsensowną śmiercią z dala od domu; o mężczyznach i kobietach ze swojego własnego kraju, umierających w niewyobrażalnych cierpieniach na torturach, tylko dlatego że przyszło im się urodzić w takim, a nie innym czasie. Bez względu na to, jak wiele razy o tym myślała, jak głęboko to przeżywała, nie mogła zrozumieć, czemu ogarnęła ich taka ciemna fala, mająca już na zawsze zmienić ich życie. I jeżeli niekiedy była jeszcze w stanie pojąć to, co spotykało Belgów, ludzi z jej miasteczka, to już zupełnie nieodgadnione było dla niej, czemu ci młodzi ludzie z tak dalekich stron pojawiają się tu, by bronić kraju, o którym w zasadzie nic nie wiedzą. Niektórzy z alianckich żołnierzy, którymi się opiekowała, przed wojną nawet nie wiedzieli, że istnieje takie państwo jak Belgia. Nie potrafili umiejscowić go na mapie. Belgia była dla nich jedynie pustym słowem - a nie realnym bytem - a mimo to wciąż przybywali. I wciąż ginęli.

Henri, zaparkowawszy ciężarówkę za oborą, wszedł do kuchni, wpuszczając przez drzwi ostry chłód mroźnej nocy. Claire, wciąż klęcząca na kamiennej posadzce, podniosła na niego wzrok. Twarz Henriego była zapadnięta, szara, zdradzająca wyczerpanie. W bruzdy twarzy wbił mu się czarny kurz. Nie posiadał się ze zdumienia, gdy - zaledwie kilka minut wcześniej - podjechał na rowerze żwirową ścieżką i natknął się na żonę

siedzącą w budzie ciężarówki wraz z rannym lotnikiem. Claire wiedziała, że Henriego zżera strach, że mąż boi się przechowywać alianckiego lotnika w swoim domu. A mimo to nigdy nie odmówił schronienia ani żadnemu żołnierzowi, ani Żydowi. Zawsze przychylił się do próśb Maquis.

- Idę po madame Dinant - oświadczył, stając w drzwiach.

Claire skinęła głową. Miała ochotę powiedzieć mu, żeby poszedł na górę i się położył, ale zdawała sobie sprawę, że to niemożliwe. Lotnika nie można było zostawić samego, a poza tym Henri zdoła dojechać do domu Dinant o wiele szybciej niż ona.

- Powiedz, żeby wzięła ze sobą gips i morfinę. I powiedz też... - w tym momencie Claire rzuciła okiem na sufit - powiedz, że staruszka jest umierająca.

Gdy Henri wyszedł, w domu zapanowała idealna cisza. Claire wyraźnie słyszała tykanie zegara; rzuciła okiem na cyferblat - pierwsza piętnaście. Zdjęła skórzany kask z głowy lotnika i podsunęła mu pod kark poduszkę. Mężczyzna miał włosy piaskowego koloru, które teraz, zmatowiałe, przylegały gładko do czaszki. Obrzuciła uważnym spojrzeniem resztę kombinezonu: jedna nogawka, prawa, była tuż nad stopą cała przesiąknięta krwią.

Claire podniosła się i z szuflady maszyny do szycia wyjęła parę ciężkich, krawieckich nożyc. Pochyliła się nad Amerykaninem. Długie włosy wyśliznęły się jej z węzła i opadły, niczym welon, po obu stronach twarzy, zasłaniając widok. Niecierpliwym gestem zgarnęła je na jedną stronę i przechylając głowę, by pasma włosów nie opadały jej na oczy, zaczęła rozcinać mężczyźnie spodnie, zaczynając tuż nad kostką.

Nożyce tępo wgryzały się w skórę. Kawalki baraniego futra, unurzane we krwi, opadały na ziemię kępkami i zaczynały powoli tworzyć mały kopczyk przy nodze Amerykanina. Gdy Claire wreszcie dotarła do rany, zrobiło jej się niedobrze i szybko zaczęła przełykać gwałtownie napływającą do ust ślinę. Skóra przez całą łydkę aż do kostki była całkiem rozorana i niczym gniewny kwiat wychylało się z niej żywe ciało. Najdelikatniej, jak umiała, Claire zaczęła usuwać kawalki futra z otwartej rany. W tym momencie usłyszała gwałtowne wciągnięcie powietrza i szybko spoj-

rzała na twarz lotnika. Teraz miał cerę barwy popiołu. Był przytomny i patrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

- Przykro mi, że sprawiam ci ból - powiedziała po angielsku.

On szybko przymknął oczy i ustami powoli wypuścił powietrze, usiłując zapanować na bólem teraz, gdy rana została wystawiona na powietrze.

- Jesteś bezpieczny. Znalazłeś się w Belgii – powiedziała miękkiem głosem. Wszeptywała to słowo raz za razem. Belgia. Belgia.

Jednocześnie cały czas bacznie przyglądała się jego twarzy. Powoli na policzki wracał mu kolor. Claire spostrzegła jednodniowy zarost. Mężczyzna powoli pokręcił przecząco głową. Nie wiedziała, czy chciał przez to powiedzieć, że nie są bezpieczni, czy że nie wierzy, że znalazł się w Belgii. A potem znów zamknął oczy i opadł na poduszkę.

Therese Dinant nie spała od ubiegłej nocy, jednak w odróżnieniu od Henriego nie wykazywała najmniejszych oznak zmęczenia. Weszła głośno i z rozmachem do domu Daussois, jak gdyby wszystkie pomieszczenia w Belgii zawsze stały przed nią otworem.

- Najpierw zajmijmy się lotnikiem - zarządziła stanowczym głosem. Claire wiedziała, że lotnik miał znaczenie priorytetowe. Należało go ocalić za wszelką cenę. Ale była to też kwestia określonej oszczędności - w pierwszej kolejności należy opatrzyć tych, co mają większe szanse przeżycia.

- Jak on się nazywa? - spytała Dinant.

- Porucznik Theodore Aidan Brice - odparła Claire.

- A więc to pilot - rzuciła Dinant rzeczowo.

W kuchni było ciepło, Dinant zrzuciła palto, ale nie zdjęła chustki z głowy. Jej zaczerwienioną, wysuszoną twarz porastał delikatny meszek. Miała na sobie czarny, długi, rozpinany sweter, grube, szare, wełniane pończochy podkreślające masywne łydki, na nogach zaś - drewniane saboty. Pracowała zawsze bez zbędnych słów i szybko. Należała do Czerwonego Krzyża i przyłączyła się do ruchu oporu już na samym początku, w 1940 roku. Mieszkała sama, w niewielkim szeregowym domku w centrum miasteczka. Była dużą i silną kobietą - potężniejszą nawet od

Henriego. Claire sądziła, że prawdopodobnie nie liczy sobie więcej niż trzydzieści lat, ale należała do tego typu kobiet, które od najwcześniejszej młodości wyglądają bardzo poważnie.

Dinant zrobiła lotnikowi zastrzyk z morfiny, a potem rozcięła cały kombinezon. Wyjaśniła, że chce obejrzeć mężczyznę nagiego, by się upewnić, że nie ma żadnych innych obrażeń. Rana postrzałowa, powiedzmy pod łopatką, może zostać niezauważona pod kombinezonem, a nieprzytomny pacjent nie może nic o niej powiedzieć. Claire i Henri zastosowali się więc do jej poleceń - wspólnie rozebrali pacjenta i przewracali go na boki, by Dinant mogła uważnie obejrzeć całe jego ciało. Claire pocila się obficie w ciężkim, grubym palcie, ale nie mogła go zrzucić. Dinant powiedziała, że wkrótce zjawi się tu Antoine, by zabrać tornistry, a ona nie miała teraz czasu, by na koszulę nocną zarzucić sukienkę.

Dinant kazała Claire i Henriemu przewrócić mężczyznę na brzuch i przytrzymać go mocno za nadgarstki, unikając chwytania za dłonie. Dodała jednak, że gdyby było to konieczne, będą musieli usiąść mu na rękach. W prostej angielszczyźnie oznajmiła pilotowi, że to, co za chwilę zrobi, będzie bolało, ale że postara się zrobić to jak najszybciej.

Pilot, raz po raz tracący i odzyskujący świadomość, poderwał gwałtownie głowę i ramiona, gdy Dinant zaczęła mu opatrywać ranę. Henri pochwycił pilota za ramiona; Claire przyłożyła dłoń do jego ust, a on wbił zęby w miękką poduszczkę jej kciuka. Gdy jednak nadszedł najgorszy moment, ból, którego nawet morfina nie mogła uśmierzyć, głowa pilota opadła

na koc. Jego twarz nabrała przerażającego koloru.

Claire pomogła Dinant owinać nogę nasączonymi gipsem bandażami, od podeszwy stopy aż po kolano. Na wierzchu zostały jedynie palce - białe i woskowe.

Claire miała ręce w krwi. W tym momencie zdała sobie sprawę, że ktoś jeszcze pojawił się w kuchni. Antoine Chimay wszedł do środka zupełnie bezszelestnie. Ta zwinność, umiejętność bezgłośnego skradania się, niemal wdzięk w ruchach zawsze zdumiewały Claire u tego zwalistego mężczyzny, choć wiedziała, że nabrał tego nawyku w szeregach Maquis.

Antoine miał na sobie brudne wełniane palto i robione na drutach rękawiczki z poobcinanymi końcami palców. Nie zdejmując owych rękawic, potężny mężczyzna wyjął z kieszeni wymiętego papierosa. Zapach tytoniu wywołał u Claire gwałtowny, intensywny głód nikotyny.

- Przeżyje? - zwrócił się Chimay do Dinant.

Pytanie zostało zadane całkiem beznamytnym tonem. Mimo to Claire wyczuła nutę znużenia w głosie Antoine'a. Zestrzelony pilot był dla niego jedynie pakunkiem, oczywiście cennym, jednak zaledwie pakunkiem, który jak najszybciej należało wysłać do Anglii, by lotnik mógł ponownie włączyć się do walki.

Claire wiedziała, że Antoine przyszedł do nich teraz nie tylko po to, by odebrać tornistry, ale także by przesłuchać pilota. Zapewne uzyskał już pewne informacje od innych odnalezionych lotników, ale niewątpliwie bardzo zależało mu na rozmowie z tym oficerem. Gdy Chimay zbierze już wszelkie możliwe informacje, wyśle zakodowaną wiadomość do Anglii, korzystając z radiostacji, którą trzymał w walizce pod belą siana w swojej stodole. Owa wiadomość zostanie z kolei przekazana do macierzystej bazy załogi zestrzelonego samolotu. Jednak dopóki lotnicy nie wrócą szczęśliwie do domu, będą oficjalnie umieszczeni na liście żołnierzy zaginionych w akcji.

Dinant wzruszyła ramionami i zrobiła dłonią gest, wskazujący, że nie jest pewna, czy mężczyzna przeżyje.

- Rana jest bardzo głęboka. Uszkodzone ścięgno. Stracił wiele krwi. A na dodatek istnieje niebezpieczeństwo infekcji. Czy przeżyje, zależy od tego, jak uda mu się poradzić sobie z ewentualnym zakażeniem.

Chimay zaciągnął się głęboko papierosem, pocierając przy tym czoło dłonią.

- Kiedy będzie można z nim porozmawiać?

Dinant rzuciła okiem na twarz pilota, po czym wzruszyła ramionami.

- Trudno powiedzieć. Przez parę dni będzie jeszcze potrzebował morfiny, a potem może...

- Nie możemy czekać tak długo - przerwał jej Chimay. - Wrócę tu rano i spróbuję z nim pogadać. - Spojrzał znacząco na Claire. - Gdzie są tornistry?

- W oborze. Pod karmą.

Antoine odwrócił się i wrzucił niedopałek do zlewu, po czym oparł się obiema rękami o porcelanowy brzeg. W świetle świecy Claire widziała teraz jedynie jego szerokie plecy i przygarbione ramiona.

- Niemcy dorwali dwóch z nich - oznajmił z rozgoryczeniem. Claire zastanawiała się, czy miał z tego powodu pretensje do samego siebie, czy uważał, że członkowie ruchu oporu nie zadziałali dość szybko.

Zawsze starała się nie zastanawiać, co się dzieje z alianckimi lotnikami, gdy dostają się w ręce Niemców. Wiedziała, że wysyła się ich do Breendonk w Brukseli bądź innych podobnych więzień w Antwerpii czy Charleroi. Niektórzy byli torturowani przez belgijskich lub niemieckich esesmanów. Ci, którzy przeżyli, uważali się za szczęściarzy, gdy deportowano ich w głąb Niemiec, do obozów jenieckich dla lotników. Claire słyszała opowieści o angielskich pilotach, złapanych na początku wojny, którym wylupywano oczy, katowano, a potem grzebano bez trumien na cmentarzach w pobliżu Breendonk. Niektórym członkom ruchu oporu powierzano makabryczne zadanie odszukiwania grobów owych nieszczęśliwych lotników, ekshumowanie ich i zapewnienia godnego pochówku. Na terenie całej Belgii było pełno grobów nieznanymi żołnierzami.

Chimay zniknął równie bezszelestnie, jak się zjawił. Dinant podniosła się i podeszła do zlewu. Zmyła z rąk krew.

- Resztę możesz zrobić sama - powiedziała do Claire. - Trzeba go napić wodą i umyć. Żadnego jedzenia aż do południa. W razie najmniejszych oznak infekcji, natychmiast przyślij po mnie Henriego. - Wytarła ręce w ścierkę. - Staruszka jest na górze?

Claire skinęła głową. Dinant chwyciła torbę i wyszła z kuchni, a Henri, po raz pierwszy tego wieczoru, usiadł. Claire podejrzewała, że mąż nie jadł nic od południa.

- Widziałem rannego Amerykanina - powiedział Henri.

- Tego, którego znaleźliśmy przy samolocie. - Na to wspomnienie jego twarz powlokła się chorobliwą bladością. Oparł głowę na dłoniach. - Leżał u Dinant na stole w kuchni, gdy po nią przyszedłem. Nigdy w życiu nie widziałem...

- Henri, idź do łóżka - rzuciła szybko Claire. – Musisz się wyspać. Ja tu sobie poradzę sama, a jutro rano może cię potrzebować Antoine. Chcesz coś zjeść?

Henri gwałtownie pokręcił głową:

- Nie byłbym w stanie nic przełknąć.

- Więc rób, jak ci mówię - Claire rzadko mówiła do męża tak ostrym tonem, ale wiedziała, że jeżeli nie zareaguje zdecydowanie, on się nie ruszy. Nie wątpiła, że tego dnia widział straszne rzeczy. I tylko sen mógł odsunąć od niego te obrazy.

Henri z wolna podniósł się z krzesła.

- Położę się na sofie w salonie. Jeżeli byś mnie potrzebowała...

Kiedy Henri wreszcie wyszedł, Claire podniosła się z kolan i umyła ręce nad zlewem. Napełniła olbrzymi czajnik wodą, postawiła na kuchni. Mężczyzna leżący na podłodze cały czas jęczał z cicha. Gdy woda zaczęła wrzeć, wlała ją do miski napełnionej zimną wodą. Potem rozwinęła z opakowania mały kawałek mydła, prawdziwego mydła, nie tej burej mazi wytapianej z dodatkiem popiołu. Podniosła niewielką kostkę do nosa i przez chwilę chłonęła jej zapach. Ustawiła miskę na podłodze.

Zawahała się chwilę, a potem przetoczyła mężczyznę na plecy. Nie ocknął się, jednak nieco koloru pojawiło się na jego twarzy. Trzymając delikatnie głowę pilota, umyła mu twarz i szyję, przesunęła dłonią pod pachami, po torsie i ramionach. Zanurzała gąbkę w ciepłej wodzie i pozwalała, by po nim spływała, wsiąkała w ręczniki położone po obu jego bokach.

Lotnik był o wiele bardziej muskularny, niż sobie wyobrażała, ale w świetle kominka jego kości biodrowe odcinały się ostrym konturem. Claire delikatnie starła zaschniętą krew z ciemnych włosów jego zdrowej nogi. Kilkakrotnie wylewała brudne mydliny z miski i napełniała ją czystą ciepłą wodą.

Theodore Aidan Brice. Wypowiedziała to imię na głos. Tak się nazywał mężczyzna, który leżał w jej kuchni, na podłodze, a ona nie wiedziała o nim nic poza tym, że pilotował samolot i wylądował w pobliżu jej miasteczka. Mógł skończyć w jej kuchni, i wówczas niedługo nie dowiedziałyby się o nim niczego więcej. Obok złożyła należące do niego przedmioty: zdjęcie kobiety, blaszki nieśmiertelnika, „zestaw ucieczkowy”, wymiętą paczkę papierosów. Lotniczy kombinezon, czy raczej to, co z niego zostało, będzie spalony lub zakopany. Claire zastanawiała się, czy ów pilot był ożeniony z kobietą z fotografii - ładną, ciemnowłosą, wyglądającą niezwykle młodo kobietą. Ostatecznie jednak zdecydowała, że nie, ponieważ nie miał obrączki. W tym momencie przypominała sobie pewnego angielskiego lotnika, który był przekonany, że umrze, i prosił Claire, by wzięła jego obrączkę i odesłała żonie po skończeniu wojny. Claire nie zgodziła się na jej przyjęcie, zapewniając lotnika, że na pewno przeżyje. W jakiś czas potem dowiedziała się, że zginął wkrótce po opuszczeniu jej domu. Teraz zaciekawiło ją, skąd dokładnie pochodzi pilot leżący na jej podłodze - Ameryka była taka wielka. Zastanawiała się też, jak brzmi jego głos; do tej pory nie przemówił do niej ani słowa.

Morfina, jak zwykle, działała cuda. Claire nigdy nie mogła się nadziwić jej niezwykłej mocy - tym, jak zmieniała wyraz twarzy, odejmowała lat, nadawała rannym swoiste piękno.

Cierpienie zniekształcało rysy ludzi, czyniło ich szpetniejszymi; a morfina eliminowała ból. Twarz Amerykanina w tym momencie spokoju była otwarta - nieściągnięta, niewyostrzona. Claire widziała jego oczy jedynie przez moment - gdy w krótkiej chwili przytomności zwrócił na nią wzrok. Były to niezwykle oczy, w kolorze oszałamiającej, morskiej zieleni, upstrzone gdzieś złotymi płatkami. Mężczyzna miał poza tym szerokie usta, nawet teraz, gdy spał, i Claire nagle bardzo zapragnęła się dowiedzieć, jak będą wyglądały pewnego dnia, gdy już się zagoją i nie będą obrzęknięte. Rzuciła okiem na swoją dłoń, na miejsce, gdzie ją ugryzł. Wciąż jeszcze na poduszeczce kciuka zaznaczał się blady ślad jego zębów.

- Za późno.

Claire uniosła wzrok. W drzwiach stała Dinant.

- Staruszka umarła - oświadczyła. W jej głosie nie było emocji. Claire pomyślała, że Dinant, która oglądała najokropniejsze widoki, opiekowała się torturowanymi chłopcami, nauczyła się postrzegać śmierć w kategoriach porażki w kolejnej rozgrywce z wrogiem.

- Powiadomię Bastiena - powiedziała Dinant. – Przyjdzie tutaj i będzie wiedział, co robić. A kiedy przyjdzie, przy okazji pomoże wam zanieść Amerykanina do kryjówki. Z każdą minutą, gdy tu leży, zwiększa się ryzyko waszej wpadki.

Claire pomyślała w tym momencie, że Dinant odgrywa w jej kuchni rolę oficera sztabowego - logicznego, wydającego szczegółowe rozkazy. Bo w Belgii wojna toczyła się w kuchniach i na strychach domów rozrzuconych po całym kraju.

Pilot spał przez wiele godzin. Po południu Claire wdrapała się po schodkach do kryjówki z filiżanką cienkiego bulionu ugotowanego na szpikowych kościach. W pokoiku na strychu było akurat tyle miejsca, by mogła usiąść na podwiniętych nogach. Przez jakiś czas obserwowała Amerykanina i jego oczy poruszające się lekko pod pokrytymi delikatnymi żyłkami powiekami. Przyglądała się, jak jego ciało drga gwałtownie, jakby w swoim śnie wciąż jeszcze pilotował samolot. Patrzyła też na płatki śniegu przyprószające, a potem pokrywające zupełnie szklany prostokąt w suficie. Im więcej śniegu zbierało się na szybcie, tym bardziej światło w kryjówce stawało się przyćmione, tak że wkrótce strych zdawał się wypełniony jakąś mleczną poświatą, rozmywającą rysy pilota. W tym momencie Claire pomyślała o starej Żydówce, o tym jak leżała tu i umarła samotnie. Jakie myśli, jakie marzenia zabrała ze sobą do grobu? Śmierć tej kobiety należało uznać za zbrodnię gestapo - byli jej winni w taki sam sposób, jak gdyby zastrzelili ją w antwerpskim domu, w kominie.

Tego pierwszego dnia Claire od czasu do czasu głośno wypowiadała imię pilota, by go wybudzić z narkotycznego snu i nakarmić. Theodore. Gdy jednak w końcu mężczyzna otworzył oczy, bulion już niemal całkiem ostygł.

Dłonie miał sztywne i opuchnięte, nie był więc w stanie utrzymać filiżanki. Udało mu się tylko lekko unieść głowę. Claire cierpliwie karmiła go łyżeczką. Nie było to najwygodniejsze rozwiązanie, więc niekiedy zupa ciekła lotnikowi z ust, kapiała na brodę. Claire ocierała mu twarz ściereczką, którą owinęła filiżankę. Pilota męczyło pragnienie. Gdy go nakarmiła, poprosił o wodę, jednak zanim wróciła z wodą, znów leżał bezwładny, z zamkniętymi oczami. Claire spokojnie czekała u jego boku.

Być może zapadła w drzemkę. Nagle zdała sobie sprawę, że w wąskim tunelu prowadzącym do kryjówki zamigotał jakiś cień.

- To mógł być Niemiec - odezwał się ostry głos. W sypialni stał Antoine. Miał na myśli otwartą szafę i odsłonięty tunelik prowadzący do kryjówki. Claire tyłem wypełzła ze strychu.

- On śpi - oznajmiła.

- Więc trzeba go obudzić - oświadczył Antoine. Claire chciała najpierw zaprotestować, ale natychmiast zdała sobie sprawę, że Antoine i tak ją zignoruje.

W pierwszej chwili nie była pewna, czy różowy na twarzy, zwalisty Antoine zdoła się przecisnąć przez wąskie drzwiczki w tylnej ścianie szafy; bała się też, że jeżeli nawet znajdzie się już na górze, to nie zmieści się w kryjówce na strychu obok rannego pilota. Jednak gdy czekała na zewnątrz, po chwili usłyszała głosy - kaleką angielszczyzną Antoine'a, który często

nabrzmiałym niecierpliwością głosem pokrzykiwał do niej, by coś przetłumaczyła, a także ledwo słyszalne mamrotanie Amerykanina, który starał się jak mógł odpowiedzieć na każde pytanie. Dobięły ją słowa w rodzaju „odłamki”, „przewody kontrolne”, *Ludwigshafen*. Antoine z kolei powiedział pilotowi, że człowiek nazwiskiem Warren zmarł z powodu rozległych

obrażeń, co nie zdziwiło Amerykanina, i że lotnicy o nazwiskach Shulman i McNulty zostali złapani przez gestapo - co było dla niego szokiem. Reszta załogi, jak oznajmił Antoine, została odnaleziona przez ludzi z ruchu oporu i znajduje się w bezpiecznych kryjówkach w okolicy. Jeden z

Amerykanów

ma poważnie uszkodzone ramię.

Po pewnym czasie Antoine, zdecydowanie usatysfakcjonowany otrzymanymi informacjami, przeczołgał się z powrotem przez zakamuflowane drzwiczki z tyłu szafy. Gdy wreszcie stanął na nogach, twarz miał purpurową z wysiłku. Claire też się podniosła. W maleńkiej sypialni przy swojej tuszy i wzroście Antoine zdawał się olbrzymem chylącym głowę pod spadzistym sufitem.

- Jak najszybciej musimy przerzucić wszystkich Amerykanów za granicę - oznajmił.

- Nie jestem pewna, czy on...

- Trzymanie ich tutaj jest zbyt ryzykowne. Niemcy wiedzą, że musimy ich gdzieś ukrywać.

Claire odwróciła wzrok.

- Przygotujemy mu paszport. Będziemy potrzebować nowego zdjęcia.

Claire kiwnęła głową. Fotografie, które lotnicy mieli w swoich „zestawach ucieczkowych”, niemal zawsze były całkiem ; bezużyteczne, chociaż oni o tym nie wiedzieli. Gdy robiono im te zdjęcia w bazie, każdy miał na sobie białą koszulę i krawat, by uchodzić za cywilów. Problem w tym, że wszyscy w danej formacji pożyczali sobie ten sam krawat, tak że na podstawie fotografii Niemcy nie tylko byli w stanie stwierdzić, czy dany

lotnik jest Brytyjczykiem czy Amerykaninem, ale nawet określić grupę bombową, z której się wywodził.

Oddech pochylającego się nad nią Antoine'a cuchnął czosnkiem. Przez moment przez głowę Claire przebiegła niedorzeczna myśl, że ten wielki mężczyzna mógłby ją pchnąć na łóżko. Gdzie właściwie jest Henri? Próbowwała zebrać myśli. Znała Antoine'a od dzieciństwa, od czasów szkoły podstawowej, teraz jednak nie umiała już przewidywać z całą pewnością zachowań osób dobrze sobie znanych. To dziwne, jak najzwyklejsi w świecie ludzie, ludzie, których swego czasu się nie zauważało czy wręcz nie lubiło, zmienili się na skutek wojny. Jakby nagle te wszystkie lata od 1940 roku wydobyły na powierzchnię rzeczywiste ludzkie charaktery - ukazały

cechy, których istnienia nigdy wcześniej się nie podejrzewało. Przed wojną Claire nie miała pojęcia, że Antoine jest równie wytrzymały i inteligentny, jednak ponieważ tak bardzo zmienił się w latach okupacji, uznała jego zachowanie za nieprzewidywalne również w innych kwestiach. Pomyślała też w tym momencie, że gdyby nie wojna, nigdy nie odkryłaby, że Henriego - pomimo całego jego zrównoważenia - w sytuacjach kryzysowych ogarnia tak silny fizyczny strach.

Tego dnia Amerykanin przespał całe popołudnie i wieczór. We śnie jego twarz nabrała wyrazu niezwykłego odprężenia. Claire rzadko widywała podobny wyraz na twarzach ludzi, którzy przewinęli się przez jej dom. Aż nazbyt często przerażające wydarzenia, których byli świadkami bądź uczestnikami odbijały się w ich oczach, żłobiły bruzdy na twarzach. Nawet na twarzach młodych dziewcząt i chłopców.

Amerykanin spał tak głęboko, że postanowiła go już nie budzić - nawet po to, by podać mu wodę, o którą prosił. Pomyślała, że być może zbiera siły, zapada w stan hibernacji by przetrwać najgorsze. Wyobraziła sobie niespodziewanie, że prześpi tak całą zimę, niczym ranne zwierzę, i obudzi się

wraz z nadejściem ciepłego powiewu w marcu lub kwietniu.

Tymczasem tej samej nocy, gdy spała obok chrapiącego Henriego, zbudziły ją jakieś straszne odgłosy dochodzące zza

ściany - jakby gorączkowe skrobanie paznokciami człowieka pogrzebanego żywcem, usilnie próbującego wyswobodzić się z trumny. Przerazona, otworzyła drzwi szafy i popęzła w górę w ciemnościach. Nad głową poczuła wymachujące ręce lotnika, chwyciła go za nadgarstki. Jego skóra była szokująco gorąca w dotyku, a gdy zdjęła z niego kołdrę, okazało się, że koszula i prześcieradła są zupełnie przemoczone. Całym ciałem mężczyzny wstrząsały potężne dreszcze, z ust wyrwały mu się gwałtownie angielskie słowa, których pomimo najwyższych wysiłków nie mogła zrozumieć.

Claire zapaliła świecę, przysunęła do twarzy pilota. Miał szeroko otwarte oczy, jednak równie nieprzytomne jak jego mowa. Claire zawołała Henriego, kazała mu przynieść ręczniki zmoczone zimną wodą lub pełne śniegu. Gdy Henri, ubrany tylko w kalesony, przyniósł je na strych, Claire zaczęła okładać nimi twarz, głowę i piersi pilota. On początkowo próbował z nią walczyć, zrzucić z siebie mokrą tkaninę, a robił to tak gwałtownie, że Claire nie mogła uwierzyć, iż ma w sobie jeszcze tyle siły. W końcu Henri mocno przytrzymał Amerykanina. Claire przez cały czas przemawiała do niego cichym głosem, powtarzała uspokajające słowa jak swoistą litanie. Gdy ręczniki rozgrzały się od ciała mężczyzny, Henri przyniósł nową porcję. Amerykanin zaczął błagać o morfinę. Claire włożyła mu między zęby kawałek zwiniętego ręcznika, a on wpił się w niego niczym epileptyk i nie puszczał aż do chwili, gdy Claire znalazła strzykawkę i wkuła się w żyłę na jego rękę.

Potem poiła go drobnymi porcjami wody, a tymczasem Henri ubrał się i pojechał po Dinant. Amerykanin był już teraz spokojniejszy, wciąż jednak wodził wokół nieprzytomnym wzrokiem. Opowiadał coś cały czas o strzelaniu do wiewiórek i o samolotach przytwierdzonych na cienkich sznurkach do sufitu. Tylko przez jeden krótki moment wydawał się świadomy otaczającej go rzeczywistości i wówczas spytał Claire o jej imię.

Dinant znów pojawiła się ze swoją torbą pełną leków. Bez jednego słowa powitania wpełzła na strych i zaczęła rozcinać gipsowy opatrunek, odsłaniając źródło infekcji. Rana była zaogniona i zaropiała. Dinant połała ognisko zapalne alkoholem i zaczęła je oczyszczać. Pilot zajęczał, po

czym stracił przytomność. Dinant dała mu zastrzyk przeciwwężcowy, po czym
założyła inny rodzaj opatrunku, częściowo odkrywający ranę, podtrzy-
mywany w newralgicznych punktach paskami tkaniny. Claire wydawało
się, że minęło wiele dni, od kiedy siedzi przy pilocie, niekiedy popadają-
cym w stan bliski szaleństwu. Infekcja nie ustępowała, ale też nie rozprzestrzeniała się. Dinant chciała
amputować pilotowi nogę, żeby nie dopuścić do gangreny, jednak Claire,
świadoma, że mężczyzna z jedną nogą nigdy nie zdoła przedrzeć się przez
granice, wciąż ją od tego odwodziła. Prosiła o jeszcze jeden dzień, jeszcze
jedną godzinę - zdawało się, że niebezpiecznie przeciąga strunę. W końcu
jednak zwyciężyła.

Wokół niego majaczyło tysiące twarzy, a on w tym tłumie starał się
wypatrzeć brata. Brat miał trzynaście, może czternaście lat i był ubrany w
czerwoną kraciatą flanelową koszulę. Ted bardzo chciał go odnaleźć, bo
miał mu coś wyjątkowo ważnego do powiedzenia. Ale przecież Matta
żadnym cudem nie mogło być wśród tych twarzy, ponieważ Matt także
poszedł na wojnę i poległ na morzu. W oficjalnym telegramie napisano, że
jego statek zatonął na Pacyfiku trafiony przez torpedę. Nie napisano tam
jednak, czy Matt utonął w ciemnościach, czy porozrywane kawałki jego
ciała powoli opadły na dno, czy - w niezwykłym żarze południa - Matt po-
stanowił
puścić kawałek dryfującego drewna i zanurkować w ciemną, cudownej
barwy otchłań oceanu. Woda, ogień, powietrze - pochłaniały ich wszyst-
kie żywioły.

Tak więc Matta nie mogło być w tym tłumie, tym bardziej że gdy Ted
już otworzył oczy, w ogóle nie było wokół niego żadnego tłumy, a nawet
żadnej żywej istoty. Znajdował się w małym pomieszczeniu wydzielonym
ze strychu, ze skośnym dachem jakieś pięć stóp ponad głową. W tym sufi-
cie był mały prostokąt otwierający się na niebo, przez który widział prze-
pływające z jednego końca na drugi rozmaite odcienie szarości. Czy z ko-
loru nieba mógłby wysnuć jakieś wnioski?

Próbował przypomnieć sobie, gdzie się znajduje, i co się z nim stało. Wcześniej otaczali go jacyś ludzie, był tego pewien. Przypomnił sobie potężnie zbudowaną, grubokościstą kobietę o szorstkiej twarzy, w chustce na głowie, która opatrywała jego nogę po zastrzyku morfiny - obwiązywała mu łydkę bandażami nasączonymi gipsem. Wówczas poczuł ostry ból, ale trwało to tylko chwilę i zaraz odpłynął. A wkrótce potem dopadła go gorączka, drżał na całym ciele i błagał o morfinę, błagał, krzycząc zza ściany, i wtedy ta druga kobieta przyszła do niego, położyła mu mokry, zimny ręcznik na czole i chwyciła go za rękę.

I z ręką w jej dłoni ponownie odpłynął.

Ted podciągnął się w górę, najwyżej jak mógł, i odchylił kołdrę. Zobaczył, że ma na sobie męską koszulę, za szeroką na niego, a jednocześnie za krótką, i spodnie dużo za luźne w pasie. Gdy uniósł kołdrę jeszcze wyżej, okazało się, że spodnie też są na niego za krótkie i znad lewej skarpetki wystaje mu duży kawałek ciała. Wzdłuż prawej nogi materiał spodni został rozcięty aż po udo, by zmieściła się gruba warstwa bandażu. Ted miał pewność, że gdyby wstał, spodnie opadłyby mu do kostek.

Przypomnił sobie, że kiedy kobiety zajmowały się jego raną, młodsza z nich miała rozpuszczone włosy opadające na twarz długą falą, gdy przyciskała mu ramiona do podłogi. Męskie palto, które miała wówczas na sobie, rozchyliło się, a pod nim ukazała się koszula nocna - w świetle świecy mie-niąca się odcieniem kości słoniowej. Pamiętał linię obojczyków rysującą się pod skórą. Włosy tej kobiety - gęste, jedwabiste, ciemnoblonde - niczym welon zasłaniały jej twarz i Ted mimo przyprawiającego o delirium bólu chciał ją poprosić, by odsłoniła twarz, ale nie był w stanie wypowiedzieć ani słowa.

Od tej pory widział już jednak jej twarz. Bo to właśnie ona często siedziała u jego boku, tego był pewien, zapamiętał duże, szare oczy i szerokie czoło. Niekiedy się nad nim pochylała, niekiedy patrzyła w dal. Często też czytała, gdy wydawało się jej, że Ted śpi. W jej oczach zawsze malował się jakiś smutek, a twarz miała wyraźnie nieamerykańskie rysy. Było coś szczególnego w układzie jej kości policzkowych, w wykroju warg; usta, jak sądził, zostały uformowane przez głoski jej ojczystego języka,

tak że dolna warga leciutko wysuwała się do przodu. Mówiła swoją własną angielszczyzną, wymawiała dźwięki gardłowo, z silnym obcym akcentem, przywodzącym mu na myśl chleb nasączony winem. Często używała interesujących, rzadko spotykanych w potocznym języku wyrazów: *anguish, supple, garland*. A także swoich własnych słów, nazw, których nie słyszał nigdy wcześniej w życiu: *Awram, Charleroi, Liège*.

Pachniała zaczynem chlebowym i fiołkami. Czuł ten zapach, gdy się nad nim pochylała - miał wówczas wrażenie, że owiewa go para unosząca się znad świeżo pieczonego chleba. Często patrzył na jej podbródek, białe nadgarstki wychylające się z rękawów bluzki i wyobrażał sobie, że jej skóra musi być w dotyku jak skóra dziecka - miękka, ale jędrna. Czuł w sobie

lekkie pulsowanie pożądania. Często przywoływał na pamięć jej obraz w nocnej koszuli, choć wiedział, że budzi to w nim niepokój. Miała włosy obcięte tuż poniżej ramion, w kolorze ciemnoblonde, zmieniającym odcień w zależności od natężenia światła na strychu. Jednak zazwyczaj gdy siedziała przy nim, nosiła je upięte do góry. Ted ze zdumieniem zdał sobie nagle sprawę, że nikt mu nie powiedział, jak ta kobieta ma na imię, a jeżeli nawet powiedział, to on teraz już tego nie pamiętał.

Pomyślał, że to swoista anestezja, naturalna obrona organizmu - zapomnienie i sen - jednak teraz z owej próżni zaczynały się wyłaniać pytania. Co się stało z samolotem i załogą? Ktoś zginął, ktoś inny był umierający, chociaż chyba od ich zestrzelenia minęło wiele dni, więc ten chłopak już zapewne nie żył, Ted był o tym niemal przekonany. Nagle oblała go fala gorąca - jego twarz i szyja pokryły się potem. Przed oczami stanął mu obraz niemieckich pilotów otaczających swoimi maszynami jego samolot. Gdzie był Case, Tripp, McNulty? Czy któryś z nich zdołał uciec? I czy ktoś mu powiedział, że niektórym udało się przedostać przez francuską granicę, czy też tylko mu się to śniło? Gdzie spadły bomby i czy zdołałby dolecieć do Kanału? Wahanie i brak zdecydowania. Musi jakoś zawiadomić o wszystkim bazę. Znajdował się w Belgii. Przypomniał sobie teraz słowo *Belgique* i gorączkowy, natarczywy głos małego chłopca, nabrzmiały łzami; a także to samo słowo wypowiedane po angielsku przez

niski kobiecy głos w taki sposób, jakby już sam ten wyraz stanowił bezpieczny azyl.

Claire wyszła z obory i umyła ręce pod pompą. Musiała wydoić krowy, wyszorować pozostawione od wczoraj metalowe bańki, wlać do nich świeże mleko i pozostawić - jak co dzień - na końcu drogi, by zabrał je stamtąd monsieur Lechat. Lechat rozwoził mleko po domach w miasteczku. Czasami, gdy zabierał pełne bańki, a zostawiał puste z poprzedniego dnia, wkładał też trochę pieniędzy do metalowego pudełka. To właśnie z tych pieniędzy utrzymywali się z Henrim. Od czasu najazdu Niemców i zdziesiątkowania ich stada, w pudełku znajdowały się jedynie bardzo drobne sumy.

Henri wyszedł o świcie. Nie poinformował jej, dokąd idzie, tak że gdyby była przesłuchiwana, rzeczywiście nie umiałaby nic powiedzieć. Gdy Henri poszedł, Claire zabrała się do codziennych obowiązków. Bez względu na sytuację w kraju krowy musiały zostać wydojone i nakarmione. Przede wszystkim jednak należało za wszelką cenę zachować pozory normalno-

ści. Najkrótszą drogą do denuncjacji, Claire wiedziała o tym świetnie, było ściągnięcie na siebie ludzkiej uwagi. Jakiegokolwiek odstępstwo od codziennej rutyny natychmiast budziło podejrzenia.

W odróżnieniu od Henriego Claire nie lubiła pracy na farmie. Gdy była młodą dziewczyną, nie sądziła, że spędzi życie jako żona farmera. Przed wojną wyobrażała sobie, że pójdzie na uniwersytet - będzie studiować w Antwerpii czy Brukseli. Chociaż teraz czasem myślała, że nawet wtedy podświadomie czuła, że małżeństwo z Henrim jest nieuniknione.

W pewnym sensie ten związek został zaaranżowany, gdy była jeszcze w szkole średniej. Obie rodziny świetnie się znały, łączyły je koligacje i powinowactwo. Claire i Henri byli kuzynami, jednak na tyle dalekimi, by Kościół mógł spokojnie przymknąć oko na tę więź. Już w dzieciństwie oboje jakoś przeczuwali, że będą w pewien sposób ze sobą związani, więc lgnęli do siebie w czasie spotkań rodzinnych i rozmaitych fet, by się przyjrzeć sobie nawzajem, wyczuć, co będzie, a co nie będzie możliwe. I

czasami, gdy spotykali się w miasteczku, Henri zabierał ją do kawiarni, a ona czuła się wtedy bardzo ważna, w swoim szkolnym mundurku, usadzona obok mężczyzny, który w wieku lat dwudziestu jeden czy dwóch był już znaną osobą w miasteczku.

W końcu pobrali się, gdy Claire miała lat dziewiętnaście, a Henri dwadzieścia siedem. W Europie właśnie wybuchła wojna, Henri przejął po ojcu farmę i wszyscy w rodzinie uznali, że Claire jest już dostatecznie dorosła, by wstąpić w związek małżeński.

W salonie, na marmurowym kominku, obok krucyfiks i świec stało ich ślubne zdjęcie. Henri, niewiele wyższy od Claire, miał na sobie ciemny garnitur, a włosy nasmarowane brylantyną zaczesane do tyłu. Brali ślub w lecie i na fotografii Henri wyglądał na nieprzyjemnie zgrzanego. Jego garnitur był z grubej wełny - nie miał żadnego innego. Claire brała ślub w brązowej garsonce. Ściągnęła z Paryża wykrój i uszyła strój własnoręcznie, a matka dała jej w prezencie perłowe kolczyki i koronkowy kołnierzyk. Teraz już nikt nie robi koronek, a przynajmniej nikt z jej pokolenia, pomyślała Claire. Jej matka miała siedemdziesiąt trzy lata. Gdy urodziła się Claire - ostatnie z jedenaściorga dzieci - była pięćdziesięciolatką. Na swoim ślubnym zdjęciu Claire ma upięte do góry włosy, kapelusz ozdobiony woalką i dobrany kolorem do garsonki; wydała nań wówczas mnóstwo pieniędzy. W dłoniach trzyma bukiet kremowych róż związanych atłasową wstążką, spływającą w dół i sięgającą rąbka spódnicy. Usta pociągnęła bardzo ciemną szminką - podkreślając przesadnie ich kontur tak, jakby jeszcze nigdy nikt jej nie całował.

Kuchenny piec dawał dużo ciepła - w założeniu miał ogrzewać kamienne ściany domu. Dzięki temu nawet w ponure dni to pomieszczenie emanowało jakimś radosnym nastrojem, tym bardziej że Claire, gdzie tylko mogła, umieszczała przedmioty w żywych barwach: obrus w jaskrawozieloną kratkę; ręcznie kolorowaną fotografię przedstawiającą Ardeny wiosną; niebieski szklany wazonik, teraz pełen suszonych kwiatów. Kręcąc się po swojej przytulnej kuchni przygotowała szybko chleb i kawę dla pilota leżącego na górze. Minęła już pora śniadania, a Claire powoli starała się przyzwyczaić Amerykanina, wciąż zawieszony w ponadczasowej próżni, do stałych pór posiłków.

By otworzyć drzwi szafy, postawiła tacę zjedzeniem na podłodze w sypialni. Nagle zdała sobie sprawę z dobiegającego zza ściany dźwięku, który był dla niej całkiem nowy. Zamarła w pół gestu i zaczęła nasłuchiwać. Była niemal pewna, że to odgłos gwizdania. Nie umiała zidentyfikować melodii, ale nie miała wątpliwości, że to jakaś piosenka, a nie jedynie mieszana bezładnych dźwięków.

Popęzła korytarzykiem kryjącym się za fałszywą ścianą szafy. Gdy tylko znalazła się na górze, Amerykanin obrócił głowę, spojrzał jej prosto w oczy i przestał gwizdać.

- Jak ci na imię? - zapytał.

Claire klęczała bez ruchu, przez moment niezdolna odpowiedzieć na jego pytanie. Mimo że czekała na jego przebudzenie, wstrząsnęła nią klarowność tego pytania. Nagle zdała sobie sprawę, że przez cały czas, gdy przy nim siedziała, do końca nie wierzyła, że Amerykanin dojdzie do siebie. Wyobrażała sobie raczej, że w takim stanie zawieszenia między życiem a śmiercią będzie trwał wiele miesięcy, może nawet lat.

- Claire. Mam na imię Claire - odpowiedziała w końcu.

Pilot z wolna pokiwał głową.

- Tak, teraz sobie przypominam.

- A twoje imię to Theodore Aidan.

Wybuchnął śmiechem.

- Nie. Ted. Po prostu Ted. - Spojrzał na chleb i kawę stojące na tacy, jakby po raz pierwszy w życiu widział coś podobnego.
- Czy to kawa? - zapytał.

- Nie jest prawdziwa.

Claire przesunęła się do miejsca, gdzie zazwyczaj siadała, tuż obok posłania lotnika. Jak zwykle podwinęła pod siebie nogi, jednak tego ranka wydała się sobie niezdarna w tym geście, miała wrażenie, że jej nogi są zbyt długie i wyjątkowo niezgrabne. Wcześniej często siadywała przy pilocie z rozpuszczonymi włosami, nawet jedynie w szlafroku, gdy zachodziła taka potrzeba - nie zastanawiając się w ogóle, co ma na sobie czy jak wygląda. Amerykanin, w swoim stanie zawieszenia, wydawał się bezcielesnym stworem - nie mężczyzną, ale jedynie bezosobową ofiarą, pacjentem i niczym więcej, przedmiotem, który należy otoczyć opieką - był obowiązkiem, wyznaczającym jej rytm dnia. Teraz jednak, gdy powrócił do swej cielesności, gdy mógł mówić, zadawać pytania, wydawał się zupełnie kimś innym.

Po raz pierwszy od chwili, gdy zaczęła się nim opiekować, Claire zdała sobie nagle sprawę, jak bardzo małe jest pomieszczenie na poddaszu, jak trudno w nim usiąść, nie ocierając się o posłanie pilota - czy to kolanem, czy stopą. Starła się jak najbardziej skulić w sobie. Rano ubrała się pośpiesznie, niestarannie upięła włosy, bo nie przypuszczała, że tego dnia będzie się widziała z kimkolwiek z miasteczka. Włożyła szarą, wełnianą spódnicę, sięgającą kolan, ale podjeżdżającą dużo wyżej, gdy siadała na podwiniętych nogach. Miała też na sobie białą bluzkę z długimi rękawami i wywatowanymi ramionami, a na tym wszystkim - fartuch. Na stopy naciągnęła białe skarpetki. Poza tym miała gołe nogi. Zapomniała też

pociągnąć usta szminką. Wymykające się spod spinek luźne pasma włosów zwisały po obu stronach twarzy. Odgarnęła je niecierpliwym gestem.

- To erzac, nie kawa - wyjaśniła. - Nie mamy prawdziwej kawy od wybuchu wojny.

Podawała mu filiżankę. Obserwowała uważnie, jak lotnik bierze ją w dłoń, koncentruje się na jej utrzymaniu, uniesieniu do ust. W końcu pociągnął mały łyk.

- Jest obrzydliwa - oznajmił, uśmiechając się jednak z powodu pomyślnie zakończonej próby poruszania rękami.

Claire podała mu z tacy czarny chleb. Teraz pilot wypróbował swoje palce - jakby obce mu narzędzia, które nie zawsze podporządkowują się jego woli. Kilka palców wciąż miał zabandażowanych, z trzech u prawej ręki dużymi płatami schodziła skóra. Póki kromka była duża, jakoś ją utrzymywał, jednak gdy został mu już niewielki kawałek chleba, nie umiał sobie z nim poradzić. Claire złapała go, gdy spadał na kołdrę, i podsunęła mężczyźnie do ust.

Cierpliwie poczekała, aż przeżuje chleb do końca.

- Czy to twój dom? - zapytał w końcu.

Claire skinęła głową.

- Jaki mamy dziś dzień?

- Szósty stycznia.

- A więc jestem tutaj od...

- Od siedmiu dni.

- I przez ten cały czas...

- Leżałeś tu, na tym łóżku.

Ted usiadł gwałtownie.

- Muszę się skontaktować z moją załogą.

Claire pchnęła go lekko z powrotem na posłanie.

- To już zrobione - oznajmiła. - Twoja załoga wie, gdzie jesteś.

- Niektórzy z nich zginęli w samolocie - powiedział Ted.

Claire ponownie skinęła głową.

- Dwaj. Jeden już nie żył, gdy samolot się rozbił. A jeden był... umarł - poprawiła się szybko - w noc waszej kraksy.

- A co z innymi?

- Dwóch wzięli Niemcy. Sądzą, że najpierw do Breedonk. To więzienie w pobliżu Brukseli. A potem? - Rozłożyła dłonie w bezradnym ge-

ście, dając mu do zrozumienia, że nikt nie może mieć pewności, do jakiego miejsca w Niemczech zostaną wysłani.

Ted szybko odwrócił wzrok.

- Wiesz, jak się nazywali?

- Nazywali się McNulty i Shulman.

Pilot zamknął oczy i pokiwał głową.

- To dotyczy tylko twoich przyjaciół, McNulty'ego i Shulmana. Gdy łapią ich Niemcy, częstują ich papierosami. Ale Amerykanie, twoi przyjaciele, odwracają głowy i ich nie przyjmują.

Pilot uśmiechnął się przelotnie.

- W mojej załodze był także człowiek nazwiskiem Case. Został ranny w ramię. Czy wiesz, co się z nim stało?

- Wszyscy inni ludzie zostali wysłani do Francji i teraz starają się dotrzeć do Hiszpanii. Człowiek, o którym mówisz, ma poważnie złamaną rękę. Podobno martwi się, że nie będzie mógł już grać w baseball. Tak?

Amerykanin znów się uśmiechnął.

- Case we własnej osobie. Tuż przed wojną podpisał kontrakt z drużyną Boston Braves. Musiał się załamać.

- Tak, złamanie było paskudne.

- Nie, miałem na myśli, że bardzo się zmartwił.

- Ach, tak.

- Lecieliśmy nad Niemcy - oznajmił. - By zbombardować zakłady chemiczne - dodał. - Czy już o tym mówiłem?

Claire skinęła głową.

- Tu był człowiek. Z ruchu oporu. Zadawał ci pytania na temat samolotu, by wysłać formację do Anglii.

- Informację - poprawił ją Ted.

Claire uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Informację. Moja angielszczyzna nie jest najlepsza.

- Twoja angielszczyzna jest doskonała. Więc powiedziałem mu o naszej misji?

-Tak.

- A czy wiesz, gdzie zrzuciliśmy bomby? - zapytał szybko. Wychwyciła nutę napięcia w jego głosie. Zawahała się, a on to zauważył. Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie - odparła, nie podnosząc wzroku. Zobaczyła, że ma na fartuchu drobiny mąki i zaczęła nagle je strzepywać.

TLR

- Co rano zawsze zajmuję się pieczeniem - powiedziała.

- Gdzie dokładnie się teraz znajdujemy?

W jego głosie brzmiał jasny, czysty ton, którego nie słyszała, gdy wyrzucał z siebie niespójne, wyrywkowe opowieści. Tembr głosu też był inny, niż zapamiętała - głębszy, o silniejszym rezonansie.

- Nasze miasteczko nazywa się Delahaut - odparła. - Leży w południowej Belgii, trzydzieści kilometrów od granicy francuskiej,

- A w tym domu mieszkają też inni ludzie.

-
Tylko ja i mój mąż. Ma na imię Henri.

Amerikanin zdawał się dezorientowany.

- Widywałem też innych. Od czasu do czasu. Pomagali ci. Zadawali pytania.

Claire nie zamierzała mówić mu o Antoine i Therese Dinant. Nie musiał o nich wiedzieć.

Oczy pilota też wyglądały inaczej. Ich zieleń stała się głębsza, ale i przejrzystsza, wyrazistsza, jakby w jego oczach także zaiskrzyło życie. Nos Amerykanina był szeroki, lekko kwadratowy, podobnie jak szczeka. Miał pociągłą twarz, o wiele dłuższą i węższą niż większość ludzi w południowej Belgii. Claire podobały się jego usta. Dolną wargę miał prostą, górną wygiętą. Często się uśmiechał. Jego cera już nabrała zdrowego koloru. Tylko włosy pilnie wymagały szczotkowania.

- W jak kiepskim stanie jest moja noga? - zapytał w końcu. Przez chwilę zastanawiała się, co powinna mu powiedzieć, ostatecznie jednak zdecydowała, że nie będzie ukrywać prawdy.

- O mało jej nie straciłeś - odparła. - Z powodu infekcji. Jednak kobieta, która tu przychodziła... - Spojrzała na niego z wyczekiwaniem, ciekawą, czy zapamiętał. Ted kiwnął powoli głową.

- Ocaliła ci nogę. Ale masz...

Zawahała się. Miała ochotę powiedzieć „straszna”, ale nie chciała go przerazić.

- ...masz dużą bliznę w okolicach kostki. Tak?

Miała na myśli: Czy zniesiesz tę wiadomość? Nie załamiesz się?

Amerykanin wzruszył ramionami. Claire natomiast odpowiedziała na jego następne pytanie, jeszcze zanim zdążył je zadać.

- A czy uda ci się na niej stać, to się okaże, gdy już wolno ci się będzie podnieść.

Ted skinął głową.

- Ale jeszcze nie teraz. Nie tak prędko. Nie dziś. – Zaczęła szybko kręcić głową.

On najwyraźniej miał ochotę coś powiedzieć, zaprotestować. Claire więc natychmiast sięgnęła do kieszeni spódnicy, wyjęła fotografię i wyciągnęła w jego stronę. Ted nie był w stanie ująć tak cienkiego kawałka papieru w palce, więc Claire wcisnęła mu zdjęcie we wnętrze dłoni. Pilnie przyglądała się twarzy pilota, gdy wbił wzrok w fotografię.

- To twoja przyjaciółka, tak?

Skinął głową.

- Ma na imię Stella - powiedział cicho. - Jest moją narzeczoną. Czy znasz to słowo?

- W naszym języku brzmi ono tak samo.

Ted z powrotem wyciągnął zdjęcie w jej kierunku, ale Claire go powstrzymała.

- Nie, myślę, że powinieneś mieć je blisko siebie – wyjęła fotografię z jego dłoni i położyła na kołdrze. - Napiszę do niej? Lub do twojej matki? Ale... - Claire wzruszyła ramionami. - Teraz nie jest bezpiecznie. Rozumiesz? Być może wkrótce po tym, jak nas opuścisz. Wtedy to zrobię.

Amerykanin patrzył jej prosto w oczy.

- Zanim wylądowaliśmy - zaczął powoli - zanim wylądowaliśmy na brzuchu, musieliśmy zrzucić bomby. Chciałbym wiedzieć, gdzie spadły.

Tym razem Claire z premedytacją nie odwróciła wzroku.

- Nikt mi o tym nie powiedział. Może spadły na Niemcy?

- Nie sądzę. Nie wiem, jakim cudem...

- Zapytam więc, czy ktoś coś wie na ten temat.

- A co z samolotem? - zapytał Ted.

- Maquis zabrali broń i urządzenie, które... - Claire usiłowała znaleźć odpowiedni wyraz - ...odszukuje to miejsce, na które mają spadać bomby...

- Celownik Nordena - rzucił Ted.

- A zaraz potem przyszli Niemcy, otoczyli samolot, zabrali z niego niektóre części i bardzo się złościли, bo brakowało karabinów. Zagonili więc wszystkich mieszkańców miasteczka do kościoła i zaczęli wypytywać o broń, ale nikt nic nie powiedział. A teraz Niemcy pilnują twojego samolotu, ale... - tu Claire parsknęła lekceważąco - ...postawili przy nim jedynie trzech starych ludzi. Myślę więc, że nie ma tam już nic, co mogłoby mieć dla nich jakiegokolwiek znaczenie.

- A kto to ci Maquis?

- Ruch oporu. Żołnierze ruchu oporu.

- A czy ty widziałas samolot?

Potrząsnęła głową:

- Nie, nie widziałam. Cały czas byłam tutaj. Ale opowiadano mi o nim.

Nagły podmuch wiatru szarpnął małą prostokątną szybą - Claire podniosła głowę. Niebo pociemniało, stało się bardziej oleiste; wkrótce nadciągnie nawałnica. Z powodu nacierającej śnieżycy światło w kryjówce nabrało ciemnożółtego pobłysku. Niespodziewanie pomyślała o wierszach Hopkinsa, które zaczęła czytać, zanim pojawił się Amerykanin. Chciała mu

przeczytać te trudne frazy, zapytać, czy mógłby jej wyjaśnić znaczenie takich słów jak *couple-colour* i *brindled*. Być może poprosi go za jakiś czas, gdy pilot nabierze więcej sił.

Rozejrzała się po ciasnym pomieszczeniu. Stare warstwy tapety odłaziły ze ściany. Claire zaczęła się zastanawiać, czy kiedyś, wiele lat temu, ten pokój na strychu nie był przypadkiem częścią sypialni lub jakiegoś innego pokoju.

- Pamiętam też chłopca - powiedział nagle pilot.

-Tak - potwierdziła Claire. - Ten chłopiec ocalił ci życie.

Ted pokiwał głową.

TLR

- Ale nie wolno ci wspominać o nim komukolwiek.

- Tak?

- To dla niego bardzo niebezpieczne.

- Chciałbym mu podziękować.

Claire przechyliła głowę w geście mającym oznaczać „być może kiedyś”.

- Niewykluczone, że uda się to zorganizować - odparła. Ted uporczywie wpatrywał się w jej twarz. Claire spuściła wzrok, nieprzyzwyczajona do tak badawczego spojrzenia. Poczula na szyi gwałtownie rozlewające się ciepło, wędrujące w górę, pulsujące za uszami.

- Ukrywałaś tu też innych - powiedział Ted tonem raczej twierdzącym niż pytającym.

Skinęła głową.

- Kto był przede mną?

Claire podniosła wzrok.

- Pewna kobieta, która uciekła z Antwerpii. Gestapo zabrało jej syna i męża. Gdy znaleźli ją ludzie z ruchu oporu, wysłali do mnie, żeby się wykurowała i mogła przedostać do Francji. Ty też pewnego dnia zostaniesz wysłany do Francji. Ona jednak była bardzo słaba i tutaj umarła.

-Umarła? Tutaj?

- Tak. W tę noc, gdy się zjawileś. Wtedy umarła.

- Ty i twój mąż robicie coś bardzo niebezpiecznego. Claire odwróciła wzrok, po czym uważnie odstawiła filiżankę i talerzyk na tacę.

- Nie tak niebezpiecznego, jak to, co robią inni. Ja jestem bezpieczna, przynajmniej póki ktoś mnie nie zadenuncjuje. Mój mąż zajmuje się o wiele bardziej niebezpiecznymi rzeczami.

- A czym takim?

- Właściwie nie wiem. Niewiele o tym mówi, bo bezpieczniej dla mnie jest wiedzieć jak najmniej. Tak jest bezpieczniej dla wszystkich. Nawet dla ciebie.

- Ile masz lat?

- Dwadzieścia cztery. Dlaczego o to pytasz?
 - Ze zwykłej ciekawości. Czy od dawna jesteś mężatką?
- Claire zaczęła starannie wygładzać spódnice.

TLR

- Od czterech lat.

- Ale nie masz dzieci?

Szybko potrząsnęła głową.

Amerykanin odchylił odrobinę kołdrę i spojrzał znacząco na swoją kołdrę.

- Zauważyłem, że te ubrania...

Uśmiechnęła się.

- To ubrania mojego męża. Na ciebie...

- Zupełnie nie pasują - roześmiał się Ted. - Pewnie nie masz w domu papierosów?

- Mam - odparła i z kieszeni spódnicy wyciągnęła zmiętą paczkę. - Wybacz, ale wypaliłam wszystkie twoje. Te nie są takie dobre.

Włożyła papierosa do ust, zapaliła, po czym wręczyła go Amerykaninowi, delikatnie wciskając pomiędzy jego palec wskazujący a kciuk. Ted zaciągnął się głęboko, wydmuchując dym przez nos. Natychmiast zaniósł się kaszlem.

- Mocny - orzekł.

Dym tytoniowy błyskawicznie wypełnił małe pomieszczenie. Claire miała wielką ochotę również zapalić, wiedziała jednak, że w takiej sytuacji w kryjówce zaraz nie byłoby czym oddychać. Przyglądała się więc jedynie, jak pilot rozkoszuje się papierosem, a chwilę później szybko strząsnęła z kołdry odrobinę popiołu.

- Twoje ręce dobrze się goją - oznajmiła. - Z każdym dniem jest coraz lepiej. Nie musisz się martwić o dłonie.

- Odmrożenie?

Claire zastanowiła się nad tym słowem.

- Twoje ręce przemarzły w lesie. Czy to to samo? .

- Tak.

- Odmrożenie. Zachorowały od mrozu?

- Coś w tym stylu.

Claire uniosła się lekko. Zatknęła opadające kosmyki za uszy.

- Jak na pierwszą twoją rozmowę ta już i tak trwa za długo - oznajmiła. - Teraz powinieneś się przespać. Za godzinę przyniosę ci zupe. Musisz wrócić do sił, bo w bardzo krótkim czasie musimy zrobić wiele rzeczy.

- Jakich rzeczy?

Claire wycofała się w stronę tajemnych drzwi.

- Muszę cię przygotować do przerwania.

TLR

16-18 STYCZNIA 1944

Mrok był jego kamuflażem. Kryjówką - drzewa. Dęby, buki. Pod stopami - liście paproci. Stał na skraju lasu i czekał, aż wyłowi wzrokiem - a ten miał zawsze doskonały - zarys zestrzelonego samolotu. Z pneumatycznych podnośników pod skrzydłami dawno temu uszło powietrze. W zapadających ciemnościach uszkodzony samolot sprawiał wrażenie znękaney, smutnej istoty - był już reliktem. Zza kadłuba unosił się ledwie widoczny dym.

Miał do spełnienia swoją szczególną misję - tajemną, nakazaną wewnętrznym impulsem. Test woli, który musiał przejść, choć teraz bał się, że może mu nie sprostać. Drżał na całym ciele, ale wreszcie w polu widzenia ujrzał dwa punkty. Ruszył naprzód, by się im przyjrzeć lepiej. Dwóch mężczyzn przy ognisku - jeden śpiący, owinięty w koc. Tak, pomyślał, to może się udać. Śpiący strażnik, ciasno zamotany, nie zdoła szybko sięgnąć po broń, nawet jak się obudzi. Drugi strażnik siedział przygarbiony blisko ognia, zarzuciwszy wojskowy płaszcz na głowę i ramiona, by zatrzymać przy ciele możliwie najwięcej ciepła. Wyglądał jak stara kobieta w chuście warząca strawę. Przygarbiony Niemiec poruszył się nieznacznie. Błysk noża, długa kielbasa, ruch ostrza od kielbasy w stronę ust. Oczywiście, jest ich tylko dwóch, pomyślał, trzeci to zmiennik. Samotna wachta z dala od miasteczka. Teraz dostrzegł też rower leżący po przeciwnej stronie pola, ledwie niewyraźny zarys - światło było bardzo nikle. A więc będzie musiał najpierw zdjąć przygarbioną babę.

Z kieszeni palta wyjął nóż i trzymał w pogotowiu. Ręka trzęsła mu się tak bardzo, że przez moment bał się, czy Niemcy nie dojrzą migocących odbłyśków. Cofnął się, by zająć strażników od tyłu. Jak nonszalancko się zachowują, pomyślał - jak leniwie i nierozważnie. Pomyślał też: Teraz. Muszę to zrobić teraz.

Przeszedł przez zmatowiałe pole i dotknął chłodnego metalu kadłuba. Stał w mroku i nasłuchiwał, czy poprzez szaleńcze pulsowanie jego własnej krwi nie dobiegną go żadne inne odgłosy. Chrapanie śpiącego Niemca, nieznaczne szuranie. Aby najpierw dostać siedzącego strażnika, musi okrążyć dziób samolotu.

Od kilku dni nieustannie wyobrażał sobie własne szybkie ruchy, zwinny chwyt za głowę, ostre cięcie, tak by w najważniejszym momencie nie zawahać się, nie spanikować. Teraz od akcji dzieliły go zaledwie sekundy. Był jeden przeciwko dwóm, nie mógł więc zaprzepaścić elementu zaskoczenia.

Minał dziób bombowca. Niewątpliwie poruszał się bezszelestnie, a jednak zgarbiony Niemiec obrócił się nieznacznie, zaczął nasłuchiwać, jakby szóstym zmysłem wyczuł jego obecność. W świetle ognia dostrzegł wilgotną, szarą szczecinę wąsów strażnika, ostrze noża z nadzianym kęsem kiełbasy w otwartych ustach.

Jednym błyskawicznym ruchem dopadł pleców Niemca. Ten odwrócił się i automatycznie opuścił rękę z nożem. Płaszcz zsunął mu się z głowy. Zanim zdążył krzyknąć, Belg zakrył mu usta dłonią - usłyszał charkot dławiącego się człowieka - odciągnął do tyłu głowę i przejechał ostrzem po gołym gardle, tuż nad kołnierzem znieawidzonego munduru. Zawinięty w koce śpiący Niemiec otworzył oczy, w panice usiłował się oswobodzić. Napastnik klęknął szybko obok miotającego się w przerażeniu Niemca i ciał przez gardło w ten sam sposób - od lewej do prawej. Krew trysnęła gorącym łukiem. Belg cofnął się i wstał.

Trząśnięcie na całym ciele, czuł rozluźnienie w kiszkiach. Oszołomiony, wpatrywał się w opadającego na koce Niemca. Nóż i dłoń miał pokryte krwią - czarną w świetle ogniska. Pomyślał, że wrzuci nóż do ognia, by płomienie wytrawiły krew z jego powierzchni, ale nie mógł rozluźnić palców zaciśniętych na trzonku. Przez moment stał sparaliżowany, jak gdyby nóż został przyspawany do jego ręki.

I wówczas usłyszał cichy odgłos tarcia metalu o metal.

Odwrócił się gwałtownie i ujrzał trzeciego Niemca o twarzy otumanionej i wymiętej od snu, z rewolwerem w dłoni, wyłaniającego się z

brzucha kadłuba. Zdjęty paniką, Belg cepowatym zamachem wytrącił broń z ręki starego mężczyzny, odwrócił od niego przerażoną twarz i podciął mu gardło, tak jak poprzednim strażnikom. Niemiec, ze stopami wciąż we wnętrzu kadłuba, poleciał do tyłu i spadł na ziemię.

Ciałem Belga wstrząsały potworne dreszcze. Z ust wyrwał mu się nie-ludzki dźwięk. Rzucił nóż, jakby to był stwór obdarzony własnym życiem, który mógł się nagle zwrócić przeciwko trzymającej go dłoni. Jednak chwilę później wróciła mu przytomność - zrozumiał, że ten nieprzemyślany gest mógłby go drogo kosztować, więc szybko podniósł nóż z ziemi. Nachylił się i otarł starannie zakrwawione ostrze o płaszcz żołnierza, który jeszcze przed chwilą zajadał się kiełbasą. Jak to się stało, że Niemcy wystawili naraz trzech strażników? A może ci żołnierze po prostu stale tu obozowali – założyli przy samolocie żalosną placówkę?

Wcześniej wydawało mu się, że gdy przeprowadzi swój plan, dozna szczególnego uczucia - jeżeli nie triumfu, to przynajmniej satysfakcji. Dokonał tego, co sobie zaplanował. Tymczasem z konsternacją stwierdził, że ogarnia go jedynie drętwość, straszne uczucie pustki w brzuchu, może nawet przerażenie. Odszedł kilka kroków od samolotu i raz jeszcze spoj-rzał na wynik kilkudziesięciosekundowego działania - trzy ciała starych Niem-ców leżące w świetle ogniska. A potem odwrócił się i połykając, ruszył w stronę lasu.

Szaleństwo.

Antoine potrząsnął głową, chwycił się za skronie. Henri jeszcze nigdy nie widział go w takiej furii. Mała latarenka, przykryta kawałkiem szmaty, dookoła której wszyscy się zgromadzili, była jedynym źródłem światła w oborze Chimaya. Każde z nich zostało wyrwane ze snu. Pod paltem Henri wciąż miał piżamę. Emilie nie rozplotła warkocza, który zawsze zaplatała na noc. O tej nieludzkiej godzinie, zerwana nagle, jakby się paliło, Emilie - bez szminki i nieuczesała, miękkie pukle otaczały jej twarz - wyglądała

duzo starzej - na pięćdziesiąt, może nawet pięćdziesiąt pięć lat. W każdym razie Henri nigdy wcześniej nie wyobrażał sobie, by mogła być aż w takim wieku. Na jej twarzy wciąż jaśniały smugi położonego grubą warstwą kremu.

Leon Balie palił papierosa i pokasływał cicho, zasłaniając usta ręką w wełnianej rękawicy. Dussart siedział skulony - drżał z zimna w swoim cienkim płaszczu. Gdzie się podział entuzjazm tego chłopaka? Dussart w pośpiechu zapomniał chwycić beret, a do tego włosy rozdzieliły mu się w miejscu blizny po utraconym uchu. Henri, który nigdy wcześniej nie przyglądał się temu okaleczeniu, teraz z fascynacją wbijał w nie wzrok.

Antoine bardzo się starał nad sobą panować. Mówił w powolny, wyważony sposób - jak zawsze, gdy był wściekły i próbował się uspokoić. Palił nerwowo, szybko wciągając i wydychając dym, jakby w ten sposób mógł także pohamować swój gniew. Nie wypowiedział ani słowa do chwili, aż wszyscy zgromadzili się w oborze. Dopiero wtedy zaczął swoją przemowę. „Szaleństwo”, oświadczył.

Wszyscy czekali. Antoine rzucił papierosa na klepisko i zgasił gwałtownym ruchem obcasa swojego potężnego buciora.

W końcu oznajmił, że ktoś zabił trzech Niemców pilnujących samolotu.

Zapadła długa cisza.

- Jezu Chryste, wyszeptała Emilie.

Leon wyciągnął się na plecach, wbił wzrok w dach obory. Bastien, mały, chudy mężczyzna o ostrych zębach – zawsze przywodzący Henriemu na myśl gryzonia - z niedowierzaniem potrząsał głową. Dussart, młody chłopak, wciąż drżał pod płaszczem i rozcierał dłońmi ramiona, jakby chciał się rozgrzać. Henri pomyślał, że pewnie bierze go choroba.

- Uznają, że to my, zabrzmiał głos Antoine'a.

- Represje nieuniknione. To Leon.

Represje. Henri zgiął się wpół. Nagle poczuł, że skóra pali go żywym ogniem.

Głos Emilie dochodzący jakby z wielkiej odległości.

Represje to katastrofa, oznajmił powoli, dobitnie Antoine, kładąc silny nacisk na każde słowo. Już zaczęły się przeszukiwania domów. Zabrali madame Bossart – wyciągnęli ją prosto z łóżka.

Matko Boska, to niemożliwe. Emilie w niedowierzaniu potrząsała głową. Przecież madame Bossart ma siedemdziesiąt pięć lat. Czego mogą chcieć od tak starej kobiety?

Jej farma leży najbliżej samolotu. Sądzą, że mogła ukrywać mordercę lub któregoś z amerykańskich lotników.

To nedorzeczne.

Ale oni tak postępują. Wiemy o tym nie od dziś.

Czy powtórzy się dramat z Virelles? To Bastien podniósł tę kwestię, ale przecież wszyscy pamiętali tamtą potworność. Wszystkich mężczyzn i chłopców z miasteczka spędzono na rynek i tam rozstrzelano na oczach żon i matek. Nie oszczędzono nawet małych dzieci. SS wówczas ogłosiło swoistą matematyczną zasadę - za każdego zranionego Niemca ginie trzech

Belgów; za każdego zabitego - dziesięciu.

Kiedy zamordowano tych strażników? To Emilie.

Ciała znaleziono dziś wieczorem, gdy przywieziono dla nich kolację.

Zapadła cisza. Płomyk latarni migotał blado.

Antoine zwrócił się do van der Elsta. Adrien, ty i Elise musicie natychmiast zniknąć. Niemcy już od jakiegoś czasu was podejrzewają. Nie możecie wrócić do siebie. Jeszcze tej nocy przekażę was siatce przerzutowej.

Elise wbiła wzrok w przestrzeń. Van der Elst zacisnął szczęki.

Antoine zwrócił się do Henriego.

Henri poczuł ostre ściskanie w dołku. W odróżnieniu od van der Elsta i jego żony, on i Claire nie mogli opuścić Delahaut. Mieli u siebie Amerykanina. Nagle przyszedł mu na myśl Jean Burnay z pobliskiego Florennes. Ukrywał w domu pięciu angielskich lotników. Jeden z nich został złapany gdzieś we Francji i wszystko wyśpiewał. Barneyowi i jego żonie gestapowcy ucięli głowy.

Henri, ty nie jesteś równie zagrożony jak Adrien. Ale jeżeli przyszło im do głowy zabrać kogoś takiego jak madame Bossart, mogą zgarnąć każdego. Emilie pójdzie do was, powie, żeby Claire ukryła się w domu.

Henri skinął głową. Zastanawiał się jednak, czemu Antoine nie wysłał jego samego, by powiadomił Claire. Czuł niezwykłą suchość w ustach. Poczul kolejny skurcz w brzuchu – teraz naprawdę bardzo potrzebował toalety. Pomyślał o Claire, samej w domu, z rannym Amerykaninem. Być może właśnie w tej chwili gestapo wpada do ich domu, wywleka Claire z łóżka.

Czy zawsze są represje? To Dussart zapytał ciekawym głosem. Odezwał się po raz pierwszy tej nocy.

Antoine spojrział na chłopaka. Zawsze są represje, powiedział dobitnie. Co gorsza, do Antoine'a właśnie doszła wiadomość, że Niemcy zajęli się intensywnie rozpracowaniem tras przerzutowych - to obecnie ich priorytetowe zadanie w południowej Belgii.

Trzeba powiadomić Thérèse, wtrąciła Emilie.

I Dolane'a. I Hainaerta. I Ducoeuera.

W Charleroi przynajmniej mają kapsułki. To Leon z głową wspartą na dłoniach.

Ponownie w oborze zapadła cisza. Henri czuł ostre pulsowanie w prawej skroni. Wszyscy wiedzieli, co Leon miał na myśli. W dużych miastach, gdzie Maquis byli o wiele lepiej zorganizowani i dysponowali większymi funduszami, każdy bojownik ruchu oporu otrzymywał kapsułkę z cyjankiem. By zminimalizować niebezpieczeństwo wsypy w czasie tortur. Niewielu ludzi, nawet bardzo bohaterkich, było w stanie znieść długie i wymyślne tortury gestapowców – Henri o nich słyszał - wbijanie igieł w jądra, porażanie prądem, wydłubywanie oczu. Bez cyjanku każdy człowiek mógł łatwo stać się zdrajcą.

Henri wsparł się mocno dłońmi o belę siana, na której siedział, by utrzymać równowagę, gdy za chwilę się podniesie. Czuł w nogach niezwykłą słabość, a nie chciał się zachwiać czy potknąć w obecności innych.

Leon Balie podniósł wzrok. Miał pobielaną z gniewu twarz. Kogo obchodziło jakichś cholernych trzech strażników? Po co ich zabijać? Czy coś zniknęło z samolotu?

Antoine zaczął odpowiadać na jego pytania. W samolocie nie było już nic, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Broń została zabrana dawno temu.

Leon wciąż potrząsał głową, jakby nie mógł przyswoić sobie tej niewiarygodnej informacji. Zaniósł się nagłym, gwałtownym kaszlem, sięgnął do kieszeni po chusteczkę.

Antoine znowu zwrócił się do Henriego, który tymczasem zdołał już stanąć na nogi. Przykro mi, Henri, powiedział Antoine. Teraz jednak nie możemy zabrać z twojego domu Amerykanina. To groziłoby wpadką całej linii Eva.

Henri sztywno kiwnął głową. Gdyby doszło do infiltracji linii Eva, aresztowania - od Delahaut na północ do Charleroi i na południe, do Francji - byłyby masowe. Dziesiątki, może nawet setki ludzi dostałoby się w ręce gestapo i prawdopodobnie zginęło w egzekucjach.

Zostaniesz tu, ze mną, oświadczył Antoine. Mamy mnóstwo pracy.

Sam Antoine, po raz pierwszy od chwili, gdy Henri go poznał, wyglądał na przestraszonego. Pomimo przejmującego chłodu jego przerzedzone jasnoblond włosy kleiły się do czaszki, mokre od potu.

Przez jakiś czas nie będziemy się spotykać. Antoine, mówiąc to, odwrócił się od Henriego i po kolei powiódł po wszystkich wzrokiem. W tym momencie Henri z przerażeniem zdał sobie sprawę z szokującej prawdy - zanim spotkają się znowu, niektórzy z nich będą już martwi.

Antoine pochylił się, zdjął szmatę z latarni, a potem szklany klosz. Zdmuchnął płomień. I wtedy w ciemnościach rozległo się pytanie Leona.

Czy doprawdy komukolwiek mogło przyjść do głowy, że uśmiercenie trzech nieudolnych starych żołnierzy może zmienić bieg wojny?

Tego ranka obudziła się w wyjątkowo dobrym nastroju - najlepszym od wielu dni, a może nawet tygodni. Pierwszy raz od dnia, w którym amerykański bombowiec spadł nieopodal ich wioski, na niebie pokazało się słońce i przeświecało teraz przez firanki, rzucając wymyślne cienie na wypolerowaną podłogę. Claire przewróciła się na łóżku, poczuła, że leży w nim sama, wtedy przypomniała sobie, że gdzieś w środku nocy Antoine przyszedł po Henriego.

Pomyślała o Amerykaninie leżącym za ścianą wyklejoną kwiecistą tapetą - o tym cichym, uśpionym więźniu. A może już nie śpi? Może już siedzi i czeka, aż ona powita go śniadaniem. Tak, słońce na pewno go obudziło, musiało bardzo ostro świecić przez szklany prostokąt w dachu.

Wyśliznęła się z łóżka i cicho zapukała w oddzielającą ich ścianę. On odstukał, po czym powiedział wyjątkowo wyrazistym - mimo że dobiegającym przez ścianę - głosem: *Bonjour, madame.*

Claire potrząsnęła głową. W życiu nie słyszała równie beznadziejnego akcentu.

- *Bonjour, monsieur. Je pars au village pour chercher de l'eau potable à la fontaine. Je reviens tout de suite. Pouvez-vous attendre?*

Uśmiechnęła się i czekała cierpliwie.

- To zupełnie beznadziejne - usłyszała w końcu.

- Idę do miasteczka po pitną wodę z fontanny. Poczekasz? Nie zabierze mi to dużo czasu.

- Jasne. Tylko się pośpiesz. Umieram z głodu.

Claire ubrała się pośpiesznie, napaliła w piecu i wsiadła na rower. W drodze znów zaczęła się zastanawiać, gdzie się podziewa Henri i kiedy zamierza pojawić się w domu. Ostatnio zjawiał się i znikał w najmniej oczekiwanych porach. Teraz już nie wiedziała, na którą przygotować dla

niego posiłki i czy w ogóle wróci na noc do domu. Zimą nie stanowiło to więk-

szego problemu, bo na farmie nie było wiele pracy. Ale gdy nadejdzie wiosna, jego obecność będzie nieodzowna. Claire zastanawiała się, jak sobie poradzą.

Większość zlodowaciałego śniegu pokrywającego rue St. Laurent stopniała lub mieszała się z piachem, tak że teraz jadąc na rowerze do miasteczka, Claire nie była aż tak narażona na wypadek, jak dotychczas. Przed zaczerpnięciem świeżej wody zamierzała wstąpić do sklepiu madame Omloop po mąkę, ziemniaki, cukier i sól. Z każdym dniem Amerykanin odzyskiwał apetyt. A przecież to dopiero połowa miesiąca. Claire nie miała już teraz wątpliwości, że jej kartki nie wystarczą do trzydziestego pierwszego. Madame Rosenthal prawie nic nie jadła, więc nie wpływało to na racje żywnościowe Daussoisów.

Słońce napawało optymizmem i radością. Nieprawdopodobne, jak blask słoneczny może podnieść na duchu, pomyślała Claire. Minęła farmę Marchala i Mailleux. Kamiennie ściany ich domów zdawały się bardzo jasne w świetle wczesnego poranka i chociaż jeszcze wokół niej kręcili się ludzie, można było odnieść wrażenie, że nie ma żadnej wojny, że wkrótce wykiełkują narcyzy i hiacynty, i że mężczyzna na jej strychu jest jedynie odbywającym rekonwalescencję gościem.

Dotarła do pierwszych zabudowań miasteczka i zaczęła zwawo pedałować po rue de Florennes. I właśnie gdzieś w połowie tej wąskiej, nierówno brukowanej uliczki, zdała sobie sprawę, że coś jest nie tak, że czegoś tu brak. Zatrzymała się przed rogiem, tuż przed wjazdem na rue Cerfontaine prowadzącą do rynku. Zaczęła pilnie nasłuchiwać. Tak, to o to chodziło:

w miasteczku panowała niezwykła cisza. Żadnych dźwięków: żadnych odgłosów rozmów, pokrzykiwania dzieci, trzasku otwieranych czy zamykanych drzwi, szcękę rowerów, warkotu samochodów, które pchały się wąskimi uliczkami, zmuszając rowerzystów do wciskania się w ściany pobliskich domów. Żadnych przekleństw rzuconych przez tych rowerzystów.

Coś było bardzo nie w porządku, ale nie wiedziała co. Czyżby wprowadzono nową godzinę policyjną, a ona i Henri - mieszkający na uboczu - nie zostali o tym powiadomieni? Przytulając się do ścian domów, Claire szła ulicą, pchając rower. W przymocowanym do niego koszyku grzechotały dzbanki na wodę. Wyjrzała za róg, ale nie ujrzała żywej duszy. Będzie więc musiała skrócić za kolejny róg, by zobaczyć, co się dzieje na rynku.

Instynkt podpowiadał jej, że natychmiast powinna zawrócić, popedałować do domu najszybciej, jak może. Ale przecież nie miała wody! Na pewno przy fontannie będą się kręcić jacyś ludzie, a także w sklepie Om-loop. Ta Flamandka nigdy nie zamykała sklepiku, nawet w święta kościelne.

Claire poprowadziła rower do następnego rogu i przyciskając się możliwie najbliżej do ściany, spojrzała na rynek. Teraz nie mogła mieć już żadnych wątpliwości. Rynek - ze zwieńczonym wieżą kościołem, ratuszem o szerokich, kamiennych stopniach i starym klasztorem, w którym teraz mieściła się szkoła - był wymarły. Nawet gołębie stłoczone na gzymsach dachu kościoła nie miały ochoty sfrunąć na bruk. I tylko opustoszała fontanna szumiała z cicha.

Lodowaty dreszcz przebiegł Claire po plecach. Niezdarnie manipulując rowerem i koszem, zawróciła i postanowiła natychmiast jechać do domu. Miała już tylko nadzieję, że przemknie przez miasteczko niezauważona. A więc wprowadzono nową godzinę policyjną - nie widziała żadnego innego logicznego uzasadnienia tego, co zobaczyła. Będzie musiała poczekać na farmie na jakieś wieści, poczekać na powrót Henriego. Być może uda się jej dostać żywność dla nich trojga u Marchalów, jeżeli tylko Marie-Louise odważy się otworzyć jej drzwi.

Znalazła się już niemal na rogu rue de Florennes, gdy dobiegł ją cichy dźwięk. Zatrzymała się, stając okrakiem ponad ramą roweru. Bez wątpienia był to odgłos silnika samochodowego - ale skąd dochodził? Claire wsłuchiwała się w ten dźwięk jeszcze przez chwilę, świadoma, że traci cenny czas. Ale dzięki temu nabrała przekonania, że pojazd - samochód

osobowy? ciężarówka? - nadjeżdża z tej strony, w którą zamierzała się udać.

Claire naciągnęła chustkę głęboko na oczy, pochyliła się nisko nad kierownicą roweru i jak mogła najszybciej przejechała rue de Florennes. Doskonale znała boczne uliczki i ścieżki Delahaut. Gdyby udało się jej dotrzeć do rue de Canard, tam mogłaby wjechać w alejkę, którą bez trudu przejeżdżał rower, ale nie mieścił się żaden pojazd czterokołowy. Oczywiście nie wykluczało to zatrzymania przez pieszy patrol, ale przynajmniej nie będzie jej zagrażać żaden samochód. A dla Claire w tej przerażającej ciszy wyludnionego miasteczka dźwięk silnika zwiastował tylko jedno - Niemców.

Nie ośmieliła się oglądać za siebie, nie wiedziała więc, czy nie została dostrzeżona. Pomyślała jednak, że niewątpliwie jedyną osobą jadącą rowerem po ulicy musi obserwować wiele par oczu spoza koronkowych firanek. Czemu nikt jej nie zawołał, nie pozwolił się ukryć w jednej z obszernych kamiennych bram zamkniętych ciężkimi drewnianymi drzwiami?

Gdy dotarła do alejki, ledwo chwyciła oddech. Od dzieciństwa nie pedałowała tak szybko i zawzięcie. Znów stanęła okrakiem nad rowerem i pozwoliła sobie na króciutki odpoczynek, opierając się jednocześnie o mur ceglanego szeregowca. Lodowate powietrze, wdychane głębokimi haustami, boleśnie kłuło płuca.

W tej krótkiej chwili wytchnienia pomyślała, że być może zdołałaby dojechać do sklepiku Omloop taką samą krętą trasą, jaką dotarła do tej bezpiecznej alejki. Teraz już bardziej niż żywności Claire potrzebowała informacji i ewentualnie schronienia. Madame Omloop nie odmówiłaby jej pomocy, nawet gdyby jakimś nieprawdopodobnym zrzędzeniem losu jej sklep był zamknięty.

Bardzo ostrożnie Claire posuwała się naprzód, nasłuchując przed każdym zakrętem, trzymając się wąskich drózek i ścieżki biegnącej za cmentarzem. Raz jeden ujrzała ludzką postać, przemykającą z jednego końca ulicy na drugi, potem niknąc za węglem. Nie był to niemiecki żołnierz.

Pokonanie drogi do sklepu madame Omloop zajęło jej piętnaście minut. Teraz już Claire nie zdziwiła się wcale, gdy ujrzała drzwi na głucho zamknięte. Wędrując bocznymi uliczkami miasteczka, nie widziała ani jednego otwartego sklepu. Rozejrzawszy się nerwowo po ulicy, Claire zapuka-

ła w szybę drzwi. Z oddali znowu dobiegł ją dźwięk silnika samochodu.

Zapukała znowu - szybkimi, krótkimi uderzeniami. I jeszcze raz.

Dostrzegła ukradkowy ruch za przesłoniętą firanką witrażową szybą.

Claire niemal przylgnęła do drzwi.

- Madame Omloop - wyszeptała najgłośniej, jak mogła.
- To ja, Claire Daussois.

Drzwi otwarły się błyskawicznie. Madame Omloop chwyciła gwałtownie Claire za rękaw palta, wciągnęła do środka i natychmiast zamknęła drzwi.

- Czyś ty oszalała? - spytała gniewnie. - Nie wolno ci tu być. Nie widzisz, że sklep zamknięty? Natychmiast wracaj do domu.

- Nie mam pojęcia, o co chodzi.

- Represje! Mój Boże! Nic nie wiesz o represjach? Represje. Teraz Claire zrozumiała znaczenie groźnej ciszy panującej w miasteczku. Natychmiast pomyślała o Henrim.

- Ale dlaczego? - spytała.

- Ktoś zabił strażników przy samolocie. Niemcy zganiają mieszkańców do szkoły. Mają tam już prawie wszystkich mężczyzn i chłopców, a teraz zabierają także kobiety i małe dzieci.

Przerażenie madame Omloop było elektryzujące, zaraźliwe.

- Boże, miej nas w swojej opiece - powiedziała. - Ten samolot ściągnął na nas nieszczęście. Musisz natychmiast wracać do domu, zamknąć się na trzy spusty. Ukryć - jeśli możesz.

- Henri nie wrócił na noc - oznajmiła Claire.

Madame Omloop spojrzała na młodszą kobietę.

- Zaczekaj tu - poprosiła.

Chwilę później wróciła z trzema plasterami boczku i dużym trójkątnym kawałkiem sera zawiniętym w szmatkę.

- Teraz i tak tego nie sprzedam - powiedziała. – Bierz i idź. Szybko.

Claire pamiętała, że ścieżka za cmentarzem od wschodu wpada do lasu. Niekiedy chodziła nią, gdy była jeszcze w szkole - był to skrót prowadzący z miasteczka nad rzekę, ale bardzo okrężna droga do jej domu. Będzie więc musiała cały czas pchać rower i powrót zajmie jej ze dwie godziny. Ale za wszelką cenę musi się trzymać z dala od głównych traktów. Ruszyła więc zwawym krokiem, usilnie starając się zagłuszyć w sobie wzbierający strach. Amerykanin na pewno będzie się zastanawiał, co ją tak długo zatrzymało. Claire modliła się, by po powrocie zastała Henriego w domu, by mogła liczyć na jego pomoc.

Czekał spokojnie przez długi czas. W końcu jednak doszedł do wniosku, że może poradzi sobie samodzielnie. Bardzo chciał spróbować własnych sił.

Przeczołgał się jakoś przez tunelik, a potem przez drzwi szafy. W ten sposób znalazł się na podłodze sypialni i po raz pierwszy rozejrzył się po pokoju. Po chwili odwrócił się, klęknął na zdrowym kolanie i zaczął szukać jakiejś podpory. Uznał, że oparcie łóżka powinno dobrze odegrać tę rolę.

Szybko się zorientował, że jego prawa noga była całkiem bezużyteczna, a do tego miał bardzo niewiele sił w ramionach. Mimo to udało mu się dźwignąć do pozycji pionowej, gdy dodatkowo oparł się o skos sufitu. Ostrożnie spróbował delikatnie obciążyć zranioną nogę, ale natychmiast zalała go gorąca, przyprawiająca o zawrót głowy fala bólu. Podskakując na zdrowej nodze i przytrzymując się rozmaitych mebli, zdołał dotrzeć do schodów, po czym uczepiony poręczy dostał się na parter. Oparł się o ścianę, by odetchnąć. Na krótki moment ogarnęła go słabość. Jak ma myśleć o ucieczce, skoro nawet nie jest w stanie kuśtykać?

Po chwili dotarł do kuchni. Doskonale pamiętał niektóre elementy wyposażenia - piec, drewniany stół, chłód kamiennej podłogi. Nie miał też wątpliwości, że gdzieś tu było radio.

Leżąc na górze, słyszał jego dźwięki. Czy powinien spróbować je znaleźć? Czy ma także nadajnik? Na stole leżał bochenek chleba. Umierał z głodu. Co zatrzymuje ją tak długo w miasteczku?

Poszedł do ubikacji, po czym znów wrócił do kuchni, gdzie umył się cały z wielką przyjemnością, pomimo panującego chłodu. Chętnie posiedziałyby tu dłużej, zdawał sobie jednak sprawę, że to niebezpieczne. Ukroił więc sobie tylko kromkę chleba, po czym wrócił do kryjówki na strychu.

Teraz cała siła i energia, którą zgromadził w sobie, leżąc w maleńkim pomieszczeniu, jakby go opuściły. Dryfował pomiędzy jawą a snem, zdziwiony za każdym razem, gdy się budził, że wciąż widzi słońce wpadające przez okienko w dachu. Drzemiąc, opierał głowę o ścianę, niemal gąbczastą od niezliczonych warstw kryjącej ją tapety. Zastanawia! się, jak stary jest ten dom. Czy ma sto lat? A może dwieście? Wciąż nie mógł przywyknąć do myśli, że w Europie - w angielskiej wiosce, gdzie stacjonowała jego formacja, a teraz w tym maleńkim belgijskim miasteczku - jest wiele domów i kościołów o kilka wieków starszych niż najstarsze budynki w Ameryce. W tym momencie przed oczami stanęło mu Mount Gilead - jego rodzinne miasto w Ohio - i farma, na której mieszkał. Ile ten ich dom może mieć lat? Sto? W najlepszym wypadku. W porównaniu z nim ten budynek - dom Daussoisów - jest starożytny. Warstwy pokrywającej strych tapety i farby mogłyby opowiedzieć niejedną historię. Czyją historię? Jaką historię? Kto przed nim ukrywał się w tym maleńkim pomieszczeniu?

Claire zostawiła mu książkę. Niekiedy ją otwierał i czytał kilka wierszów angielskiej poezji. Prosiła, by wyjaśnił jej niektóre słowa czy frazy, i była bardzo zdziwiona, że on nie zna ich znaczenia, nawet w kontekście wiersza. Nie wiedział, co oznaczały wyrazy *rose-moles* czy *stipple*. Próbował jej wyjaśnić, że wojna przerwała jego edukację, jednak osobiście wątpił, czy nawet gdyby ukończył college, poznałby słowa w rodzaju *rose-moles* i *stipple*. Interesowały go nauki ścisłe. W całej studenckiej karierze miał zajęcia z angielskiego tylko na pierwszym roku college'u - podstawowy kurs z profesorem o skórze suchej jak pustyński pył i oddechu wydzielającym zapach whisky.

Teraz Tedowi wydawało się, że studiował w college'u w jakiejś nie-skończonej odległej przeszłości - może nawet w innym życiu, innym wieku czy w odległych czasach niewinnego dzieciństwa.

Obraz Stelli też blakł w jego pamięci. Nie mógł sobie przypomnieć dźwięku jej głosu, jej zapachu, a wygląd dziewczyny powoli sprowadził się do pojedynczej pozy uwiecznionej na pogiętej fotografii, którą Claire wcisnęła mu w zagłębienie dłoni. Sięgnął po zdjęcie leżące na podłodze, obok posłania. Chwytność jego palców poprawiała się z dnia na dzień; teraz mógł już wsunąć je pod fotografię, unieść pomięty kartonik.

Stella siedziała przy stoliku w restauracji. Bez względu na to, jak często patrzył na to zdjęcie, zawsze uderzał go na nim jej uśmiech. Tędy pomyślał, że od chwili, gdy opuścił Amerykę i zaczął walczyć, nie spotkał nikogo - ani jednej osoby, która uśmiechałaby się równie otwarcie i szczerze. Na fotografii Stella opierała się łokciami o stół, a przed nią stało kilka pustych butelek po piwie - jego i jej. Miała na sobie białą sukienkę zachodzącą pod samą szyję, z krótkimi rękawami, zdającymi się odfruwać z ramion. Jej włosy były błyszczące, upięte wysoko, na czubku głowy i spływające luźnymi, kręconymi puklami po obu stronach twarzy. Ted wpatrywał się w fotografię i poczuł nagły przyptyw rozpacz. Stella nie ma pojęcia, gdzie się znajduje; a nawet czy żyje, czy zginął. Nikt z jego bliskich tego nie wiedział. Jego matka już zapewne dostała telegram ze słowami „zaginiony w akcji” i teraz zastanawia się, przepełniona bólem, czy jej syn żyje i znajduje się w obozie jenieckim gdzieś na terenie Niemiec, czy może został rozerwany na strzępy pociskiem przeciwlotniczym. Telegram przyniósł jej Bill Simpson, listonosz, który na pewno zbliżał się do ich domu powolnym, zdecydowanym krokiem, tak że każdy przyglądający mu się z okna wiedział już, co niesie. Gdy rozpoczęła się wojna, Ted kilka razy obserwował Billa w czasie jego powolnej wędrówki do drzwi dotkniętego tragedią domu. Zaciekawiony, Ted raz nawet zwolnił kroku, by zobaczyć, jaka będzie reakcja osoby otwierającej drzwi. Najpierw ujrzał dłoń unoszącą się do ust, a potem usłyszał straszny płacz, którego ta dłoń nie była w stanie zdusić.

Teraz Ted nie zwalniałby kroku, za wszelką cenę starałby się oszczędzić sobie podobnej sceny. Widział już tak wiele rozpaczy, że wystarczyłoby mu na dziesięć żywotów. Teraz wiedział też, co tak naprawdę kryje się za treścią takich telegramów - wydarzenia, których adresaci nie mogli sobie wyobrazić, bo nie istniały odpowiednie słowa, żadne uprzednie doświadczenia, które mogłyby uświadomić normalnym ludziom całą grozę wojny. Strzelec, wciąż żywy, wypadający z luku na dziobie, młócający rękami powietrze, lecący szybko ku ziemi; czy też inny strzelec, jego własny, szukający tłustymi od smaru palcami fragmentów ciała, które już nie istniały.

Ted odłożył zdjęcie z wizerunkiem Stelli w dół, oparł głowę o ścianę i zamknął oczy. Gdy człowiek widział podobne obrazy, jak może wymazać je z pamięci? Pomyślał o ludziach, którzy wracali z misji pozornie niewzruszeni - zawadiacki krok, rzucane przez ramię dowcipy, pełna gotowość do wszelkich, choćby najdrobniejszych uciech dostępnych w bazie czy w pobliskim miasteczku. W jakiś sposób tym ludziom udawało się osiągnąć to, czego nie udawało się osiągnąć Tedowi: widzieli te same obrazy, a jednak umieli się od nich odciąć. Ale może oni też bywali nawiedzani w snach przez nieoczekiwanych gości?

Ted czuł już teraz dojmujący głód. Jak długo nie ma Claire? Bez zegarka nie mógł dokładnie określić upływającego czasu. Światło w pokoiku zmieniło natężenie - słońce rzucało na ścianę ostrzejszy blask. Ted ocenił, że jego kryjówka ma mniej więcej siedem stóp szerokości i osiem długości. On ledwie mógł się tam położyć. Gdy przychodziła Claire, musiała podwijać pod siebie swoje długie nogi, by siedzieć, nie dotykając go. Przypomniawszy sobie, jak przyszła tego dnia, gdy po raz pierwszy był w pełni świadomy otaczającego go świata - pamiętał jej zdumienie, jej nieśmiałość. Bardzo szczupłe, wtedy gołe nogi podwinęła pod siebie takim ruchem, jakby za wszelką cenę chciała je ukryć. Na stopach miała krótkie, białe skarpetki i jakieś dziwaczne, męskie chodaki, w których od tamtej pory już jej nie widział. Pamiętał też, że pasma włosów powymykały się jej spod spinek, a fartuch i szyja były lekko obsypane mąką. Strząsnęła mąkę z fartucha, ale nie wiedziała o białej smudze tuż pod podbródkiem -

smudze, która nagle wydała się Tedowi hipnotyzująco urokliwa: czuł się tak, jakby przyłapał ją, niczego nieświadomą, na jakimś bardzo intymnym akcie. Tamtego dnia było w niej coś nadzwyczaj naturalnego, a gdy mówiła - nerwowo, często się zacinając - nie mógł oderwać oczu od smugi białego pyłu.

Jej wizyty wyznaczały rytm jego dni. Ted miał wrażenie, choć nie całkowitą pewność - że teraz Claire zjawia się rzadziej niż wtedy, gdy jeszcze nie odzyskał w pełni przytomności. Obecnie przychodziła jedynie w konkretnych celach - by przynieść posiłek, lekarstwo lub, niekiedy, by nauczyć go kilku prostych francuskich wyrażen, których przyswajanie szło mu bardzo opornie. Już nie siedziała przy nim godzinami, robiąc na drutach czy czytając. Bardzo chciał, żeby znów tak było. Ted nie potrafił tego sprecyzować, ale miał przekonanie, że gdy leżał w malignie, wciąż trwała u jego boku, a niekiedy trzymała go za rękę. I wówczas czuł się bardzo bezpiecznie.

Była zupełnie różna od wszystkich kobiet, jakie poznał w życiu. I nie chodziło tylko o jej akcent, nieznany mu fason ubrań czy niezwykle wykrój ust - górną wargę wyciągającą się ku górze, a dolną zawsze jakby lekko nabrzmiałą. Claire cechowało jakieś szczególne opanowanie. Co jednak dziwne, rzadko się uśmiechała i nigdy się nie śmiała - on w każdym razie z pewnością nigdy nie słyszał jej śmiechu.

Parę razy z posiłkiem przyszedł do niego jej mąż, Henri. Te wizyty były, z powodu całkowitej niemożności wzajemnego porozumienia, krępujące i niekiedy komiczne. Henri wpełzał do kryjówki na czworakach, popychając przed sobą tacę, usiłował w jakiś sposób powitać lotnika, co w końcu sprowadzało się do wymownego wskazywania na jedzenie; Ted czuł się zażenowany, mało męski, i ostatecznie odwzajemniał się także serią przesadnego kiwania głową i przyjaznych uśmiechów mających wyrażać wdzięczność. Henri, w ocenie Teda, miał jakieś trzydzieści parę lat. Często śmierdział piwem i tanim tytoniem. I chociaż nigdy nie był niemily, Ted bardzo wyraźnie wyczuwał, że Henriemu nie podoba się jego obecność na strychu, że nie chce pilota w swoim domu, że uważa go za

ciężar, którego jak najchętniej by się pozbył. Na szczęście wizyty Henriego trwały bardzo krótko.

Ted szybko nauczył się odróżniać odgłos kroków Claire od kroków Henriego, gdy poruszali się po sypialni leżącej za ścianą jego kryjówki. Wiedział więc, że było wiele takich nocy, gdy Henri w ogóle nie pojawiał się w sypialni. Nigdy nie słyszał też, by Henri i Claire się kochali, chociaż niekiedy wyobrażał sobie podobną scenę, jak często czynią to ludzie, którzy poznają jakąś małżeńską parę. Z drugiej strony czuł ulgę, że nie musi być świadkiem tak intymnych odgłosów. Może powstrzymywała ich od tego jego obecność tuż za ścianą? A może po prostu w ich związku nie było seksu. Ted słyszał, że w Europie aranżowane małżeństwa czy małżeństwa z rozsądku wciąż zdarzają się dość często. A może Henri ma kochankę? To by wyjaśniało, czemu tak często spędza noce z dala od żony.

Właściwie zupełnie nie powinno go to obchodzić. Podobne rojenia sprawiały, że czuł się trochę jak lubieżnik. To, co robili lub czego nie robili jego gospodarze, było ich, i tylko ich prywatną sprawą. Ted uznał, że to brak zajęcia - długie, puste godziny - popychają jego myśli w tak bezproduktywnym kierunku. Jak najszybciej musi się stąd wydostać, odzyskać siły, wyruszyć do Francji i przedostać jakoś do Anglii. Niektórym się to udawało, Ted znał podobne przypadki.

Nagle usłyszał odgłos otwieranych i zamykanych na dole drzwi. Dwa stłumione dźwięki, jednak całkiem wyraźne. Od razu poczuł się lepiej. Nasłuchiwał niecierpliwie kroków na schodach, skrzypu drzwi szafy, szmeru przesuwanych wieszaków.

Biegła po schodach. Usłyszał stuk stawianej na podłogę tacy, wy-czekiwane skrzypienie. Gdy otworzyła fałszywe drzwi, ujrzał przelotnie palto pospiesznie rzucone na podłogę, a na nim zwój chustki. Kiedy weszła do kryjówki, miała mocno zaczerwienioną twarz - nie tylko od chłodu - i rozsypane w nieładzie włosy.

- Muszę przeprosić - rzuciła szybko. - Madame Omloop jest dziś chora, musiałam więc poszukać wędliny i sera w innych miejscach. A gdy wracałam do domu, złapałam oponę.

- Gumę.

-Tak.

Wiedział, że kłamie. Cały czas unikała jego wzroku. Ręce trzęsły jej się tak bardzo, że z trudem się powstrzymywał, by ich nie chwycić i nie przytrzymać. Zamiast tego wziął z tacy filiżankę z mlekiem i uniósł do ust, cały czas jednak nie spuszczał z niej oczu. W końcu odstawił filiżankę.

- O co chodzi? - zapytał.

Claire usilnie starała się nadać swojej twarzy opanowany wyraz. Pokręciła głową.

- Nie rozumiem cię - odparła. Strzepnęła ze spódnicy nieistniejący paproch. Miała na sobie bawełnianą bluzkę z niewielkim dekoltem obszytym koronką. Rumieńce, bez względu na to, co je wywołało, wyjątkowo ożywiały jej rysy.

- Stało się coś złego. Mój nos nie kłamie.

Popatrzyła na niego zdezorientowana.

-Nos?

-Czuję to.

Znowu potrząsnęła głową.

- Spóźniłam się, bo trudno obchodzić się z rowerem, który nie chce robić tego, co powinien. To ciężka praca, szczególnie w taką pogodę, tak? Musiałam prawie całą drogę prowadzić rower.

Sięgnął po jej dłoń złożoną na kolanie. Cofnęła ją gwałtownie, zanim zdołał jej dotknąć, i położyła na piersi.

- Drżysz. Musiało cię spotkać coś złego. Powiedz mi, co się stało, bo i mnie zaczyna ogarniać przerażenie.

Milczała bardzo długo - Ted w końcu pomyślał, że będzie musiał powtórzyć pytanie. Wciąż jednak się wahał, bo nie chciał jej spłoszyć. Była bardzo spięta, w każdej chwili gotowa do ucieczki, niczym małe zwierzątko, które kiedyś łapał i trzymał w rękach. Jej dłoń wciąż spoczywała na bluzce i nagle, nerwowo, nieświadoma, co robi, Claire zaczęła odpinać perłowy guzik, po czym sięgnęła po następny - aż nagle Ted zaczął się za-

stanawiać, czy niechcący za chwilę całkiem nie rozepnie bluzki. Przez cały ten czas ani razu nie podniosła na niego wzroku.

- Musisz...

-Przepraszam...

Odezwali się jednocześnie. Wreszcie Claire spojrzała rnu w oczy.

- Sytuacja w miasteczku jest bardzo poważna - oświadczyła w końcu.

I w tym momencie przestała bawić się guzikami, położyła obie dłonie na kolanach, teraz już dużo spokojniejsza, gdy zdecydowała się wszystko mu powiedzieć.

- Przez cały czas od chwili, gdy spadł twój samolot, Niemcy otaczali miasteczko, a trzech żołnierzy pilnowało samolotu. To byli starzy ludzie, zupełnie nieszkodliwi. Myślę, że pilnowanie tego samolotu to nie było ważne zadanie, tak? Już o tym rozmawialiśmy.

Ted skinął głową.

- Ale ktoś zabił tych starych ludzi. Zabójca. I Niemcy bardzo się rozgniewali. Za takie rzeczy karzą mieszkańców Belgii - i wszystkich innych krajów - represjami.

- Represjami - powtórzył Ted.

- Do miasteczka przyjechało gestapo. Zabierają ludzi z ich domów, nawet starców i dzieci, i przetrzymują w szkole. Wszyscy są przekonani, że za tych trzech żołnierzy zabiją określoną liczbę Belgów, by nas ukarać. I wywołać strach. By wszyscy się bali.

Ted wolno pokiwał głową.

- Na ulicach miasteczka nie ma ani jednego człowieka. Ludzie kryją się w swoich domach, albo zostali już z nich zabrani. A wokół panuje taka cisza, jakiej jeszcze nigdy nie słyszałam w życiu.

Ted czekał cierpliwie. Claire podniosła dłoń do skroni, przeczesła palcami włosy, założyła je za ucho.

- Gdzie jest Henri? - zapytał w końcu.

Spuściła głowę.

- Henri nie pojawił się od zeszłej nocy. Nad ranem przysłali po niego Maquis, ale nie wiem, dokąd poszedł.

Ted zamknął oczy i oparł głowę o ścianę. Jedna chwila wahania, tylko jedna chwila wahania, a tak wiele pociągnęła za sobą śmierci.

Dwóch zabitych z jego załogi. A kto znalazł się w obszarze zrzutu bomb? Potem trzech starych Niemców, a teraz? Ilu ludzi będzie musiało zginąć? Powiedziała „określona liczba”. Zakładników.

- Chcę wiedzieć, gdzie spadły bomby - zażądał. Instynktownie wiedział, że teraz Claire go już nie okłamie.

Na moment odwróciła wzrok, ale zaraz spojrzała mu w oczy.

- Spadły w Gilles, czterdzieści kilometrów na wschód stąd.

-W Belgii?

-Tak.

- Czy Gilles to miasteczko?

-Tak.

- Czy spadły na to miasteczko?

Claire milczała.

- A gdybyś... - zaczął pełnym namysłu głosem - ...a gdybyś zabrała mnie do tej szkoły i zaproponowała, że wymienisz mnie na zakładników? To mogłoby się udać. Niemcom zależy na pilotach. To powszechnie znany fakt.

Claire zastanawiała się długo, jakby szukała odpowiednich słów.

- W tej wojnie - zaczęła z wolna - nie ma żadnych targów. Zabiorą ciebie i wszystkich pozostałych. Ty nie znasz ich tak dobrze, jak ja. Przyszli by też po mnie i po Henriego.

- Nie. - Nagle wpadł na pewien plan. - Jeżeli zostawisz mnie gdzieś w miasteczku. Gdzieś na widocznym miejscu, tak że sami mnie znajdą i zabiorą do szkoły, ja ich przekonam.

- Będą cię torturować.

- Nie sądzę. Chcą wyłączyć oficerów z walki, ale nie chcą ich zabijać. Wyślą mnie do jakiegoś obozu jenieckiego w Niemczech. Wierz mi. Oficerów traktują inaczej.

- Będą cię torturować - powtórzyła z przekonaniem. - A ty nie zdołasz znieść tych tortur i będziesz musiał im powiedzieć o mnie i o Henrim, a

jeżeli my dostaniemy się w ich ręce, prawdopodobnie wydamy następnych...

Ted nagle podniósł dłoń, by zamilkła, przyłożył palec do ust. Usłyszał dochodzące z dołu kroki, cichy, nawołujący głos.

-Ktoś tu jest - powiedział samymi ustami, otwierając je szeroko przy każdej zgłosce, by na pewno go zrozumiała.

Teraz gdy i Claire zaczęła nasłuchiwać, dobiegł ją zduszony głos. Był to głos męczyzny, ale nie Henriego.

Natychmiast podpełzła do otwartych drzwi szafy. Usłyszała kroki na schodach, potem niepewny głos.

- Claire?

Claire, Ted słyszał to wyraźnie, przeszła na drugą stronę pokoju, zapewne po to, by nie ściągać uwagi gościa na szafę.

- Bastien! - rzuciła zdziwionym głosem.

Teda dobiegły szybkie francuskie słowa wyrzucane przez męczyznę. Po chwili Claire mu przerwała i sama zaczęła coś mówić. Znowu wymiana zdań, jakby Bastien wydawał jej jakieś instrukcje. Ted usłyszał otwieranie i zamykanie szuflad. Potem znowu słowa, które brzmiały tak, jakby Claire zadawała męczyźnie serię pytań, a on udzielał jej określonych odpowiedzi. A zaraz potem rozległy się kroki Bastiena wychodzącego z sypialni i zbiegającego po drewnianych schodach.

Zaskrzypiały sprężyny łóżka. Claire albo usiadła, albo się położyła. Ted wyteżał słuch, by wychwycić jakiś odgłos – jej poruszenia, jej oddechu. Bardzo chciał ją zawołać, czuł jednak, że przyjdzie do niego, gdy sama uzna, że jest na to gotowa. Przez dziesięć minut, może więcej, zdawała się tkwić w bezruchu. Aż w końcu usłyszał ponownie skrzyp sprężyn i kroki zmierzające w jego stronę.

Otworzyła drzwi szafy, ale nie tajemne drzwiczki w jej tylnej ścianie. Ted więc jej nie widział, chociaż słyszał bardzo wyraźnie. Natychmiast zauważył, że mówi niższym, bardziej zduszonym głosem. A więc płakała.

- To był Bastien - oznajmiła i odchrząknęła.

- Słyszałem jego głos.

- Powiedział mi, że szła do mnie pewna kobieta, by uprzedzić mnie o represjach, ale została złapana przez Niemców.

- Przykro mi.

- A Henn nie wróci do domu przez kilka dni.

- Claire, ja...

- Musimy bardzo uważać, by nikt nas nie znalazł – przerwała mu ostrym tonem, jakby natychmiast chciała uciąć wszelkie dyskusje dotyczące wymiany Teda na zakładników. - Nie wolno ci stąd wychodzić. Bo... - Wydawało się, że szuka odpowiedniego słowa. - Bo nici przerzutowe nie są teraz zagrożone.

Uśmiechnął się, słysząc to dziwaczne wyrażenie, pomimo powagi jego znaczenia. Bardzo chciał jej powiedzieć, że się nią zaopiekuje, ale przecież oboje wiedzieli, że jest całkowicie bezużyteczny, gorzej niż bezużyteczny-jest ciężarem. Gdyby nie on, Claire mogłaby uciec z miasteczka. Wydawało mu się ohydną ironią losu, że z jego powodu jej życie zostało zagrożone. Czyż nie powinien ochraniać tej kobiety, a nie narażać na najgorsze?

- Co było w szufladach? - zapytał.

- Ubrania Henriego. Bastien zabrał je dla niego.

- Co teraz zrobimy? - zapytał.

Nie odpowiadała mu przez długi czas.

- Będziemy czekać - oznajmiła w końcu.

Monsieur Dauvin powiedział im kiedyś, że to ma specjalną nazwę - *balustrade* - ale Jean zawsze myślał o tym jako o zadaszanej alejce z kamiennymi kolumnami i pokrytymi mozaiką łukami, z której otwierał się widok na rozciągający się poniżej rynek. Przypominała mu ryciny, jakie widział na plebanii - ryciny podcieni w otoczonych wysokim murem ogrodach włoskich klasztorów, gdzie zakapturzeni mnisi oddawali się w milczeniu spacerom i medytacji. Jednak ta zadaszona alejka, alejka Jeana, znajdowała się na dachu szkoły będącej kiedyś klasztorem, i żeby się na nią dostać, trzeba było przejść przez opustoszałe trzecie piętro. Uczniom zabraniano chodzić na strych - jak określano trzecie piętro - ponieważ jego podłoga i strop były w tak opłakanym stanie, że nauczyciele uznali je

za zagrożenie dla zdrowia i życia dzieci. Zadaszony pasaż, otwarty na rynek, uważano zresztą za jeszcze bardziej niebezpieczny niż strych. Kamienne bloki kolumn i łuków obluzowały się przez te wszystkie wieki. Samo oparcie się o poręcz balustrady, sięgającej Jeanowi do połowy piersi, groziło zawaleniem całej konstrukcji. Kilka lat temu w miasteczku rozgorzała dyskusja, czy należy wyremontować trzecie piętro, czy też w ogóle zburzyć szkołę, ale wkrótce wybuchła wojna i wówczas wszyscy robotnicy z miasteczka mieli już inne problemy na głowie.

Jean uważał *balustradę* za swoją własność.

Przychodził tu często. Odsuwał deski zastawiające drzwi takie mnóstwo razy, że teraz jego palce ślizgały się po nich bez najmniejszego wysiłku i mógłby to robić z zamkniętymi oczami. Znał drogę przez strych równie dobrze jak saper zaminowane przez siebie pole - wiedział, które deski podłogi mogłyby się załamać pod jego ciężarem i gdzie kawały tynku zwisają niebezpiecznie z sufitu. Przychodził tu tak często, jak tylko mógł. Był to jego azyl w obrębie szkoły. Tak jak las był nim poza szkołą.

Każda wyprawa tutaj wiązała się z ryzykiem. W najlepszym wypadku chłosty wymierzonej przez monsieur Darnina, gdyby Jean został przyłapany; w najgorszym – poważnego urazu czy jeszcze czegoś gorszego na skutek upadku, gdyby nieuważnie stąpnął na nieodpowiednią deskę. Jednak dzisiejsza wyprawa była ze wszystkich dotychczasowych najbardziej niebezpieczna.

Bo budynek starego klasztoru nie był już szkołą. Tak jak kościół nie był już kościołem. Siostry w białych szerokoskrzydłych kornetach schroniły się w pobliskim klasztorze, by się tam żarliwie modlić; ojciec Guillaume nie pokazał się od chwili, gdy gestapo wkroczyło do miasteczka. Izby klasowe stały się teraz pokojami przesłuchań; szkoła została przekształcona w więzienie. Przez cały dzień ze swojej podniebnej kryjówki Jean obserwował wprowadzanych i wyprowadzanych ludzi, słyszał, nawet pomimo oddzielających go trzech kondygnacji, zduszone krzyki, po których następowała

gwałtownie niezwykła cisza, jakby cisza była jedyną gwarancją przetrwania.

Jean znał to uczucie od najwcześniejszych lat.

Tego ranka, gdy jak zwykle jechał do szkoły na rowerze, Marcel, którego dom zawsze mijał po drodze, wychylił się z okna i zaczął szeptać gorączkowo. Marcel - wciąż nieuczesany i w piżamie - powiedział mu o zabiciu strażników i o represjach, i o tym, że szkołę zamknięto aż do odwołania. „Wracaj do domu”, wyszeptał z naciskiem. Dodał też, że Niemcy podobno sprowadzili posiłki z Florennes. Gestapowcy rozleźli się po całym miasteczku, niczym karaluchy. Jean pomyślał, że musi to być określenie ojca Marcela, bo Marcel nie był raczej obdarzony wyobraźnią.

Jean pożegnał Marcela i ruszył bezpieczną, ciemną alejką. Był teraz o wiele bliżej szkoły niż własnego domu, więc powrót na farmę ojca mógł się okazać o wiele bardziej niebezpieczny niż pozostanie w miasteczku. Pomyślał, że mógłby się schronić u Marcela: madame Delizee nie odmówiłaby mu gościny. Jednak na myśl o tkwieniu przez cały dzień (a może i noc?) w zagraconym, klaustrofobicznym trzypokojowym mieszkaniu Marcela, z wiecznie zapchaną ubikacją, szybko kazała mu zrezygnować z tego pomysłu.

Ukrył rower za dwoma pojemnikami na śmieci wciśniętymi w załom między dwoma szeregowymi domami i odważył się wyrzucić na rynek, zamknięty od północy starym budynkiem szkoły. Zasłony w oknach klas były zaciągnięte. Dwóch uzbrojonych żołnierzy pełniło wartę przy drzwiach w miejscu, gdzie zazwyczaj stał monsieur Dauvin i udzielał reprimendy spóźnialskim.

Wszyscy uczniowie znali wejście do piwnicy. Tam zazwyczaj starsi chłopcy palili papierosy, a młodsi grali w karty na centymy. Z piwnicy na górę biegła dodatkowa klatka schodowa - niemiłosiernie brudna i śmierdząca zastarzałym dymem tytoniowym. Nauczyciele nigdy z niej nie korzystali; zawsze skarżyli się staremu woźnemu, monsieur Chabotaux, że brudzą tam sobie spodnie.

Jean wśliznął się w piwniczny mrok. Od czasu do czasu z góry dobiegał go odgłos stąpania ciężkich, wojskowych butów. Schody znajdowały

się za bojlerem; na każdym piętrze wychodziły na potężne, metalowe drzwi. Znalazłszy się na parterze, Jean z wahaniem przytknął ucho do pomalowanego

na zielono metalu. Usłyszał dziwne dźwięki, cichy pomruk wielu głosów, jakby podsłuchiwał, co się dzieje w poczekalni dworca St. Laurent. Były to kojące odgłosy, dodające Jeanowi odwagi do dalszej wędrówki w górę. Ledwo jednak postawił stopę na pierwszym stopniu, jego ciałem wstrząsnął potężny dreszcz - zza drzwi dobiegł go zwierzęcy krzyk. Jak sparaliżowany chłopiec wsłuchiwał się w ten straszny głos – kobiecy głos - po chwili milknący i przechodzący w ową niezwykłą, głuchą ciszę.

Dotarł do portyku na dachu bez większych kłopotów, ale natychmiast musiał oddać mocz. Potem przykucnął pod przeciwległą ścianą - kawałkiem jednolitego muru, być może długiego na trzy stopy, tuż przed wejściem do portyku. Owinął się szczelnie paltem. Było zimno, ale nie tak zimno jak dotychczas, a poza tym Jean wiedział, że słońce, które tego dnia świeciło jasno na bezchmurnym niebie, wkrótce ogrzeje tę południową ścianę szkoły.

Jean wyglądał zza muru tylko wtedy, gdy słyszał turkot ciężarówki wjeżdżającej na bruk rynku. Spod plandeki zawsze najpierw wyskakiwali żołnierze gestapo z karabinami maszynowymi, a potem otwierano drewniany tył i z samochodu wychodzili bądź byli wywlekani ludzie - pięcioro, dziesięcioro, czasami piętnascioro mężczyzn, kobiet, a niekiedy i dzieci. Zazwyczaj więźniowie zachowywali milczenie – szczególnie mężczyźni - choć czasami kobiety płakały cicho, a niektóre dzieci zanosiły się szlochaniem. Jean widział, jak w jednym z transportów przywieziono madame Gosset, przygłuchą staruszkę, która nie chciała wysiąść z ciężarówki - być może dlatego, że nie dosłyszała rozkazu, a być może dlatego, że pomimo swej wątłej postury nie zamierzała się podporządkować. Jean z przerażeniem ujrzał, jak jeden z gestapowców chwycił ją za włosy, które rozwinęły się w cienki, biały sznurek, gdy szpilki z koka posypały się na bruk. Ten sam żołnierz uderzył ją silnie kolbą karabinu pomiędzy łopatki. Madame Gosset upadła na kolana i nie mogła bądź nie chciała się podnieść.

W tej pozycji została zaciągnięta do budynku przez dwóch gestapowców, którzy chwycili ją pod ramiona.

W sumie sześćdziesięciu siedmiu mieszkańców zostało zapędzonych do szkoły. Jean wygrzebał z tornistra notes i ołówek, i zaczął zapisywać nazwiska tych, których był w stanie rozpoznać. Wyglądało to następująco: „Pierre Squevin z rodziną: żoną Marią, siostrą żony (?), nie znam jej imienia; Georges, lat siedemnaście, z gospody”.

Czternaścioro mieszkańców wypuszczono ze szkoły. Dziesięciu młodych mężczyzn (między innymi Georges'a) wyprowadzono z rękami założonymi za głowę i wpakowano do półciężarówki, która odjechała z rynku z dwoma uzbrojonymi strażnikami. Jean z wysokości czwartego piętra nie usłyszał

jednak miejsca jej przeznaczenia. Potem wypuszczono trzy kobiety - jedną z niemowlęciem na ręku. Chłopiec przyglądał się, jak kobieta stanęła - zupełnie zdezorientowana - u stóp szkolnych schodów, i nagle zaczęła biec jak oszalała, kuląc się w sobie, przyciskając do piersi dziecko.

Potem co najmniej przez godzinę nikogo nie wprowadzano ani nie wyprowadzano ze szkoły. Jean oczywiście nie miał zegarka, przypuszczał jednak, że dochodzi trzecia. Cieszył się, że niedługo zrobi się ciemno i będzie mógł uciec ze szkoły. Widział już dostatecznie wiele, dostatecznie wiele zanotował. Nie jadł nic od śniadania złożonego z twardej bułki i gorzkiej herbaty, jednak prawdę mówiąc, sceny, których stał się świadkiem, i dobiegające go odgłosy całkowicie odebrały mu apetyt. Promienie słońca świeciły ukośnie znad stojącego po drugiej stronie ratusza - za godzinę skryją się za jego łupkowym dachem. Wtedy kamienny kąt, w którym siedział Jean, wyziębni się całkowicie, i chłopiec będzie zmuszony wynieść się z dachu.

Teraz z nudów raz jeszcze zaczął przeglądać zapiski w notesie, zastanawiając się, czy nie przypomni sobie jeszcze jakiegoś nazwiska, które wcześniej umknęło mu z pamięci, gdy usłyszał nowy dźwięk dobiegający z dołu, z rynku. Sześciu mężczyzn - jeden z bardzo długą drabiną, a pozostałych pięciu niosących po dwie krótsze drabiny - wkroczyło na plac. Za nimi podążało dwóch żołnierzy gestapo, jednak w rękach nie trzymali ka-

rabinów, tylko zwoje lin. Belgowie byli robotnikami z miasteczka. Ojciec Marcela (ojciec Marcela?) niósł najdłuższą drabinę. Miał na sobie, jak co dzień, niebieski kombinezon, drewniane chodaki i granatową czapkę z daszkiem. Monsieur Delizee podszedł do wschodniej pierzei placu, zabudowanej kamienicami mieszczącymi na parterze sklepy, a na piętrach - mieszkania prywatne. Frontowe okna tych mieszkań miały płytkie balkony z kutymi, żelaznymi balustradami. Owe balustrady, o bardzo misternej robocie, uważano za jedną z największych atrakcji architektonicznych miasteczka.

Ojciec Marcela zatrzymał się pod tymi balkonami. Strażnik wydał komendę - najpierw po niemiecku, potem po francusku. Z ociąganiem ojciec Marcela powoli ustawił pionowo drabinę, po czym oparł o balustradę pierwszego balkonu. Strażnik znów coś powiedział do monsieur Delizego, a następnie podał mu zwój liny.

Jean nagle z przerażeniem zrozumiał, co się dzieje, i jak zahipnotyzowany wpatrywał się w ojca swojego przyjaciela wspinającego się po drabinie z grubą liną w rękę.

- Złapali nas w pobliżu przejazdu kolejowego. Byliśmy czyści, bo dwadzieścia minut wcześniej Antoine oddał paczkę z ulotkami... w zasadzie lepiej, żebyś nie wiedziała komu. Tak naprawdę szukali Leona - on zresztą dobrze o tym wiedział. My też o tym wiedzieliśmy. Oni chyba już od jakiegoś czasu podejrzewali, że Leon przekazuje nam informacje, które udało mu się zasłyszeć w hotelu. Wpakowali nas do ciężarówki. Wszyscy trzej znaleźliśmy żołnierzy, którzy nas aresztowali. W stosunku do mnie i do Antoine'a zachowywali się w porządku, no wiesz, my mamy farmy, oni żarli nasze mięso, i pewnie sądzili, że coś przy tym wszystkim uda im się dodatkowo zyskać. Ale Leon? On nie miał im nic do zaoferowania. Cały czas strasznie kaszlał - on często kaszle, gdy się zdenerwuje - a poza tym od jakiegoś czasu czuł się marnie, naprawdę marnie. Spojrzeliśmy z Antoine'em po sobie ponad głową Leona i jestem pewien, że w tym momencie obaj pomyśleliśmy to samo. Leon nie ujdzie z tego wszystkiego z życiem.

Przywieźli nas do szkoły. Tam było... było... W klasach wisiały rysunki dzieci, ale na ławkach i na podłodze była krew, bryzgi krwi - takie, jakie się pojawiają, gdy ogłuszasz obuchem cielaka, zanim poderzniesz mu gardło. W jednej klasie siedziały dwie starsze kobiety tulące się do swoich mężów - monsieur Claussina i monsieur Cloueta. Widziałem też Risę z jej niemowlęciem. Ale na wszystko mogłem tylko przelotnie rzucić okiem, bo pogonili nas do oddzielnej klasy. Co jednak słyszałem po drodze, tego nie da się opisać. Od tych dźwięków robiło się słabo.

Potem wszedł jakiś oficer, przedstawił się. Antoine i Leon go znali, ale ja widziałem go po raz pierwszy w życiu. W chwili gdy podawał nam swoje imię i nazwisko, jeden ze strażników tak mocno trzasnął Leona drewnianą pałką, że ten padł na ziemię i stłukło się jedno szkło w jego okularach. Chciałem mu pomóc, ale gdy się schyliłem w jego kierunku, i na mnie spadło uderzenie - pałka otarła mi się o policzek, ale mnie nie zamroczyło. Więc wstałem. A oni od razu zabrali się za Leona; pewnie pomyśleli, że skoro jest z nas najslabszy, to go najszybciej złamią. Powiedzieli, że wiedzą, że należ}' do ruchu oporu, i chcieli się dowiedzieć, co robił przy przejeździe kolejowym, gdzie był przedtem, i dokąd się wybierał, a Leon, siedzący w małej szkolnej ławce, założył w tym momencie na nos swoje strzaskane okulary i spojrzał w górę. Nie zapomnę tego do końca życia. Zaczął czytać zdania wywieszane na tablicy do ćwiczeń w czytaniu. „Jean je jabłko”. „Michelle bawi się z kotem”. Wymawiał wszystkie te słowa bardzo powoli i wyraźnie, jakby rzeczywiście dopiero uczył się czytać. To doprowadziło niemieckiego oficera do furii. Zaczął się wydzieierać, żeby Leon się zamknął, i Leon rzeczywiście zamilkł, ale gdy tylko zadali mu jakieś pytanie, znowu zaczynał czytać te zdania w taki sam sposób. „Jean je jabłko”. „Michelle bawi się z kotem”.

Antoine, bojąc się o Leona, rzucił: „Leon!”. Można przecież tak odpowiadać na pytania gestapo, by nie doprowadzać ich do wściekłości. Omawialiśmy to wiele razy. Ale, widzisz, Leon wiedział, że tak czy tak go zabiją, zdawał sobie z tego sprawę równie dobrze jak my, a poza tym tak bardzo ich nienawidził, że nawet nie chciał im podać swojego nazwiska, chociaż oni, oczywiście, świetnie je znali.

W końcu więc ten oficer, już teraz purpurowy na twarzy, miał dość zachowania Leona. To było z jego strony samobójstwo, ale na swój sposób piękne i honorowe. Oficer wykrzyknął do strażników, żeby związali nam ręce i wyprowadzili do innego pomieszczenia, a potem zaraz wrócili - przynajmniej sędzę, że coś takiego powiedział, mówił po niemiecku, ale Antoine odniósł takie samo wrażenie, wiedzieliśmy więc, że kiedy nas wyprowadzą, zaczną torturować Leona i pewnie zabiją go tam, na miejscu. Strażnicy zaczęli nam wiązać ręce za plecami. Leon, cały czas zanosząc się strasznym kaszlem, spojrział wtedy na nas przelotnie i potrząsnął głową, jakby chciał powiedzieć: nie martwcie się o mnie, nie myślcie o mnie.

I wtedy widzieliśmy go po raz ostatni.

Wypchnęli nas przez drzwi, poprowadzili korytarzem, po czym wpakowali do innej klasy - mniejszej, ale z większymi ławkami. Kiedy chodziłem do szkoły, to była klasa monsieur Parmentiera. Strażnicy przywiązali nas do ławek i wyszli.

Antoine siedział w jednym końcu sali, ja w drugim. Antoine powiedział: „Leon zginie”, a ja odparłem: „Może tylko chcą go nastraszyć”, ale Antoine pokręcił przecząco głową. Potem przez jakiś czas mocowaliśmy się ze sznurami i ani ja, ani on nie mogliśmy sobie z nimi poradzić, ale w czasie

tej szamotaniny Antoine, ledwo mieszczący się w ławce, odkrył, że dwie z trzech śrub mocujących jego ławkę do podłogi są odkręcone, prawdopodobnie przez jakiegoś znudzonego ucznia. Więc Antoine zaczął się gwałtownie kołysać w tył i w przód, szarpać na wszystkie strony - wiedzieliśmy, że w najlepszym wypadku mamy kilka minut - ale w końcu trzecia śruba puściła i Antoine mógł się poruszać. Podniósł więc ławkę i przeszedł z nią do miejsca, gdzie siedziałem - pewnie byłoby to bardzo śmieszne, gdyby nie było tak przerażające, a ponieważ ogarniała mnie panika, o mały włos rzeczywiście nie wybuchnąłem śmiechem. Antoine był mocno czerwony, sapał i chrząkał jak wieprz - naprawdę jak wieprz - ale ustawił się pod o powiednim kątem do mnie i wtedy obaj zaczęliśmy rozwiązywać sobie nawzajem sznury, po omacku, od tyłu. Z początku robili-

śmy to naraz, ale Antoine szybko uznał, że to nie ma sensu, że najpierw on uwolni mnie, a potem ja jego. I tak też zrobiliśmy.

Kiedy już obaj mieliśmy wolne ręce, Antoine odstawił swoją ławkę tam, gdzie powinna się znajdować, włożył trzy śruby na swoje miejsce i schował do kieszeni sznury, żeby nie pozostał żaden namacalny ślad ucieczki. Liczył na to, że w tym ogólnym zamieszaniu jedni nie będą wiedzieli, co robią drudzy, tak że być może strażnicy, gdy powrócą, pomyślą, że zostaliśmy zabrani przez innych strażników do innej sali. W każdym razie otworzyliśmy okno i wyskoczyliśmy, a potem Antoine mnie podszedł i przymknął okno z powrotem.

Henri, leżąc przy Claire na łóżku w ciemnościach, dygotał na całym ciele. Co prawda był nagi, ale trząśnięcie nie było z zimna, tylko z szoku. Mówił monotonnym, znużonym głosem, zniekształcanym niekiedy przez dreszcze. Claire okryła go kocami i przytulała do siebie, ale on i tak cały czas dygotał. Pojawił się w kuchni wraz z zachodem słońca. Claire krzyknęła z przerażenia, po czym zakryła dłonią usta na widok siniaka na jego policzku. Henri rozebrał się do naga i umył dokładnie pod pompą, odprawiając żonę ruchem ręki, gdy chciała opatrzeć mu ten siniec. Wciąż nagi, poszedł na górę, do sypialni, zaciągnął zasłony i padł na łóżko.

- Mogę tu zostać jeszcze najwyżej przez kilka minut - oświadczył, gdy opowiedział jej już swoją historię. - Razem z Antoine'em będziemy się musieli ukrywać przez jakiś czas, przynajmniej do chwili, aż skończą się te represje. Przeszedłem po dokumenty i pieniądze.

Claire przytuliła go mocniej, ale nie powiedziała ani słowa.

- Powinnaś wiedzieć, że aresztują też kobiety. Zabrali Emilie i Thérèse. A nawet madame Bossart.

- Wszystko będzie w porządku. Po mnie nie przyjdą.

- Claire...

Z ust Henriego wyrwał się w tym momencie głęboki charkot - obrzydliwy, ostry dźwięk, który przeraził Claire tak, że usiadła na łóżku. Przez chwilę myślała, że mąż będzie wymiotował. Henri jednak wtulił twarz w poduszkę, by stłumić płacz. Claire nigdy wcześniej nie widziała, by jej

mąż płakał - położyła się więc z powrotem obok niego, przytuliła go mocno i natychmiast pomyślała o pilocie leżącym tak blisko, zaledwie za ścianą.

Zapewne wszystko słyszy, pomyślała.

- Już w porządku, Henri - powiedziała cicho. - Już w porządku.

- Nie - oświadczył i przestał płakać równie gwałtownie, jak zaczął, po czym wytarł nos w powłoczkę poduszki. - Nic nie jest w porządku. - Głos miał schrypnięty, zdławiony.

A potem nagle sięgnął pod kołdrę, chwycił skraj jej spódnicy i uniósł, by wsunąć palce pomiędzy jej uda. Nie czekając na żaden gest z jej strony, odpiął jej pończochy, szorstkim gestem przejechał po nogach rolując pończochy do kostek. Chwycił majtki i też pociągnął w dół, tak że znalazły się na jej stopach. Klęknął i wszedł w nią. Chciała spojrzeć mu w twarz, ale gdy przesunął się blisko jej twarzy, ciemność w pokoju nie pozwoliła jej dojrzeć wyraźnie jego rysów. Henri pochylił głowę nad jej szyją, lekko chwycił skórę zębami.

Gdy poczuła, że zaraz będzie po wszystkim, szarpnęła biodrami i nasienie znalazło się na jej udach.

Henri się nie poruszył, nie zapytał dlaczego.

Claire znów pomyślała o pilocie leżącym za ścianą. Zapewne wszystko słyszał, pomyślała.

Z balkonów zwisało dziesięć lin zakończonych pętlami. Pod nimi ustawiono dziesięć małych drabin. Jean patrzył przerażony, jak ojciec Marcela przeciąga liny przez kute zawijasy balustrad, a potem na końcu każdej z nich fachowo wiąże pętlę -jak gdyby jego wyuczonym fachem było powroźnictwo, a nie ciesielstwo. Ludzi przetrzymywanych w szkole wyprowadzono na rynek, by przyjrzeni się egzekucji. Dołączyło do nich kilku innych mieszkańców, tak że gdy na placu pojawił się niemiecki oficer, było tam około pięćdziesięciu mężczyzn i kobiet. Wśród zgromadzonych rozległ się szmer zaniepokojenia. Nie było jeszcze wiadomo, kto zostanie stracony, ale niektóre kobiety przetrzymywane w szkole, nie widząc w tłumie swoich mężów czy synów, zaczęły w panice przeciskać się gwał-

townie w tłumie; reagowano nieznacznym, pełnym zażenowania, przeczącym kręceniem głowami. Oficer, którego Jean wcześniej nigdy nie widział, wszedł na niski murek otaczający fontannę pośrodku rynku. Zaczął odczytywać w narzeczu walońskim (bo jakież sens miałyby represje, gdyby nie wiadomo było, czemu je zastosowano?) nazwiska ludzi, którzy zostaną straceni w odwecie za trzech niemieckich żołnierzy zabitych przy samolocie. Jean oniemiał, gdy usłyszał wśród nazwisk skazańców nazwisko burmistrza, monsieur Jauqueta, a także nazwisko kobiety - Emilie Boccart. Kilka kobiet zgromadzonych na placu zaczęło rozdzierająco krzyczeć i rzuciło się poprzez tłum, by wybiec naprzód. Jednak zostały powstrzymane przez sąsiadów, świadomych, że konfrontacja z gestapo oznacza pewną śmierć. Jean widział jak dwóch mężczyzn chwytła niemal półprzytomną, starszą kobietę pod ramiona i odprowadza do domu.

Chwilę później wypchnięto dziesięciu jeńców, bez palt i nakryć głowy, z rękami związanymi na plecach. Większość z nich była dotkliwie pobita, niektórzy mieli na ubraniach plamy krwi. Słońce, padające ukosem na rynek i oślepiające skazanych, ostro oświetlało ich czarnosine, obrzękłe twarze. Monsieur Balle'a, wyglądającego dziwacznie i jakby nago bez okularów i nieodłącznej czapki, ciągnęło pod ręce dwóch strażników. Matka jednego ze skazańców rzuciła się w przód, by uściskać syna. Gestapowiec brutalnie uderzył ją w plecy kolbą karabinu. Kobieta chwyciła za ramię stojącą koło niej sąsiadkę, po czym na pół upadła, na pół osunęła się na bruk placu.

Jean chwycił ołówek, by zanotować nazwiska dziesięciu skazanych w swoim notesie: Sylvain Jacquemart, Emilie Boccart, Philippe Jauquet, Léon Balle, Roger Doumont... Jednak ręka drżała mu tak bardzo, że pismo stało się niemal nieczytelne. Spoglądając na swoją dygoczącą dłoń, chłopiec przeraził się nagle, że zaraz upuści ołówek, który mógłby przelecieć przez kolumny balustrady i spaść na bruk, ściągając przy tym na podniebne schronienie Jeana uwagę gestapowskich żandarmów otaczających plac z karabinami gotowymi do strzału. Ostrożnie odłożył więc ołówek i notes, po czym raz jeszcze wyrzwał za załom muru.

Dziesięć osób skazanych na śmierć doprowadzono do drabin i kazano im wspiąć się po szczeblach. Poważnym problemem okazał się monsieur Balle, który nie mógł stać o własnych siłach. Został w końcu podsadzony na drabinę przez zirytowanego strażnika, który musiał go przytrzymywać cały czas niczym kukłę. Oczy chłopca rozwarły się w niedowierzaniu, gdy zobaczył, że Jacquemart, niezwykle, ironicznym zrządzeniem losu, zawisnie na własnym balkonie.

Ojciec Guillaume, w szerokim kapeluszu zakrywającym mu twarz i w sutannie zamiatającej bruk placu, stawał przed każdym skazańcem i kreślił dłonią znak krzyża. Tylko Balle, chociaż nie mógł utrzymać się na nogach, znalazł w sobie tyle siły, by odrzucić to fałszywe błogosławieństwo, i splunął na duchownego.

Na znak oficera strażnicy weszli na drabiny i założyli stryczki na szyje dziesięciu zakładników. Potem zeszli z drabin i znów chwycili karabiny. Jacquemart wypatrywał swojej żony w tłumie i wykrzykiwał jej imię; Dumont i Jaquet stali ze spuszczoneymi głowami. Léona Balle'a podtrzymywała tylko gruba pętla - zdawało się zresztą, że już stracił przytomność. Emilie Boccart poruszyła tłum wykrzykując swoim niskim, schrypniętym głosem: *Vive la Belgique!* Oficer wydał komendę i w tym momencie każdy ze strażników wyszarpnął drabinę. Kobieta i dziewięciu mężczyzn zawisli jednocześnie.

Jean widział, jak kilka ciał wije się i podryguje. Kał spłynął po nodze Jacquemarta, brudząc skarpetkę i but. Jean poczuł mdłości i zawrót głowy; był pewien, że zaraz zwymiotuje. Mężczyzn; którzy wciąż się wili, strażnicy zaczęli okładać kolbami karabinów. Gestapowiec stojący naprzeciw Jauqueta, rozwścieczony, że burmistrz szybko nie umiera, skosił skazańca serią z karabinu, niemal przecinając ciało na pół.

Los, który nigdy nie oszczędzał Jeanowi Benoit podstępnych zawirowań, tym razem też okazał się niełaskawy. Chłopiec zemdłał, padł na kamienną posadzkę portyku, dotkliwie siniacząc policzek i obruszając przy tym niewielką cegłę, która z trzaskiem spadła na bruk rynku.

Nad domem zawisła cisza. Być może, pomyślała Claire, zawisła nad całą wioską. Głęboka cisza gęstego opadu śniegu, takiego, jakie niekiedy widywała w Ardenach. Swego czasu, gdy była jeszcze dziewczynką i pojechała tam na zimowe wakacje, ojciec pożyczył dwie pary nart i razem z Claire przemierzał długie trasy w śnieżnym lesie.

Cisza była tak gęsta, że wygłuszyła nawet wszystkie nawiedzające ją duchy. Tej nocy nie słyszała głosów ludzi mieszkających swego czasu na jej strychu: młodych mężczyzn czy madame Rosenthal, wciąż nawołującej męża.

Henri odszedł - kiedy? osiem, dziewięć godzin temu? Czy dochodzi druga nad ranem? A może trzecia? Claire nie miała pojęcia. Przez okno wciąż wpadała srebrzysta poświata księżyca, ale to jej nic nie mówiło. Czy to możliwe, zadawała sobie pytanie, że już nigdy w życiu nie zobaczy Henriego? Próbowała przyswoić sobie tę myśl, wywołać w sobie jakieś uczucia, ale miękka cisza i ją otuliła szczelnie niczym kokon - znieczuliła na wszystkie doznania.

Wcześniej, tuż po wyjściu Henriego, Claire wstała z łóżka, umyła się, przebrała i przygotowała - bo przecież musiała - kolację dla pilota. Ten posiłek wyglądał tak samo jak wszystkie pozostałe - chleb, ser i ohydna kawa - i nagle Claire poczuła wielką tęsknotę za kawałkiem owocu: jabłka, gruszki, a nawet czegoś bardziej egzotycznego - pomarańczy czy mango. Zniosła tacę na górę i wtedy po raz pierwszy od chwili odzyskania świadomości pilot nie spojrzał jej w oczy. Oświadczył też, że zje na dole, w kuchni - że zejdzie tam z jej pomocą lub bez i nie zamierza czekać na jej zgodę. Normalnie zaprotestowałyby ostro: ze wszystkich dni przebywania poza kryjówką tego właśnie wieczoru było najbardziej ryzykowne. Jednak nie miała ani siły, ani ochoty mu się przeciwstawić.

Pomogła pilotowi wyczołgać się przez tunelik i stanąć na nogi, gdy już znaleźli się w sypialni. Ted oparł się o szafę i o jej ramię, by utrzymać równowagę, a potem zaczął się podnosić bardzo powoli i ostrożnie, niczym stary człowiek powstający z krzesła. Głową dotykał skośnego sufitu, gdy tymczasem czubek głowy Claire ledwo sięgał jego kołnierzyka. Rysy

twarży zmieniły mu się od czasu, gdy widziała go po raz ostatni, a raczej - pomyślała - zmieniło się jej postrzeganie jego twarzy. Oczy miał głębiej osadzone, niż sądziła, zarys ust o wiele wyrazistszy: bardzo prostą dolną wargę i pełną, mocno wygiętą górną. Jego policzki i brodę pokrywał kilkudniowy

THUR

zarost, a z przydługimi włosami, zaczesanymi palcami za uszy, pilnie wymagającymi mycia, i w źle dopasowanym, cywilnym ubraniu, nie wyglądał na amerykańskiego pilota, lecz raczej na prostego robotnika. Mięśnie prawej nogi wyraźnie zaczynały zanikać - zauważyła to, gdy ją przemycywała - więc Amerykanin właściwie nie mógł obciążać stopy. Opierając się, o co mógł, dotarł do szczytu schodów, a potem, przenosząc ciężar ciała na balustradę, zaczął zeskakiwać po jednym stopniu na zdrowej nodze. Claire zdała sobie wówczas sprawę, że postanowił zachować w stosunku do niej tak duży dystans, iż nawet nie chciał skorzystać z jej pomocy.

Postępowała więc za nim. W kuchni położyła obok pieca ręcznik, brzytwę Henriego i miskę. Zagotowała wodę, a potem z najgłębszej szuflady stojącej szafki wyjęła paczkę: czyste, świeżo uszyte ubranie dla pilota, które miał włożyć w dniu ucieczki. Ubranie zostawiła na stole.

Potem wyszła z kuchni i wróciła do sypialni. Usunęła pościel z kryjówki na strychu, wysprzątała starannie małe pomieszczenie, przygotowała świeżą pościel, a obok, na podłodze, położyła zdjęcie narzeczonej pilota i tomik angielskiej poezji. Wychodząc, zostawiła wszystkie drzwi prowadzące do schowka mocno uchylone, w sypialni zaś otworzyła na oścież oba okna.

Pokój natychmiast nappełnił się świeżym, zimnym powietrzem. Claire miała nadzieję, że ten świeży powiew dotrze także do strychu i wygna stamtąd zatechły zaduch.

Gdy już uznała, że dała Amerykaninowi dostatecznie dużo czasu, zaniosła brudną pościel do kuchni. Pilot, z mokrymi włosami, świeżo ogolony, siedział przy kuchennym stole. Uszyte na niego spodnie niemal całkowicie zakrywały zabandażowaną łydkę. Bawełnianą koszulę, bez dopinanego kołnierzyka, miał rozpiętą pod szyją. Długie nogi wyciągnął przed siebie, skrzyżował, prawą rękę trzymał na stole. Claire zatrzymała się w drzwiach. Ted już nie wyglądał na robotnika. Paznokciem kciuka wodził po rysach dębowego stołu.

Usłyszał ją i podniósł wzrok. Po raz pierwszy tego wieczoru spojrzał jej w oczy.

- Czy z twoim mężem wszystko w porządku?

Claire wrzuciła brudną pościel do kosza z bielizną do prania.

- Przez jakiś czas będzie się ukrywał - odparła.
Zapadła długa cisza.

- A gdyby mnie tu nie było, ty zesłabyś do podziemia razem z nim - powiedział w końcu Ted.

- Nie. Tutaj jestem bezpieczniejsza. A gdybym z nim poszła, byłabym... - zawahała się, jakiego użyć słowa - ...zbędnym balastem?

- Szczerze w to wątpię - oświadczył, odwracając wzrok. - Tak czy owak, jutro stąd odejdę. Będę potrzebował ciepłego palta, jeśli mogłabyś mi jakiegoś użyczyć.

- Nie - rzuciła pośpiesznie. - Nie możesz opuścić tego domu, póki nie przygotują dla ciebie trasy przerzutowej. I na pewno nie stanie się to jutro ani pojutrze, ani popojutrze. Musisz tutaj zostać także dla mojego bezpieczeństwa.

- No, cóż. Zobaczymy.

- Twoja kolacja starzeje się na górze.

- Nie jestem głodny. - Znowu spojrzał jej w oczy, uśmiechnął się nieznacznie. - Ale marzę o papierosie.

Claire westchnęła głęboko:

- Nie mam już ani jednego.

A po chwili zastanowienia narzuciła palto.

- Dokąd idziesz?

- Mam coś innego - oznajmiła.

Ostre, mroźne powietrze zakłuło ją w płucach. Mimo to cieszyła się, że znalazła się poza zasięgiem wzroku Ame-rykanina. W jego obecności czuła się zawstydzona i zła na siebie jednocześnie, że poddaje się temu wsty-
dowi. Nie miała wątpliwości, że pilot słyszał okropny płacz Henriego, a zapewne także wydawane przez niego chrapliwe dźwięki, gdy się kochali. Chociaż prawdę mówiąc nie byłoby to słowo, którego by użyła na określenie tego, co wydarzyło się między nią a jej mężem tego wieczoru. Z jej strony pewnie był to akt miłości, a może raczej akt miłosierdzia, dla Henriego jednak - sposób na wyrzucenie z pamięci tego, czego był świadkiem.

Pomyślała w tym momencie o zwierzęciu, które trzyma inne zwierzę w zębach i potrząsa gwałtownie; o kocie w nagłym, szaleńczym strachu czepiającym się pazurami kory najbliższego drzewa.

Księżyc zdawał się roztaczać wokół przejrzystą poświatę. Ojciec powiedział jej kiedyś, że czasem w świetle księżyca można o północy czytać gazetę. Claire dotarła do obory i zostawiła uchylone wrota, tak by owa poświata oświetlała wnętrze i pozwoliła jej szybko trafić do celu. Znalazła to, po co przyszła, w drewnianych skrzynkach. Chwyciła trzy butelki z brązowego szkła - tyle, ile mogła sama unieść bez trudu.

Gdy wracała do kuchni, z przerażeniem zauważyła, że zza czarnych, zaciemniających zasłon wydobywają się wąskie pasemka światła. Więc kiedy już znalazła się w środku, natychmiast zgasiła światło, po czym po omacku rozsunęła zasłony. Prostokąt chłodnej, błękitnej poświaty padł na podłogę i dębowy stół.

- Jesteśmy bezpieczniejsi po ciemku - oznajmiła. – Księżyc świeci dziś tak jasno, że i tak wszystko będziemy widzieć.

Podawała pilotowi jedną z butelek.

- To piwo robione przez mojego męża. Dla mnie - tu uczyniła wymowny gest ręką - jest bardzo mocne. Lepiej smakuje zagryzane chlebem i serem.

Poszła na górę po tacę z kolacją Amerykanina, a zanim wróciła Ted już zdążył usunąć drut i korki z dwóch butelek. Claire postawiła na stole chleb i ser, rozdzieliła pajdę na cztery części, ser pokroiła na plasterki. Czuli się bardziej pewna siebie, mniej spłoszona w mroku. Teraz nie mogła dostrzec wyraźnie oczu Amerykanina, nie wiedziała nawet, czy w ogóle patrzy w jej stronę. Postawiła na stole dwie szklanki, ale pilot zaczął pić swoje piwo prosto z butelki. Ona nalała sobie szklankę ciemnego płynu i zaczęła, aż opadnie gęsta piana.

- Doskonale - oświadczył Ted, unosząc butelkę.

- Tak.

Sięgnął po chleb i ser. Poświata księżyca sprawiła, że Amerykanin wydał się nagle Claire błękitny i przejrzysty. Ona też była głodna, zjadła więc trochę chleba z serem, po czym znów napiła się piwa.

- Masz tu gdzieś radio, prawda?

To pytanie ją zaskoczyło. A więc którejs nocy przez strop musiały dotrzeć do niego dźwięki radia.

- Tak, mam - przyznała.

- Czy moglibyśmy go posłuchać?

Claire wahala się przez chwilę. Głos pilota był głęboki, dźwięczny, z lekkim zaśpiewem. Chociaż akcent brzmiał trochę inaczej, przypominał jej wymowę pewnego walijskiego lotnika, którego kiedyś przechowywała na strychu. Włączanie radia, gdy w miasteczku roilo się od żołnierzy gestapo, było ryzykownym przedsięwzięciem. Gdyby jednak bardzo ściszyli dźwięk i nie słuchali dłużej niż dwie, trzy minuty...

Claire podniosła się i wyjęła ze ściany kilka obluzonych cegieł. Wyciągnęła ze schowka wielkie, ciężkie radio i ustawiła na stole. Gdy je włączyła, nagłe trzaski tak ją przeraziły, że natychmiast maksymalnie ściszyła głoś. Nie widziała skali w mdłym świetle księżyca, więc wędrowała poprzez różne stacje i różne języki: paryski francuski, waloński francuski - jej ojczysty język - flamandzki, holenderski, niemiecki, duński. Wreszcie trafiła na BBC po angielsku. Wtedy usiadła i pochyliła głowę nad odbiornikiem.

Oboje słuchali z napięciem. Niemcy, otoczeni pod Stalingradem, odrzucili wezwanie do kapitulacji. Autobus wywożący dzieci z bombardowanego Londynu na bezpieczną prowincję, wpadł do rowu niedaleko Oxfordu. Zaraz zaś potem spiker przeczytał zupełnie niedorzeczną informację, że jakiemuś człowiekowi bardzo smakował królik w sosie z czerwonego wina, więc chciałby podziękować swoim gospodarzom.

- To kod - powiedziała Claire.

-Kod?

- Czasami słucham radia tylko dla takich informacji. Zapisuję je i przekazuję... przekazuję innym. Gdy lotnicy... hmm... gdy lotnicy wracają z Belgii do Anglii - lotnicy z zestrzelonych samolotów - przekazują swoim... zwierzchnikom, tak?... jak wyglądał ich ostatni posiłek u ludzi, którzy ich przechowywali... a ta informacja jest przekazywana do BBC i

nadawana w świat. W ten sposób Maquis wiedzą, że lotnicy dotarli do domu.

Ted zastanawiał się przez chwilę.

- A więc gdybym wyruszył jutro i szczęśliwie dotarł do bazy, usłyszałabyś pewnego dnia przez radio: „Piwo było mocne i pyszne”.

Claire się uśmiechnęła i kiwnęła głową. W tym momencie spiker zakończył nadawanie komunikatów i z głośnika popłynęła muzyka.

- Glenn Miller - rozpoznał pilot.

Słuchali w milczeniu. Ted odchylił się na krześle, tak że teraz jego twarz znajdowała się w ciemnościach, poza kręgiem księżycowej poświaty. Wypił dwie butelki piwa. Claire wypila połowę trzeciej. Słuchali melodii Aarona Coplanda i Irvinga Berlina. Za każdym razem Ted mówił jej, uprzedzając spikera, jaki jest tytuł utworu i kto go skomponował.

- Lubisz tańczyć? - zapytał w końcu.

- Od bardzo dawna nie tańczyłam.

- A czy przed wojną chodziłaś na tańce?

- Raczej nie. Raz mąż zabrał mnie do sali tanecznej w Charleroi, ale tutaj, w Delahaut? Tutaj są tańce jedynie na weselach i festynach. A ty? Czy ty chodziłaś na tańce?

- Kiedy byłem w college'u. I parę razy w Anglii, w bazie. Tańce miały się też odbyć nazajutrz po naszej kraksie. W sylwestra.

- Tęsknisz za samolotem?

- Za samolotem? Nie.

- To znaczy, chciałam zapytać, czy tęsknisz za lataniem?

Ted pociągnął długi łyk piwa, odstawił butelkę na stół.

- Chyba tęsknię do latania. Zawsze to lubiłem. Jednak to, czym się zajmujemy tutaj... - Ted wskazał palcem na sufit - ...nie ma wiele wspólnego z lataniem. Przynajmniej nie dla mnie. To raczej, bo ja wiem, operacja techniczna. Operacja techniczna przeprowadzana w paskudnych warunkach.

-Tak.

- Kiedy wrócę, prawdopodobnie przydzielą mnie do kolejnego bombowca. I być może pewnego dnia znowu będę przelatywać nad twoim miasteczkiem.

- Ale nie spadniesz.

- Nie spadnę.

- Myślę, że powinieneś się przygotować na długie oczekiwanie. Z pewnością nie szybko będziesz mógł uciec. Mój mąż mi tak powiedział. A na dodatek teraz żaden obcy w Delahaut nie może czuć się bezpiecznie.

- A te represje? - zainteresował się Ted. - Co się stanie z aresztowanymi mieszkańcami?

- Tego nie wiem. Zazwyczaj represje oznaczają... - Claire urwała.

- Mów dalej.

- Zazwyczaj oznaczają egzekucje. Ted zaczął zataczać po stole małe kółka butelką.

- Czy tutaj kiedykolwiek wcześniej były jakieś represje?

- Nie, u nas nie, ale w innych miasteczkach.

- Być może tym razem nie będzie egzekucji. Claire nie odpowiedziała.

Ted uniósł butelkę, potrzymał przez chwilę przy ustach, po czym odstawił z trzaskiem na stół. Claire przestraszyła się, że pęknie grube szkło.

Zauważył, że go obserwuje. Przesunął się na krześle.

- Nigdy nie chciałaś mieć dzieci? - zapytał, zmieniając temat. - Och, przepraszam. To zupełnie nie moja sprawa.

- Nie, nie. Wszystko w porządku. Nie chciałam dzieci. Nie w czasie wojny.

- A po wojnie?

- Nie wiem. Nie jestem pewna.

Zapadła krepująca cisza, którą w końcu przerwała Claire.

- A ty? Czy po wojnie ożenisz się z kobietą ze zdjęcia? Ted pochylił się do przodu, tak że znów objął go krąg księżycowego światła.

- Przypuszczam, że tak. Przynajmniej tak planowaliśmy. Teraz wydaje mi się, że było to strasznie dawno temu. Martwię się, że nikt z moich bliskich nie wie, co się ze mną dzieje. Nie chcę, żeby się zadreśli.

- Gdy już to będzie bezpieczne, napiszę do twojej narzeczonej.

- Dziękuję. Ale prawdę mówiąc wolałbym, żebyś napisała do mojej siostry.

- Do siostry?

- Tak, do Frances. Ona mnie wychowała, to znaczy była dla mnie jak matka. Myślę, że ona przejmuje się tym wszystkim najbardziej.

- A więc postanowione. Napiszę do Frances. Zanim odejdziesz, zostawisz mi adres, tak?

Ted w milczeniu kiwnął głową.

Claire podniosła się od stołu i wyłączyła radio. Zwinęła sznur z wtyczką. Zaczęła nasłuchiwać, czy z dworu nie dochodzą jakieś niepokojące dźwięki, ale na zewnątrz panowała idealna cisza. Zniosła radio do kryjówki i starannie wsunęła cegły na właściwe miejsce.

- Skończyłeś? - zapytała, stając obok Teda.

- Uwielbiam twój głos - usłyszała. - Jest niski jak na kobietę, ale wyjątkowo piękny.

Claire chwyciła butelki. Nieważne, w jakim mówiło się języku; istniała pewna granica, której nie należało nigdy przekraczać, a ten Amerykanin niebezpiecznie się do tej granicy zbliżał. Nie odpowie więc nic na to, co powiedział. Odwróciła się i zniosła puste butelki do spiżarni.

- Twój samolot nazywał się... - zagaiła, wciąż stojąc w małym pomieszczeniu.

- „Woman's Home Companion”.

- Po jednej stronie był na nim obrazek. Mężczyźni, gdy o nim wspominali, zawsze wybuchali śmiechem, ale kiedy pytałam, co jest na tym obrazku, nie chcieli mi powiedzieć.

Kiedy wróciła do kuchni, pilot uśmiechał się sam do siebie.

- Kiedyś ci powiem. Ale nie dzisiaj.

- Ale zanim odejdziesz.

- Tak. Zanim odejdę.

Claire uprzątnęła wszelkie pozostałości po kolacji, odłożyła mydło do golenia i brzytwę do szuflady, a ręcznik i brudne ubranie ukryła w koszu pod pościelą. Rozrzuciła żar w palenisku. Chwyciła z wieszaka palto, po czym zaciągnęła zasłony zaciemniające, tak że nagle znaleźli się w kompletnych ciemnościach.

- Robisz tak każdej nocy?

- Co noc staram się być ostrożna, ale mój mąż powiedział, że tej nocy powinnam być ostrożna bardziej niż zwykle.

- A palto ma...

- Żeby myśleli, że mnie nie ma.

- Że wyszłaś. To dlatego nie zamykasz drzwi?

-Tak.

-A jeżeli przyjdą?

-Nie przyjdą.

-Więc dlaczego...?

-Przyzwyczajenie.

Stała tuż obok niego.

- Położę tu rękę - powiedziała, dotykając lekko jego łokcia. - Bo ja umiem się poruszać po domu nawet wtedy, gdy jest całkiem ciemno, dobrze?

Poprowadziła go do schodów. Ted po omacku trafił na górę, a potem do sypialni. Tam poświata księżycyca wpadająca przez otwarte okna dawała nieco światła.

- Zimno tu - stwierdził Ted.

- Otwarłam okna, żeby wpadło czyste powietrze.

Stał tuż nad nią i wydawał się bardzo duży w tym niewielkim pokoju. Dla utrzymania równowagi podparł się dłonią o spadzisty sufit.

- Claire...

Cofnęła się instynktownie, chwyciła za oparcie łóżka. Łóżko wywoływało teraz bolesne wspomnienia. Przypominało o intymnym akcie, którego mimowolnym świadkiem był Amerykanin zaledwie kilka godzin temu.

- Claire, nie powinnaś narażać się dla mnie na ryzyko.

Potrząsnęła głową, odwróciła się i zarzuciła palto na poręcz łóżka.

- Robiłam to już wiele razy - powiedziała, siląc się na niefrasobliwy ton, jednocześnie składając i rozkładając palto. - To nic takiego.

Patrzyła uważnie, jak Ted podchodzi do szafy, przesuwa wieszaki, otwiera tajemne drzwi.

Gdy się upewniła, że zamknął je za sobą, podeszła do szafy i ciężko oparła o nią głowę.

Piwo nie spowodowało senności, raczej niepokój. Raz po raz się budziła, po czym znów zapadała w krótką, nerwową drzemkę. Coś jej się śniło, jednak te obrazy szybko jej umykały.

Być może to ze strachu. Z samotności. Zastanawiała się, gdzie teraz jest Henri. Czy marznie? Czy coś zjadł? Czy ma łóżko do spania, czy może także leży na podłodze, ukrywając się na czymś strychu? Czy powinna była iść razem z nim? Czy jednak nie stanowiłaby dodatkowego zagrożenia?

Naciągnęła dwie kołdry na gołe ramiona. Henri zawsze ogrzewał łóżko. Gdy go nie było, potrzebowała dodatkowego okrycia. Pomyślała o Leonie w strzaskanych okularach. Czy już nie żyje? Czy został pobity na śmierć? Co to znaczy – być pobitym na śmierć? Czy jeden konkretny cios przerywa życie, czy może w pewnym momencie poddaje się całe ciało? A co z Therese i Emilie? Czy wyślą je do Ravensbruck, gdzie, jak słyszała, wysyłają kobiety? Chociaż nikt tego nie wiedział na pewno. Gdy zniknął jakiś mieszkaniec wioski, nigdy oficjalnie nie ogłaszano, dokąd został zabrany. A Claire nigdy osobiście nie słyszała o kimkolwiek, kto powrócił z obozu koncentracyjnego. Ale jeżeli nikt nigdy stamtąd nie wrócił, to skąd wiadomo, że w ogóle istnieją takie miejsca jak Ravensbruck czy Buchenwald, poza tym, że ludzie opowiadają o nich straszne historie? Zapewne muszą istnieć jakieś dokumenty dotyczące tej sprawy, ale w dokumentach na pewno nikt nie zawarł takich okropności, o jakich słyszała Claire - okropności, które po prostu nie mieściły się w głowie. Odesłanie na wschód, do Niemiec, oznaczało wpadnięcie w mgłę - straszną, gęstą mgłę, w której nikt nikogo nie rozpoznawał i z której jeszcze nikt się nigdy nie wydostał.

Słyszając chrzęst opon na żwirze natychmiast usiadła na łóżku. Poczowała gwałtowne, płytkie bicie serca. Usłyszała otwieranie i zamykanie drzwi samochodu.

Gdy dobiegły ją niemieckie słowa, wyskoczyła z łóżka, jednym ruchem zaciągnęła kołdry na poduszkę, po czym w panice rzuciła się do drzwi szafy. Z gardła wyrwał się jej zduszony krzyk. Gwałtownym ruchem odsunęła wiszące ubrania, otworzyła tajemne drzwi. Wpadła do kryjówki na strychu, budząc zdezorientowanego Amerykanina. Przyłożyła palec do ust. Ted miał taki wyraz twarzy, jakby wciąż zdawało mu się, że śni. Claire usłyszała kroki na żwirze, stukanie do drzwi, rozkaz wydany krzykiem po niemiecku. W tym momencie z zamierającym sercem zdała sobie sprawę, że zostawiła palto złożone starannie w nogach łóżka. Płacząc się w fałdach koszuli nocnej popęzła przez szafę do sypialni. Chwyciła palto, zaciągnęła do tuneliku, rzuciła przed siebie. Zamknęła drzwi szafy, po-prawiła wiązki. Teraz kroki dochodziły już z kuchni - a także pomruk głosów, ciche niemieckie komendy.

Weszła do kryjówki, delikatnie zamykając za sobą tajemne drzwi. Ted położył się z powrotem, przewrócił na wznak. Claire siedziała oparta plecami o ścianę, przyciskając pięść do ust. Pilot i kobieta nie spuszczała z siebie wzroku, wsłuchując się w odgłosy niemieckiego najścia na dom.

Claire zamknęła oczy tylko raz - gdy usłyszała kroki na schodach. Gestapowcy nie próbowali ukrywać swej obecności - ciężkie buty zastukały głośno i szybko na schodach. Niemiec prawdopodobnie biegł. Z sypialni dochodziły kroki jednego, potem dwóch mężczyzn. Plask! - jakby coś twardego upadło na łóżko. Szelest odrzucanych kołder. Claire pomyślała, że gdyby dobrze pomacali prześcieradła, zorientowaliby się w sytuacji. Trzask wyciąganej szuflady komody. Plaskanie bielizny rzuconej na ziemię. Grzechot koralików jej różańca. Jeden z mężczyzn opadający na kolana - szukający czegoś pod łóżkiem? Drugi zbliżający się do szafy, stojący zaledwie

dwie stopy od miejsca, gdzie spoczywała głowa pilota. Claire usłyszała otwieranie drzwi, odgłos wyrzucania prześcieradeł i ubrań, stukot metalu o drewno. Gdyby Niemiec dostrzegł zarys fałszywego tyłu szafy, Claire i lotnik zostaliby znaleźieni w przeciągu kilku sekund.

Znużony głos. Potem drugi - zmęczony i zirytowany. Oba te głosy brzmiały zadziwiająco młodo - może nie byli to chłopcy, ale na pewno bardzo młodzi mężczyźni. Usłyszała skrzypienie łóżka, jakby ktoś na nim usiadł. Rubaszny dowcip. I jeszcze inny, niski, burkliwy głos - dobiegający z dołu. Szybka odpowiedź uległym tonem. Ponownie skrzypienie łóżka - teraz mężczyzna zapewne wstał. Oddalające się kroki. Ale na schodach tylko pojedyncze. Czemu drugi mężczyzna także nie zszedł? Czy szuka czegoś szczególnego? Czy może dojrzał z wysokości schodów zarys fałszywych drzwi w głębi rozbebeszonej szafy? Usłyszała kroki ponownie zmierzające w stronę sypialni. Przygryzła zaciśniętą pięść, by powstrzymać się od krzyku. Niemiec podniósł z podłogi jakąś sztukę odzieży. Claire usłyszała miękki poświsł tkaniny - zapewne jedwabiu. Pewnie peniuar albo koszula nocna, pomyślała. Nie usłyszała, by ubranie spadło z powrotem na ziemię. W końcu wreszcie kroki na schodach.

Amerykanin nieznacznie uniósł głowę. Claire przyłożyła palec do ust i tak zastygła. Ted bacznie badał jej twarz. W kuchni zaskrzypiało krzesło. Poleciała woda. Stukot ciężkich butów o kamienną posadzkę. Odgłos oddawania moczu do metalowego wiadra. A w końcu brzęk szybek w wejściowych drzwiach, jakby ktoś zatrzasnął je gwałtownie. Claire wyteżyła słuch. Otwieranie i zamykanie drzwi samochodu. Jeżeli nie zamierzali jej zmylić, wszyscy opuścili dom.

Ponownie chrzęst opon na żwirze.

Claire opuściła głowę na kolana i objęła je mocno ramionami.

- Było ich czterech?

-Tak.

-Poszli?

-Tak.

- Jesteś

pewna?

-Nie.

- To było gestapo?
- Tak.
- Skąd wiesz?
- Tylko Niemcy jeżdżą samochodami.
- Co mówili?
- Nie wszystko usłyszałam.
- A co usłyszałaś?
- Powiedzieli, że być może ukrywam się razem z Henrim.
- I?
- Jeden z nich powiedział, że chętnie poigrałby ze mną w tym łóżku.
- To wtedy zaczęli się śmiać?
- Tak.
- Czy wrócą tu?
- Możliwe.
- Czy nie powinniśmy więc stąd uciekać?
- Nie.
- Dlaczego?
- Bo tutaj jest najbezpieczniej.
- Dobrze się czujesz?
- Tak.
- Cała drżysz.
- To z zimna.
- Chodź, otul się paltem.

Claire podniosła głowę. Pilot siedział i trzymał w dłoniach rozpostarte okrycie. Wcisnęła rękę w jeden zimny rękaw, owinęła palto wokół koszuli, wsunęła drugą rękę w drugi rękaw. Wyciągnęła włosy spod kołnierza. Twarz Amerykanina była teraz bardzo blisko jej twarzy.

- Zostań tutaj - powiedział, kładąc rękę na jej ramieniu. - Śpij tutaj. Oni mogą wrócić.

- Nie mogę. To nie byłoby w porządku.
- Musisz przede wszystkim być bardzo ostrożna - to właśnie jest w porządku. Słuchaj, następnym razem możesz nie mieć tak dużo szczęścia.

Claire rozważała jego słowa. Czy gdyby nie była już rozbudzona, usłyszałaby samochód podjeżdżający pod dom? Czy byłaby w stanie zareagować tak szybko?

- Dobrze. Posiedzę tu przez chwilę. A ty śpij.

- Może powinniśmy spać na zmianę.

Przechyliła głowę.

- Nie rozumiem.

- Po kolei. Ja pośpię trochę, a potem mnie obudzisz, i ty pośpisz trochę.

- Dobrze. W porządku. Ty śpij pierwszy.

Ted potrząsnął głową:

- Claire, od tygodni nie robię nic innego, tylko śpię. Zamieńmy się dziś rolami. Ty się połóż, a ja będę czuwał. Gdy coś usłyszę, natychmiast cię obudzę.

Wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę. Przed pójściem spać zdjął spodnie i starannie złożył w nogach pościela. Teraz po nie sięgnął, niezdarnie wcisnął stopy w nogawki, podciągnął i zapiął. Odsunął się od pościeli w stronę ściany i gestem zachęcił, by się położyła. Gdy wciąż się wahała, chwycił ją za łokieć i pociągnął delikatnie w dół.

Bez słowa położyła się na pościeli, na którym tak niedawno leżał on. Czowała jego ciepło. Pozwoliła, by naciągnął na nią kołdrę, a ponieważ nie zdjęła palta, wreszcie przestała odczuwać ten dojmujący chłód, przestała drżeć. Prześcieradła pachniały cudowną świeżością. Ted, siedząc przy ścianie, sięgnął ponad nią ręką, po czym uchylił tajemne drzwi, a także drzwi do szafy.

- Co robisz? - spytała.

- Zawsze uchylam trochę drzwi, by wpuścić nieco świeżego powietrza.

Zaczęła się nad tym zastanawiać, ale jej myśli uciekały, gubiły się w nielogicznych ciągach.

- A więc słyszysz mnie, gdy jestem w sypialni – wyszeptała w końcu. Nie odpowiedział, a ona niemal natychmiast zapadła w sen bez snów.

Cisza. Sen Claire był nadzwyczaj spokojny i Ted zaczął myśleć o tym spokoju jak o rodzaju niewinności. Przyglądał się jej od kilku godzin. Gdy zaszedł księżyc, zarys jej twarzy stał się niemal niedostrzegalny. Teraz, wraz z nadchodzącym brzaskiem, przez okienko w dachu przesączało się szare, cieniste światło i Ted znów mógł patrzeć na jej twarz i niezwykle kształt ust.

Jej ciało było idealnie nieruchome. Leżała zwinięta w kłębek, z dłońmi złożonymi pod szyją. Ted siedział oparty o ścianę, z chorą nogą wyciągniętą przed siebie, zdrową - zgiętą w kolanie, na którym oparł ramię.

Myśl o jej niewinności zakiełkowała mu w głowie na długo przedtem, zanim ujrzał ją śpiącą. W jej sposobie mówienia - gardłowym tonie, wahanu przy doborze słów, niegramatycznych wyrażeniach, dziwacznych frazach, poezji błędów – było coś, co kazało mu tak o niej myśleć. Choć, oczywiście, Ted zdawał sobie sprawę, że to ułuda, że jej specyficzny język nie jest niewinnością, ale tylko niewinną fasadą. Gdyby on spróbował mówić w jej języku, po francusku, nikt nie pomyślałby o nim jako o istocie niewinnej i nieskalanej - ale wzięłby go za imbecyla. A przecież Ted wiedział najlepiej, jak daleko było mu do niewinności.

Równie daleko jak Claire. Pomyślał o tym, co w życiu widziała, czego musiała być świadkiem. Pomyślał o jej darze właściwego oceniania sytuacji - mądrości niezbędnej do przetrwania. Nikt w tym kraju i prawdopodobnie w całej Europie - może z wyjątkiem najmniejszych dzieci - nie był niewinny i nieskalany.

W tym momencie zaczął też rozmyślać o chłopcu, który uratował mu życie. O odwadze tego dziecka. Czy on, Ted, w wieku dziesięciu lat, zdobyłby się na taki czyn, odważyłby się na coś podobnego? Bardzo chciałby się dowiedzieć, co się dzieje z tym chłopcem - czy represje dotknęły także jego rodzinę? Claire mówiła o egzekucjach, i w tym słowie nie było żadnej poetyckiej licencji. Ta kobieta wiedziała od początku, tylko chciała mu oszczędzić pewnych faktów.

Przyglądał się badawczo jej pogrążonej we śnie twarzy. Pasma włosów opadło jej na czoło. Miała lekko rozchylone usta. Ted pożądał Claire od

pierwszej nocy, gdy przyniosła go do swojego domu, chociaż nie mógł zrozumieć tego pożądanego. Dlaczego akurat ta kobieta, a nie inna? Przecież nie dlatego, że tylko ona była teraz w pobliżu, ponieważ w Anglii, gdy był w świetnej formie i czuł zdrowy pociąg do kobiet, mógł mieć ich wiele - a jednak żadnej nie pożył tak nieodparcie jak tej. Wiedział, że to silne, fizyczne przyciąganie, ale nie tylko seksualne. Czuł potrzebę związania się z nią, ciągłego jej dotykania. Pożył nie tylko ciała tej kobiety, ale jej całość, a szczególnie tej jej części, która wciąż pozostawała dla niego tajemnicą. Nie była to tylko kwestia jej urody - choć już wiedział, że do końca życia mógłby patrzeć na ten niezwykły kształt ust; nie chodziło też o jej ciało, które pierwszej nocy widział w blasku świecy przeświecające przez koszulę, i zaledwie kilka godzin temu przeświecające przez podobną koszulę, gdy podawał jej palto. Nie był to też tembr jej głosu - głęboki, gardłowy, niemal hipnotyczny, który nawet w tej chwili dźwięczał mu w głowie. Wydawało mu się, że nawet nie jest to kwestia kombinacji tych wszystkich fizycznych atrybutów. (A może tak? Czy to możliwe, że określone połączenie pewnych cech wzbudza w drugim człowieku tę szczególną reakcję chemiczną?). Jednak jego pożyłanie nie było tylko fizyczne - tego był całkiem pewien. Zawierało w sobie wszystko to, czego jeszcze od niej nie dostał. Tajemnicza nieporadność jej języka pobudziła go, pokazała określoną barierę i tym samym skazała na podążanie tropem kobiety, której nigdy nie zdoła poznać do końca, a więc której będzie pożyłanie wieczne.

Słabe światło brzasku - niczym wywoływacz na emulsji kliszy - wydo było także na powierzchni zarys twarzy Stelli i jej uśmiech uwidoczniły na pomiętej fotografii leżącej na podłodze przy posłaniu. Ted już zdradził swoją narzeczoną, mimo że jeszcze nie dotknął leżącej u jego boku Belgijki. Jednak przyznanie się do swego pożyłania było już prawdziwą zdradą.

Powinien teraz za wszelką cenę skupić się na myślach o Stelli - która naprawdę była niewinna - i o Henrim Daussois. Nie mógł jednak myśleć o Henrim, nie przywołując jednocześnie na pamięć tych przyprawiających o

dreszcz odgłosów, które dobiegły go zza ściany kilka godzin temu - dwadzieścia? – gdy Henri leżał w łóżku z żoną. Ted nie zrozumiał ani słowa z historii opowiadanej przez Henriego, ale wymowa dziwnych, dławiących dźwięków była oczywista, podobnie jak odgłosów, które nastąpiły zaraz potem, odgłosów, które za wszelką cenę chciałby wymazać z pamięci.

już sama myśl o zdradzie wobec Stelli była straszna, ale jeszcze straszniejsza była świadomość zdrady wobec Henriego. Bo choć Ted marzył o tym, by mąż Claire zniknął na zawsze, nie mógł uciec od oczywistej prawdy: Henri Daussois pomógł ocalić mu życie, a także życie innych lotników i być może nawet w tym momencie ryzykuje swoje własne, by nie zdradzić miejsca pobytu Teda. Dotknięcie Claire, a nawet mówienie jej -

tak jak to zrobił dzisiaj wieczorem w kuchni - że ma przepiękny głos, było nadużyciem wobec jej męża i wobec wszystkich tych ludzi, którzy starali się go ocalić.

Rozejrzał się ponownie po niewielkiej przestrzeni, w której spędził ostatnie dziewięć dni. Znowu zadźwięczały mu w uszach niemieckie słowa, kroki ciężkich butów tuż obok jego głowy. W tej chwili strych był jedyną istniejącą rzeczywistością, jedynym światem - światem, w którym z największą ochotą pozostałby na zawsze. Powiedziała: „W tej wojnie nie ma żadnych targów”. Ted sam wiedział, że ta wojna zmieniła wszystkie zasady, zniekształciła nie do poznania wszystkie reguły.

Opuścił kolano, przesunął się lekko. Sięgnął po fotografię Stelli i wcisnął pomiędzy strony tomiku poezji. Położył się na boku, wsparł na łokciu. Teraz jego twarz znalazła się zaledwie kilka centymetrów od twarzy Claire. Badawczo wpatrywał się

w jej rysy, studiował kształt głowy. Wyciągnął palec i przejechał po ustach niezwykłego kształtu. Jego dotyk ją obudził. Otworzyła oczy. Ted przyłożył jej palec do warg - tym samym gestem, jaki ona wykonała wcześniej.

- Rozumiesz? - zapytał.

Zawahała się, po czym kiwnęła głową.

Ted pochylił się i dotknął ustami jej szyi. Po chwili wtulił w nią twarz, wdychając jej aromat. Sięgnął do jej włosów - gęstych, ciemnoblonde - i tak jak marzył od wielu dni, wsunął w nie palce. Po chwili wyczuł lekki ruch, poczuł jej dłoń na swojej szyi.

Usiadł i rozpiął jej palto. Zsunął ramiączko nocnej koszuli. W tym momencie zalała go mieszanina podniecenia i nie- zwykłego spokoju. Przed oczami stanęły mu majaki, jakich doświadczył w lesie. Klęczał i z delikatnej tkaniny odwijał kobietę.

8 LUTEGO 1944

Przez chwilę wyglądał przez szybę, potem odemknął metalową zasuwę i otworzył okno. Chociaż powietrze wciąż było zimne, unosił się w nim zapach ziemi. Ted przypomniał sobie wiosnę w Ohio, gdy farmerzy wylęgali na pola, by zaorać pola, przekształcić szary, skalisty krajobraz w żyzne, czarne pagórki. Ted wiedział jednak, że to co w tej chwili dzieje się za oknem, nie jest prawdziwą wiosną, lecz jedynie drażniącą jej namiastką. Ostatecznie był dopiero początek lutego.

Po raz pięćdziesiąty pokonywał swoją trasę: od drzwi, wzdłuż stołu, do pieca, obok pompy, komody i wieszaków, wzdłuż drugiego końca stołu znowu do drzwi. Oszacował tę trasę na dwadzieścia osiem stóp. Sto okrążeń - to mniej więcej pół mili. Jeśli Claire zaraz nie wróci, zacznie się wspi- nać po schodach.

Był już w tym domu ponad miesiąc, a dwadzieścia dni upłynęło od nalo- tu gestapo. Dwadzieścia dni od tego popołudnia, gdy Henri zszedł do podziemia wraz z innymi Maquis. Dwadzieścia dni od chwili, gdy Ted i Claire po raz pierwszy się kochali. Ted zastygł w bezruchu, jak zawsze gdy myślał o ich zbliżeniu. A pamiętał szczegółowo każdy z tych dwu- dziesięciu dni, każdą chwilę, gdy jej dotykał.

Ten pierwszy raz był pełen niepewności, najniewinniejszy - oboje jeszcze nic o sobie nie wiedzieli. Ogarnęła ich jednak szczególna gorącz- ka, jak gdyby dany był im tylko ten jeden raz, jak gdyby w każdej sekun- dzie mogli zostać zdemaskowani. Ted pamiętał, jak przyglądał się jej przez całą noc, jak obudził ją, obwodząc palcem kontur jej ust. Dziwne, ale odniósł wrażenie, że ona doskonale wiedziała, iż on jej dotknie. Wcią- gnęła lekko szyję i ten gest utwierdził Teda w przekonaniu, że będą się kochać. Pod paltem miała jasnokremową koszulę nocną. Ted zsunął cien- kie ramiączka i spojrzał na jej piersi. Claire nie dotknęła jego ubrania (czy dlatego, że kiedyś należało do kogoś, kogo znała?), czekała, aż rozbierze się sam. Jednak nie okazywała ani cienia nieśmiałości czy wahania. Poca-

łował ją i już do końca życia miał nie zapomnieć uczucia spokoju i ulgi, jakie go wówczas ogarnęło. Jej skóra była gładka - śmietankowa, pomyślał - również pod koszulą, teraz podciągniętą do bioder. Ted wodził ręką po jej cudownie ukształtowanych piersiach, cienkiej talii, długich nogach. Przez cały ten czas nie wypowiedziała ani słowa. Ted od bardzo dawna nie miał kobiety i martwił się, czy jej nie rozczaruje. Ale cudownie odnaleźli się nawzajem. Doskonale pamiętał tę mieszaninę strachu i niebywałego szczęścia - to dziwne uczucie, którego nie doświadczył nigdy przedtem. Zaledwie kilka godzin wcześniej o mały włos nie zostali aresztowani przez gestapo. Ted nigdy nie miał równie silnej świadomości upływu czasu, jak owej nocy - smakował każdą minutę, każdą sekundę. A potem już nie miał ochoty na sen. Gdyby mógł, nie spałby już nigdy w życiu. Miał wrażenie, że gdyby zamknął oczy, mogłoby go ominąć coś cennego i niezwykłego. Ponownie otulił ją paltem, zamotał w ten swoisty kokon. Miała potargane włosy, a spod rąbka koszuli wystawały jej bosa stopy. Ted trzymał ją w objęciach, kiedy spała. Pamiętał wyraźnie, że gdy na chwilę otworzyła oczy i ujrzała go przy sobie - uśmiechnęła się. Zanim zdążył wypowiedzieć choć słowo, chwyciła jego dłoń i przywarła ustami do palców. Było to najbardziej zmysłowe doznanie w całym jego życiu - nawet teraz, gdy przywoływał je na myśl, czuł jego obezwładniającą moc: ilekroć stawał mu przed oczami obraz jej ust na jego palcach, natychmiast miał ochotę kochać się z nią znowu. Tak jak zrobił to wówczas, zanim w końcu zapadł w sen.

Miał teraz tak wiele cudownych wspomnień - setki wspomnień z zaledwie dwudziestu dni. Wydawało mu się niezwykle, że najszcześniejsze dni jego życia nadeszły w czasie tej strasznej wojny. Ted uważał, że najprawdopodobniej były to także najszcześniejsze dni w życiu Claire. Wiedział, że ją uszczęśliwia, był tego absolutnie pewien. Chociaż ona nigdy nie mówiła o tym, co ich łączyło, w jej zachowaniu, jej gestach - jak na przykład wyginaniu pleców, przeczesywaniu włosów rękami, potrząsaniu puklami - przejawiało się niezwykle zadowolenie. Czasami, gdy Claire wodziła rękami po włosach, odwracała się do niego i uśmiechała. Ted uwiel-

biał przyglądać się jej w tych momentach, szczególnie gdy była naga i wraz z ramionami w górę wędrowały jej piersi.

Przez dwa dni po nalocie gestapo ukrywali się na strychu. Wychodzili tylko na krótko, gdy naprawdę musieli. Przez większość tego czasu Ted tulił ją do siebie pod kołdrą. Claire była wyjątkowo spragniona snu. Mówili bardzo niewiele, jakby wyczuwali, że to interludium jest niezwykle kruche, i wszystko - nieodpowiednie słowo, nieodpowiednie wspomnienie

- może je zniweczyć. Trzeciego dnia, gdy już nie jedli od dwudziestu czterech godzin, Claire kręciło się w głowie. Kiedy się podniosła, by włożyć sukienkę, lekko chwiała się na nogach. Ted chwycił ją za ramię. Powiedział, że to on pójdzie do miasteczka po żywność i wodę. Pokręciła energicznie głową i zapytała: „Czyś ty oszalał?”, po czym oznajmiła, że pójdzie specjalną, zaplanowaną przez siebie trasą. Z nogą w tak fatalnym stanie Ted nie mógł się jej stanowczo przeciwstawić. Jednak te godziny, gdy jej nie było, stanowiły dla niego istną udrękę. Każdy nieznany dźwięk, każde skrzypnięcie w starym domu napawały go lękiem, że została złapana. Tymczasem Claire dotarła do sklepiku madame Omloop, korzystając z okrzężnej drogi przez las. Wróciła ze skąpymi racjami i przerażającymi wiadomościami: dziesięciu mieszkańców wioski skazano na śmierć przez powieszenie; trzydziestu siedmiu deportowano na wschód do obozów pracy. Wiele osób ciężko pobito, między innymi Jeana Benoit, chłopca, który odnalazł Teda w lesie.

Ted trzymał ją mocno w ramionach, gdy mówiła cicho przez łzy: „Doskonale znałam tych wszystkich ludzi, którzy zostali powieszoni. Znałam ich przez całe życie”.

Przytulił jej głowę do swego ramienia. Ogarnął go potężny gniew. Nienawidził nazistów, niekiedy przerażali go, gdy był w powietrzu. Ale nawet wtedy nie zdawał sobie w pełni sprawy z bestialstwa i makabry prowadzonej przez nich wojny. Niekiedy przez okno kokpitu mignęła mu twarz niemieckiego pilota, ale poza tym nigdy nie stawał twarzą twarzą z wrogiem.

Samolot był swoistym buforem. Nie tylko dlatego, że stanowił metalowy

pancerz; dawał złudne wrażenie, że wojna powietrzna to rodzaj gry, w której liczą się określone umiejętności i inteligencja. Ted znał pilotów, którzy niemal z rewerencją mówili o niemieckich lotnikach, z którymi wdawali się w potyczki. W powietrzu łatwo było ulec kojącemu przeświadczeniu, że oto walczą ze sobą ludzie tego samego pokroju, o podobnych poglądach. Tymczasem tutaj, na belgijskiej ziemi, gdzie dziesięciu niewinnych zakładników zostało powieszonych, nie sposób było znaleźć jakiś bufor, cokolwiek pozwalającego na uspokajającą ułudę.

- Sądzę, że jak najszybciej powinniśmy się stąd wynosić - oświadczył Ted. - Powinniśmy spróbować przedrzeć się przez granicę.

Claire odsunęła się od niego, odwróciła wzrok.

- Nie - odparła stanowczo. - Teraz to niemożliwe. - Otarła policzki i potrząsnęła głową. - Poza tym dowiedziałam się, że gestapo nie poszukuje mnie, ale Henriego. Dlatego najlepiej, żebyśmy tu zostali i nie ściągali na siebie uwagi.

Ted nie umiał jej przekonać, a ponieważ jego noga wciąż była w bardzo złym stanie, nie mógł jej zmusić do wyjazdu. Była silniejsza od niego. Mimo to upłynęło kolejnych pięć dni, zanim odważyła się ponownie udać do miasteczka. Przez te pięć dni dużo ze sobą rozmawiali.

- Czy masz jakąś rodzinę w Delahaut? - zapytał ją pewnego ranka.

- Tuż przed wojną wszyscy przenieśli się do Charleroi.

Moja matka jest już dość niedołączna, a ja jestem ostatnia z jedenaściorga dzieci.

- Jedenaściorga? - W jego rodzinie było ich tylko troje: Frances, Ted i Matt, a i tak czasami wydawało się, że to o wiele za dużo.

- Tak, przy takiej liczbie dzieci w domu był wręcz tłok, kiedy dorastałam, ale niektórzy byli już wówczas całkiem dorośli i mieli własne dzieci. W ten sposób jestem ciotką osób starszych ode mnie.

- To skomplikowane.

- W Delahaut rodzina jest... hmm... nadrzędna. Tak? Rodzina jest najważniejsza. Wszystkie święta obchodzi się rodzinnie. A do tego wielu mieszkańców jest ze sobą skoligaconych. Ja jestem kuzynką Henriego.

Ted podniósł się i wsparł na łokciu.

- Kuzynką? Czy to dozwolone?

- Daleką kuzynką. Więc wszystko w porządku.

Claire odwróciła od niego wzrok. Leżała pod kołdrą całkiem naga. Ted powiódł palcem wzdłuż linii jej włosów do skroni, potem wokół ucha, zastanawiając się, jak zadać jej następne pytanie, by zabrzmiało zdawkowo. Językiem zaczął wodzić po jej uchu. W końcu się odważył:

- Czy wyszłaś za Henriego z miłości? Czy go kochasz? - wyrzucił z siebie o wiele bardziej gorączkowo, niż zamierzał.

Claire spojrzała mu w oczy. Między nimi nigdy nie padło słowo „miłość”. Kiedyś powiedziała mu, że uwielbia jego twarz. Ale nigdy nie użyła słowa „kocham”.

- Od dziecka wiedziałam, że poślubię Henriego. To nie było aranżowane małżeństwo, jak za dawnych czasów, ale wiedziałam. W takim małżeństwie miłość nie jest najważniejsza, prawda?

Ted niemal się uśmiechnął. Może nawet rzeczywiście się uśmiechnął.

- Pewnego dnia do tego domu przyjdzie moja matka i wtedy ją poznasz. Ona jest *marraine de guerre*.

- A co to takiego?

- Wojenna matka chrzestna.

- Nie rozumiem.

- Moja matka pisuje listy do belgijskich żołnierzy, będących w niemieckiej niewoli, którzy nie mają żadnej rodziny. Oni po jakimś czasie zakochują się w niej i przysyłają jej listy miłosne, a ona jest bardzo młodą kobietą, ma siedemdziesiąt trzy lata. Uwielbiam czytać te listy. To słodkie, prawda?

Dużo opowiadali sobie nawzajem o latach dzieciństwa – on jej o Frances, ona jemu o swojej matce, on o tym, jak się czuł w Anglii, a ona o swoich nadziejach na studia uniwersyteckie. Prawie wcale nie mówili o wojnie, ale po pięciu dniach Claire znów musiała iść do miasteczka. Nie mieli już żywności ani wody. Tym razem wróciła z informacją, że gestapo wycofało

się do St. Laurent, a oddziały posiłkowe do Florennes. Nad miasteczkiem zawisło dziwne poczucie powrotu do normalności. Nawet szkołę znowu otwarto dla uczniów, chociaż Claire nie miała pojęcia, jak nauczyciele zdołają usunąć z klas ślady krwi.

Znowu dowlóknął się do okna, wyrżał, czy przypadkiem nie nadjeżdża Claire. Obiecał jej, że nie będzie wychodził z domu. Niekiedy na progu znajdowali paczuszki z żywnością: serem, marchwią, cebulą, kiełbasą, chlebem, czy też innymi artykułami: kostką mydła, skarpetkami, a raz nawet paczką papierosów, którą zachłannie wypalili jeszcze tego samego dnia. Claire wyjaśniła, że te paczuszki pochodzą od ludzi z miasteczka, którzy, choć sami nie należą do Maquis, wspierają czynem i słowem ruch oporu.

- To oni wiedzą, że jestem u ciebie? Że mnie ukrywasz?

- Tak. Niektórzy.

- A ty się tym nie przejmujesz? Nie boisz się zdrady?

- Tak - odparła beznamiętnie. - Zawsze boję się denuncjacji. Myślę o tym każdego dnia. Ale ci, którzy zostawiają te paczki? Wierzę, że to dobrzy ludzie, którzy chcą nam pomóc.

- A czemu mieliby nam pomagać?

- Ty nie rozumiesz. My, Belgowie, uważamy, że Amerykanie... nas wybawiają. Są naszymi zbawcami, tak? Francuzi - tu pokręciła wymownie dłonią - oni nie są tego tacy pewni, ale my tu w Belgii nie mamy wątpliwości.

W tym momencie Ted poczuł się całkiem zbity z tropu.

- Ależ, Claire, jak ty czy ktokolwiek inny może uważać mnie za zbawcę, jeżeli jestem odpowiedzialny za tak wiele śmierci?

- Ty nie jesteś odpowiedzialny.

- Oczywiście, że tak. W miasteczku wielu ludzi musi przeklinać ten dzień, gdy spadliśmy z nieba. Dziesięć osób powieszonych? Trzydzieści siedem deportowanych?

- Znowu nie rozumiesz. Czasami w Belgii dostajemy... niekiedy angielskie czy amerykańskie bomby spadają na belgijską ziemię... hmm... przez pomyłkę? Albo jakieś wioski zostają bezpośrednio zbombardowane, bo obok nich są niemieckie bazy. Ale my, Belgowie, to rozumiemy. Bez was, lotników, Belgia nigdy nie stałaby się znowu Belgią.

Niekiedy w podrzucanych paczkach znajdowały się zakamuflowane informacje o Henrim: wysadzony most we Florennes; sabotaż przy tamie w St. Laurent. Nigdy jednak nie było żadnej wiadomości od Henriego. Ted bacznie wpatrywał się w twarz Claire, gdy czytała te biuletyny. Tłumaczyła je dla niego i wyjaśniała ich znaczenie, ale dyskutowali jedynie o suchych faktach i nigdy przy tej okazji nie wspominali jej męża. Ted założył, że Claire zawarła sama ze sobą jakiś tajemny pakt, którego ceny mógł się jedynie domyślać. Gdy chodzi o niego samego, starał się w ogóle nie myśleć o Henrim.

Stan jego nogi poprawiał się z dnia na dzień. Dwa razy Claire wyprowadziła go na dwór w bezksiężycową noc i razem przeszli od domu do obory i z powrotem - były to uskrzydlające wyprawy dla mężczyzny siedzącego przez tyle dni na strychu. W czasie drugiego spaceru Claire znalazła wiadomość (w cennej puszcze kakao), mówiącą, że szlak przerzutowy jest częściowo spalony. Claire zacisnęła zęby, wyraźnie przerażona, ale Ted w pierwszej chwili nie pojął wagi tej informacji. Fakt, że lokalna trasa przerzutowa przestała istnieć i będzie musiał czekać aż do utworzenia no-

wej siatki - uznał za cudowne zrządzenie losu. Z tą kobietą mógłby żyć tu całymi miesiącami, latami - niekiedy nawet zaczynał myśleć, że mogłoby się to stać jego całym życiem, jego przyszłością. Jednak gdy Claire wyjaśniła mu pełne znaczenie tej wiadomości - denuncjacje, aresztowania, tortury, dalsze denuncjacje - natychmiast pożałował swojego niewczesnego egoizmu i poczuł wielki strach o Claire. Jeżeli ona i Henri byli trybikami w tym przedsięwzięciu, czy nie grozi jej zdemaskowanie?

Przez dwa następne dni przebywali cały czas w pobliżu kryjówki na strychu, poruszali się z wielką ostrożnością, nasłuchiwali dźwięków dochodzących ze dworu. Ale potem stali się mniej przezorni - prowadzili długie, nocne rozmowy przy kuchennym stole w blasku stojącej między nimi świecy. Każdego wieczoru słuchali BBC - zakazanego owocu samego w sobie - w ich wypadku jednak stwarzającego dodatkowe zagrożenie, bo uniemożliwiającego wyłapanie jakichś niezwykłych odgłosów. Jednej nocy Ted nakłonił ją, by z nim zatańczyła, mimo że wciąż bardzo kulał - pomyślał wówczas, że gdyby ktoś na nich patrzył, musiałby to uznać za niezwykle komiczny spektakl. Ale jemu wystarczyło, że trzyma ją w ten szczególny sposób w ramionach, i marzył, że pewnego dnia będą tańczyć razem w Nowym Jorku lub Paryżu.

- Powinnam uczyć cię francuskiego.

- Uczę się wielu innych rzeczy.

W ciągu dnia czytał jej czasami wiersze z tomiku angielskiej poezji bądź opowiadał historie swoich wojennych przeżyć w powietrzu. Zawsze starał się, aby jego powiastki brzmiały zabawnie lub niezwykle, by wywoływały uśmiech najej twarzy. Niekiedy zdumiewało go, jak bardzo wyczerpujące fizycznie jest życie na farmie. Gdy uznali, że gestapo jednak nie obserwuje farmy, Ted poszedł z nią do obory, by pomóc w codziennych obowiązkach: dojeniu, karmieniu małego stada, usuwaniu gnoju. Samo pranie ubrań zabierało jej niemal cały dzień. Ted nie mógł się nadziwić widokowi wielkiej dębowej balii z paleniskiem pod spodem, przytwierdzonemu

do niej drewnianemu urządzeniu w kształcie litery T, za pomocą którego
miesiła



ubrania w balii. Potem wciąż namydlone pranie rozkładała na trawie, by wybielało w słońcu, a na koniec płukała i przepuszczała przez drewnianą wyżymaczkę. Claire codziennie też piekła chleb, a potem kroїła go w dziwny dla Teda sposób -przyciskając bochenek do piersi i ciągnąc nożem ku sobie.

Kiedy nie pracowała, gdy nie czytali i nie słuchali radia - kochali się. Zachwycało go, że robią to tak często, ale niekiedy i przerażało. Było tak, jakby oboje wiedzieli, że to, co zostało im dane - nie może długo trwać. Kiedy Ted po nią sięgał, nigdy go nie zniechęcała, nie odtrącała. Zdawała się pragnąć tego równie gorąco jak on - a nie była to już jedynie czysto fizyczna żądza, ale raczej pragnienie, by poznać do końca i do końca zostać poznanym przez tę jedną, szczególną osobę. Ted często nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że ową wyjątkową kobietą jego życia stała się ta Belgijka, poślubiona innemu mężczyźnie - mężczyźnie, od którego w pewnym sensie zależało jego przeżycie. A czasami z kolei myślał, że ta miłość to zrządzenie losu, tak jak zrządzeniem losu zapewne było zestrzelenie jego samolotu.

Nad zlewem wisiało małe lusterko w malowanej ramce (pomyślał, że zapewne służyło Henriemu do golenia), i teraz Ted zatrzymał się w połowie swej trasy, by w nie zerknąć. Stracił na wadze co najmniej dziesięć funtów, twarz miał bardzo szczupłą, niemal wychudzoną. Wyglądał zdecydowanie starzej niż zaledwie parę tygodni temu. Ujrzał też nieznaną sobie krój kołnierzyka bawełnianej koszuli, do której już zresztą zdążył przywyknąć. Jego mundur został spalony, blaszki nieśmiertelnika zakopane. W ten sposób po poruczniku Theodorze Aidanie Brice nie pozostał żaden namacalny ślad z wyjątkiem fotografii Stelli, wciąż wetkniętej między strony tomiku poezji. Fotografii, na którą nawet nie rzucił okiem od dwudziestu dni. Ted zaczął się zastanawiać, czy tu w Belgii bądź też sąsiedniej Francji znajdują się jacyś amerykańscy lotnicy, którzy - pozbawieni swoich mundurów - zdecydowali się pozostać na zawsze zaginionymi, nigdy nie ujawniać swej prawdziwej tożsamości, nawet po zakończeniu wojny. Pomyślał też o swoim nawigatorze, który bez zezwolenia znalazł się w pokoju hotelo-

wym w Cambridge. Czy rzeczywiście mógłby już nigdy nie powrócić? Wtopić się w ten świat i tutejsze życie, nadać sobie nową tożsamość - stać się Pierre'em, Jacques'em czy Theo? Nagle możliwość tak całkowitej anonimowości, pełnej zmiany swego życia, wydała mu się rozkosznie nęcąca.

Co jednak ze Stellą? I z Frances?

W tym momencie usłyszał chrzęst kół roweru na żwirze.

Ledwo przekroczyła próg, a już wsunął jej dłoń pod palto, zaczął je ściągać z jej ramion. Balansując niebezpiecznie na zdrowej nodze, drugą dłonią chwycił ją za szyję. Niecierpliwymi pocałunkami zasypał jej usta, uszy, włosy. Pakunki, które trzymała w rękach, boleśnie wpiły mu się w zębra. Ted odsunął ją od siebie odrobinę, by spojrzeć jej w twarz, i w tym momencie stracił równowagę. Poleciał na drzwi wejściowe, pociągając ją za sobą. Osadzone w nich szybki zabrzęczały złowrogo, tak że przez chwilę się obawiał, czy nie popękają.

- Zaskakujesz mnie - rzuciła zdyszana.

Miała zarumienioną twarz i szminkę rozmazaną w prawym kąciку ust. Ted chwycił jej gęste włosy i uniósł ponad głowę.

- Za każdym razem, gdy wychodzisz, bardzo się o ciebie martwię - oznajmił.

Spuściła wzrok i Ted natychmiast pożałował swych słów, bo wywołały coś, czego zawsze starał się unikać – nieuchronny moment lęku, wyrzutów sumienia, zmieniających wyraz jej twarzy, zabierających radość, którą - jak wiedział - potrafił jej dać. Poruszyła nieznacznie pakunkami i wywinęła się z jego objęć.

Ted doskonale znał trasę, którą pokonywała Claire, by dotrzeć do sklepu madame Omloop - w każdej chwili mógł ujrzeć dowolny fragment oczami wyobraźni, mimo że nigdy jej w rzeczywistości nie widział - w ogóle nie widział miasteczka, poza przelotnym rzutem oka z opadającego samolotu. Długa, piaszczysta droga przez las, prowadząca do skraju miasteczka, wysokie mury cementarza i brukowane, wąskie uliczki, potem rynek z fontanną i sklep, gdzie Claire kupowała żywność na kartki i niekiedy też odbierała wiadomości.

Wpatrywał się w jej plecy, gdy wyjmowała produkty ze sznurkowej siatki.

Coś było nie w porządku.

Widział to wyraźnie: ową bliżej nieokreśloną sztywność w jej ruchach.

- Co się dzieje w wiosce? - zapytał, starając się nadać swojemu głosowi najbardziej zdawkowy ton.

- Jest bardzo... - zdawała się szukać odpowiedniego słowa-...cicho.

- Coś jest nie tak - rzucił szybko.

Claire nie odpowiedziała. Metodycznie wyjmowała paczki z siatki i odwijiała z papieru. Wciąż stała przy drzwiach.

- Claire...

Wciąż milczała. Odwróciła się i unikając jego wzroku, zdjęła płaszcz, po czym odwiesiła na kołek. Schyliła się, by włożyć ser i kielbasę do skrzynki z lodem. Na stole została gruszka. Jedna gruszka.

-To *poire*...

-Gruszka.

- Tak. To rzadkość. Od madame Omloop.

-Claire.

- W piątek cię przerzuca.

Miała na sobie sukienkę, którą lubił najbardziej - z brązowej, przypominającej jedwab tkaniny, mocno podkreślającą talię, z wutowanymi ramiionami, o wąskich rękawach, wykończoną przy szyi jak bluzka, zapinaną na obciążane tym samym materiałem guziki. Z prawej strony pasma ciemnoblonde włosów spływały jej wzdłuż policzka, z lewej - wciąż były zwinięte

w staranny węzeł.

Ted zamknął oczy.

W piątek. Za cztery dni.

- Nie pójdę - usłyszał nagle swój własny stanowczy głos. Aż do tej chwili nigdy by nie przypuszczał, że kiedykolwiek wypowie podobne słowa.

- Przyjdą po ciebie wieczorem - odparła spokojnie, jak gdyby w ogóle go nie usłyszała.

- W takim razie ty pójdziesz ze mną. - Nagle poczuł, jak strach skręca mu żołądek w ciasny węzeł.

- To niemożliwe.

- Musisz iść ze mną - zaczął nalegać. Ruszył w jej stronę, ale zatrzymała go, unosząc dłoń.

- To niemożliwe. Nie mam odpowiednich papierów.

- W takim razie zdobędziemy je dla ciebie. Jeżeli mogą...

- Nie - przerwała mu gwałtownie. - Nie będą mi robić żadnych papierów. Zaczekam tu na swojego męża. - Postąpiła krok w tył i obiema rękami wymacała stół. - Zaczekam na niego, bo gdybym odeszła, to tak jakbym go zadenuncjowała. Mój mąż nie mógłby już nigdy wyjść z ukrycia. Nigdy.

Aż do skończenia wojny.

Ted stał przy drzwiach nieruchomy jak posąg. W ostrym świetle, nawet z tej odległości, widział jej delikatne rysy. I nagle przyszło mu na myśl, że musi dobrze zapamiętać tę twarz. Gorączkowość, z jaką kochał się z nią pierwszej nocy, teraz zbladła w- porównaniu z gwałtowną potrzebą, którą poczuł w tym momencie: zostały mu tylko cztery dni kochania tej kobiety.

- Nigdzie nie pójde - powtórzył.

Jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Ona już przedstawiła argumenty. Wiedział jednak, że za jakiś czas do nich wróci, powtórzy spokojnie to, co powiedziała.

Zrobił krok w jej stronę.

- Kiedy wojna się skończy, będziesz mogła odejść od Henriego. Wtedy to będzie w porządku.

Ani drgnęła.

- Przecież go nie kochasz.

Uniosła głowę, odwróciła wzrok. Poruszyła nieznacznie ustami, zaciśnęła je lekko, jakby przygryzała od środka wargę, ważyła jakąś decyzję.

- Jest wojna - odparła, zwracając ku niemu twarz.

W tym momencie, z zupełnie niezrozumiałych powodów, miał ochotę przed nią uklęknąć.

- Proszę, nie rozmawiajmy o tym więcej - powiedziała.

Ted podszedł do niej szybko, objął ramionami. Jej włosy wydzielały silny aromat - mieszaninę, jak zawsze o rym myślał, zapachu zwierzęcej sierści i mydła.

Zamknął oczy. Powiódł ręką wzdłuż jej pleców. Wiele razy widział zarys jej kręgosłupa, wszystkie sterczące kręgi. Patrzył na biel wewnętrznej strony jej ud. Smakował jej skórę – słonawą tuż ponad piersiami. Czyż te akty, te najbardziej intymne akty w jego życiu, nie wiążą ich już na zawsze razem?

Najgorsza z tego wszystkiego była świadomość, że zostały im zaledwie cztery dni. Ted wolałby być zabrany bez żadnego uprzedzenia, niespodziewanie, nawet gdyby miało to oznaczać brak czasu na pożegnanie. To jak ze śmiercią. Wierzył niezachwianie, że najgorsza jest świadomość spadania, a nie samo spadanie. Pomyślał o strzelcu, który wypadł z samolotu; miał nadzieję, że stracił przytomność natychmiast, gdy zaczął opaść. Pomyślał także o mieszkańcach miasteczka, skazanych na powieszenie, wyprowadzanych na miejsce kaźni. Te chwile oczekiwania. Jedynie minuta, dwie, by wszystko w życiu naprawić. I nieuchronna świadomość niemożności naprawienia czegokolwiek.

Tak jak i tego, co działo się teraz, nie można było naprawić.

Zaczął się zastanawiać, co się stanie z Claire, gdy on już odejdzie. Nie mógł sobie wyobrazić jej życia, kiedy go zabraknie. Czy będzie się opiekować innymi lotnikami, tak jak się opiekowała nim? Czy będzie sypiać w jednym łóżku ze swoim mężem?

Znowu zadźwięczały mu w uszach jej słowa: „Zaczekam tu na swojego męża”.

Spojrzał w przeciwległe okno i za szybą ujrzał słońce oświetlające zmatowiałą trawę, nasiąkniętą wilgocią ziemię.

Sięgnął po palto i narzucił jej na ramiona. Odsunęła się i na jej twarzy pojawił się wyraz całkowitej dezorientacji.

Przez chwilę wydawało się jej, że będzie próbował pokonać z nią całą trasę do Francji. Wziął ją za rękę, wyprowadził z kuchni i powiodł za oborę, na pola. Claire zdawała sobie sprawę, że są teraz zupełnie nieosłonięci, że nigdy do tej pory – odkąd u niej mieszkał - nie był tak bardzo wystawiony na ludzkie spojrzenia. Mocno kulał, ale widziała, że z dnia na dzień nabiera sił. Podejrzewała jednak, że będzie już kulał do końca życia - zraniona noga zdawała się krótsza od drugiej.

Szli powoli, w milczeniu. Claire nie miała wątpliwości, że to co robią, jest szaleństwem. W każdej chwili ktoś mógł przejeżdżać drogą na rowerze i ich zobaczyć. Przy jego wzroście, blond włosach i podejrzanym utykaniu nie sposób byłoby go wziąć za Belga. A mimo to nie potrafiła odmówić mu tego spaceru, tak jak nie potrafiła zabrać swojej ręki z jego dłoni. Na moment zamknęła oczy. Od chwili, gdy widziała się z madame Omloop i dowiedziała od niej, że trasa przerzutowa została odtworzona i że Amerykanina zabiorą w piątek – czuła się jak odurzona. Wiedziała, że to prawda, że nie będzie już odwołania. I zdumiewało ją jednocześnie, że myśli o tym w taki sposób - jak o wyroku śmierci. Jeszcze tylko cztery dni.

On Odejdzie, a ona nie będzie wiedziała, co się z nim stało. Zostanie przerzucony za granicę i już tej samej nocy ona nie będzie wiedzieć, gdzie on nocuje. A po kilku dniach przyprowadzą do niej innego mężczyznę czy kobietę, by zajęli jego miejsce. Potrząsnęła gwałtownie głową. Niemożliwe, by inny mężczyzna mógł spać na jego miejscu. Na tym miejscu, gdzie tak często się kochali.

Niekiedy, gdy leżała obok niego, modliła się, by Henri już nigdy nie wrócił. Była pewna, że los ją pokarze za podobne modlitwy, ale nic nie mogła na to poradzić. Nigdy nie przypuszczała, że kiedykolwiek w życiu pokocha jakiegoś mężczyznę równie gorąco jak tego Amerykanina. Ted. Takie krótkie, lapidarne imię. Chłopięce imię - nie dla dorosłego mężczyzny. Przed oczami stanęły jej rysy jego twarzy, szczuplejszej z każdym dniem. Czy kiedykolwiek nadejdzie chwila, gdy już nie będzie umiała przypomnieć sobie tej twarzy?

Na dłoni czuła wysuszoną, stwardniałą skórę jego palców. Może rzeczywiście zabierze ją do Francji, gdzie według jej wyobrażeń wszystko było skąpane w kolorach; gdyby cały czas szedł przed siebie, pewnie nie zdobyłaby się na to, by go powstrzymać. Nad polami powiał ostro wiatr. Załzawił jej oczy.

- Drżysz - zauważył Ted.

Miał twarz lekko poczerwieniałą od chłodu. Puścił dłoń Claire i palcami odgarnął włosy z jej twarzy. Wiedziała, że gdyby nawet dostrzegła na drodze rowerzystę, nie próbowałaby powstrzymać Teda czy wyrwać się z jego objęć.

Wsunął dłonie pod jej palto. Claire pozwoliła się porwać chwili - ostatecznie co miała teraz do stracenia? Chwycił ją wpół i położył na ziemi. Ostre, zeschnięte źdźbła traw wpiły się w jej szyję, zakłuły w głowę. Przeszkadzało jej ciężkie ubranie, krepowało ruchy. Poczucia lodowały powiew wiatru na udach. Ted przycisnął usta do jej ucha, napał na nią całym ciężarem. Wydawało się jej, że coś do niej mówi, ale nie była pewna. Próbował okryć ją szczelnie długim paltem Henriego. Pomyślała, że to jak rodzaj namiotu. Miała nadzieję, że Ted ją nim otuli, skryje się wraz z nią przed innymi i zostaną razem na wiele długich dni, aż przetoczą się ciemne chmury.

Ostatecznie postanowiła zaryzykować jazdę ciężarówką. Próbowali pojechać na rowerach - Ted manewrował jak mógł zdrową nogą, a gdy tracił pęd, naciskał pedał samymi czubkami palców chorej nogi, ale to wszystko zabierało dużo czasu i było nadzwyczaj uciążliwe.

Po powrocie do domu z pół ogarnęła ich jakaś niezwykła brawura. Ted oznajmił, że chce znowu znaleźć się poza domem, przynajmniej raz spędzić z nią choćby krótką chwilę, wśród innych ludzi, jak gdyby byli najnormalniejszą parą na świecie. Claire nie potrafiła mu odmówić - jego entuzjazm był zaraźliwy - ale nie zgodziła się, by pojechali do Delahaut. Oświadczyła, że jeżeli chce zaryzykować wizytę w miasteczku, pojedą do sąsiedniej miejscowości, gdzie nie będą się tak bardzo rzucać w oczy.

Stare, poprzecierane palto Henriego sprawiało, że czuł się, jakby ukrywał coś więcej niż tylko swoją narodowość; to palto okrywało go - a przynajmniej tak mu się zdawało - niczym ohydne, bezkształtne poczucie winy. Żałował, że nie ma na sobie swojego polowego munduru. Bładość cery i beret, który wręczyła mu Claire, by zakrył blond włosy - dodawały mu lat. Co zapewne było dla nich w tej sytuacji korzystne. Claire usadowiła się na skórzanym fotelu kierowcy z wyłożonymi kępkami włosia i sprężynami. Ted zachwycał się widokiem jej kolana wystającego spod spódnicy. Na głowie miała kwiecistą chustkę, zamotaną w pośpiechu na gęstych włosach.

W lesie droga była nierówna i miejscami bardzo zdradliwa. Niekiedy stwardniałe koleiny sprawiały, że kabiną trzęsło gwałtownie na wszystkie strony; w pewnym momencie Ted odruchowo obciążył chorą nogę i twarz wykrzywił mu spazm bólu. Mięśnie i ścięgna wciąż były niezagojone. Mimo zimnego dnia nie mógł się powstrzymać, by nie otworzyć okna. Świeże powietrze zdawało mu się upojne.

- Podobne lasy rosną w okolicach mojego domu - oznajmił, gdy znaleźli się wśród drzew. - Gdy byłem chłopcem, spędzałem tam mnóstwo czasu.

- Sam? - zapytała. - Bawiłeś się sam?

- Zazwyczaj sam. Niekiedy z przyjacielem. Miałem wiatrówkę - czy wiesz, co to takiego? - z której strzelałem do wiewiórek. Potem ściągałem z nich skórki. Koszmarne zajęcie, gdy teraz o tym pomyślę. Frances tego nienawidziła. Zawsze lamentowała, gdy przynosiłem do domu te skórki. Miałem wtedy dwanaście, może trzynaście lat.

- Ja też bawiłam się w lesie, gdy byłam mała - odparła Claire. - Wiele godzin spędzałam tu sama. Ale nie polowałam. Bawiłam się w... stare powieści?

- Baśnie?

- Tak, bajki - uśmiechnęła się pogodnie. - Piękne historie o księżniczkach i złych wilkach. Znasz je?

Ted kochał jej uśmiech.

-Te historie... - ciągnęła Claire - ...nigdy się nad tym wcześniej nie zastanawiałam, ale one kłamią. Tak, to prawda, że na świecie istnieją wilki pożerające dzieci, kobiety i mężczyzn, ale nie istnieją szczęśliwe zakończenia. Dlatego nie można teraz opowiadać dzieciom tych historii. To nie w porządku.

- Tego jeszcze nie wiemy - odparł cicho, spoglądając przez okno.

- Ależ tak. Wiemy. Ta stara kobieta, którą - jak ci opowiadałam - pobili i deportowali? Czy dla niej istnieje jakieś szczęśliwe zakończenie?

Nagle zatrzymała ciężarówkę, nie gasząc jednak silnika.

- To tam - powiedziała, wskazując na gęstwinę drzew w lewo od miejsca, gdzie stali.

- Co takiego?

- Tam leżałeś. Tak mi powiedział ten chłopiec.

Ted pochylił się w stronę jej okna, wyężając wzrok, by dojrzeć coś poprzez ścianę lasu. Jakies pięćdziesiąt stóp dalej musiała się znajdować niewielka przecinka, bo wpadało tam nieco więcej światła.

- Ukryłem się w krzewach. Chłopiec mnie tam znalazł. Przypuszczam, że podążał moim śladem. Już wtedy byłem w malignie. Pamiętam, że otworzyłem oczy i ujrzałem jego twarz. Nie miałem pojęcia, gdzie się znajduję. Nie wiedziałem nawet, w jakim kraju. To zabawne. Gdy byłem w jego wieku, tropiłem zwierzynę w lesie. Najczęściej jelenie. Ciekawe, czy dla tego chłopca to była emocjonująca przygoda. Tropienie żołnierza.

- Myślę, że się bardzo bał - powiedziała Claire.

- Pewnie tak - odparł, odchylając się ponownie na oparcie swojego fotela.

Wkrótce wyjechali z lasu. Tutaj droga była dużo lepsza - biegła wzdłuż pól, a miejscami niemal podchodziła pod farmerskie domy.

- Gdzie jesteśmy?

- Miasteczko, do którego jedziemy, nazywa się Rance. Nie ma tam teraz gestapo, ale to i tak niebezpieczne. W Belgii są ludzie, którzy pomagają Niemcom, nie jesteśmy więc nigdy pewni, kto jest zły, a kto dobry. To jak w tych starych opowieściach, tak? Wilk przebrany za owcę?

- Wilk w owczej skórze.

- Dlatego musisz być bardzo ostrożny i nie wolno ci się odzywać.

- Obiecuje - odparł, uśmiechając się nieznacznie, jakby dostał burę. Sięgnął ponad siedzeniem i wsunął dłoń pod kołnierz palta Claire i pogłaskał jej szyję. Ten gest sprawił, że chustka zsunęła się jej z włosów. Pochylił się, pocałował jej ramię opatulone w grube palto. Przesuwając rękę, lekko go odepchnęła. Po raz drugi zatrzymała samochód i zwróciła się ku niemu.

- Wracamy?

- Nie.

- Przez godzinę miasteczko będzie puste – powiedziała powoli - więc w kawiarni nie będzie dużo ludzi. Jeżeli mamy odbyć tę wyprawę, musimy odbyć ją teraz, albo będzie to... - urwała, szukając odpowiedniego słowa. - ...*Fou*.

-*Fou*?

- Szaleństwo.

Odsunął się od niej, ale wciąż trzymał dłoń na jej rękawie. Cokolwiek, byle tylko jej dotykać.

Gdy pieszo pokonywali ostatni zakręt uliczki prowadzącej do rynku, Teda po raz pierwszy ogarnęły złe przeczucia. Claire trzymała go pod ramię, jakby po prostu wyszli na przechadzkę w południe, ale tak naprawdę opierał się na niej całym ciężarem za każdym razem, gdy musiał stąpnąć na chorą nogę. Znajdowali się w cieniu kościoła i Ted poprosił, by się zatrzymali. Nie umiał powiedzieć, czy Claire się boi, czy nie - ani jej oddech ani dotyk nie zdradzały jej emocji.

Po drugiej stronie brukowanego rynku znajdowały się sklepy ze słowami w obcym języku wymalowanymi pięknym pismem na szklanych witrynach. Na lewo stała szkoła - do szyb w jej oknach wciąż były poprzyklejane białe śnieżynki, wycięte przez dzieci z papieru. Tuż na prawo od sklepów znajdowała się kawiarnia z kilkoma zielonymi metalowymi stolikami ustawionymi

przed drzwiami. Przy niektórych stolikach siedziały dwójkami starsze kobiety lub starsi mężczyźni. Ted spostrzegł od razu, że nie ma tam żadnych par ani młodych ludzi. Próbował sobie wyobrazić, jak to miejsce wyglądało kilka lat temu, jednak ta myśl - nierozzerwalnie związana z możliwością poznania Claire przed wojną, zanim jeszcze została mężatką – zakłuła go boleśnie pod sercem. Zapewne wówczas było tu pełno młodych kobiet i mężczyzn, popijających czerwone wino, niekiedy hałaśliwych, może nucących niepewnym głosem modne piosenki. Niewykluczone, że sam właściciel kafejki wychodził na zewnątrz i przyłączał się do zabawy. Od czasu do czasu jakiś młodzian zapewne się popisował, by przyciągnąć uwagę podobającej mu się panny. On i Claire mogliby się do nich przyłączyć albo usiąść z boku i dotykać się nawzajem, ciesząc się wspólnym lunchem.

Przyspieszył kroku i odwrócił twarz, gdy drogę przeciął mu nieznamy mężczyzna. Mimo że droga z bocznej uliczki do rynku była krótka, Ted miał już przeświadczenie, że jest obserwowany. Zastanawiał się, co go zdradza. Wzrost? Kiedy znaleźli się przy stoliku, Claire gestem nakazała mu, żeby usadowił się bokiem i w ten sposób nieco ukrył twarz. Nie mógł jej dotknąć ani nawet długo patrzeć w jej stronę, a na dodatek zabroniła mu się odzywać. Gdy Ted usiłował ułożyć jakoś chorą nogę pod stolikiem, zjawił się przy nich kelner. Wyrzucił kilka szybkich francuskich słów w stronę Claire, a ona odpowiedziała mu niemal szorstko. Krzesło Teda chwiało się na nierównych nogach.

W końcu odważył się spojrzeć jej w oczy - w tę cudowną, czujną szarość. Szarość, jak nagle zdał sobie sprawę, którą już wcześniej widział w swoim życiu: szarość stratusa, oświetlanego przez wylaniające się zza niego słońce. Patrząc ponad ramieniem Claire, zauważył przy sąsiednim stoliku dwie starsze kobiety ubrane niemal identycznie w czarne grube palta, czarne chustki i ciężkie buty. Obok każdej z nich leżała na bruku sznurkowa siatka pełna pakunków. Jedna z owych kobiet, z dużą, czerwona brodawką na końcu nosa, uniosła twarz i pochwyciła

wzrok Teda. Miała grubą, pomarszczoną szyję, wylewającą się na kołnierz palta. Powoli, by nie zdradzić popłochu, Ted przesunął spojrzeniem ponad jej głową ku sklepom po drugiej stronie rynku. Kiedy jednak znowu powędrował wzrokiem w stronę twarzy Claire, spostrzegł, że kobieta wciąż mu się przygląda, a co gorsza, mówi coś do swej towarzyszki.

Ted wbił spojrzenie w blat stołu.

Kelner przyniósł filiżankę kawy dla Claire i cienkie piwo dla Teda w wysokiej szklance. Ted chciwie pociągnął długi łyk, po czym odstawił szklankę.

- Myślę, że zostaliśmy zdemaskowani - oświadczył. – Tak mi przykro. To był beznadziejny pomysł.

Wykonała dłonią nieznaczny, nerwowy ruch, ale jej oczy pozostały bez wyrazu.

Ted patrzył z uwagą, jak dwie stare kobiety chwyciły za siatki i powoli, wspierając się na stole, zaczęły wstawać. Ku jego przerażeniu ta z brodawką na nosie podeszła do Claire.

Pochylając się nad jej ramieniem, stara kobieta wymamrotała kilka słów. Claire nie spuszczać wzroku z Teda, kiwnęła głową, ale nic nie powiedziała. Kobieta wyprostowała się i wraz ze swoją towarzyszką zaczęła powoli przechodzić po nierównym bruku na drugą stronę rynku. Claire poczekała, aż odeszły spory kawałek.

- Życzyła mi szczęścia - wyszeptała w końcu niemal niedosłyszalnie. Jednak Ted wyraźnie wychwycił drżenie w jej głosie. -I prosiła, by ci przekazać wyrazy wdzięczności.

Pociągnęła łyk kawy. Ręka też jej drżała. Ted zdał sobie w tym momencie sprawę, że ma już niemal pustą szklankę. Bardzo potrzebował następnego drinka. Naprawdę bardzo. Jakim cudem został rozpoznany tak szybko?

-Powinniśmy natychmiast stąd iść - rzucił gorączkowo. Claire pokręciła głową.

-Nie. To ważne, byśmy teraz siedzieli spokojnie.

- Czemu to takie oczywiste? - zapytał. - Czułem to, gdy jeszcze byliśmy po tamtej stronie rynku. Czy to mój wzrost?

Przyglądała mu się przez chwilę.

- Tak - odparła. - Wzrost, a także parę innych rzeczy, które widzę teraz, ale których nie widziałam w domu. Siedzisz bokiem i trzymasz jedną nogę założoną na drugą na wysokości kolana. To bardzo... szykowne? Ale zupełnie nie belgijskie, jak sądzę, I twoje dłonie. - Pociągnęła palcem wzdłuż palca Teda, po czym zatrzymała palec na jego ręku. - Kocham twoje dłonie, ale one także nie są belgijskie. - Nadal przyglądała mu się uważnie. - I to jak siedzisz. Rozparły na krześle. - Zakreśliła wymowny łuk ręką. - Zrelaksowany, tak?

- Ale to nie po belgijsku.

- Nie. Nawet nie po angielsku. Sądzę, że to typowo amerykańskie. Mimo że jesteś w starym palcie i berecie, wciąż wyglądasz na Amerykani. No i te twoje oczy. Teraz myślę, że tak naprawdę wszyscy najpierw zauważają twoje oczy.

- Czy znałaś wielu Amerykanów? - zapytał.

- Tylko jednego.

Poczuł wyłaniającą się z ciemności zazdrość.

- Czy był żołnierzem? Pilotem?

Claire odwróciła wzrok.

- Maquis znaleźli na północ od nas dwóch Amerykanów ze spadochronami. Wysłali ich do mnie. Przygotowałam kryjówkę. Ale po drodze ktoś zdradził Amerykanów. Jednego Niemcy postrzelili w głowę - tego nigdy nie widziałam. Zobaczyłam drugiego. Jego postrzelili w nogę. Ale nie tam, gdzie ciebie, tylko tutaj. - Wskazała na swoje udo. - Straszliwe krwawienie.

Zmarł tej samej nocy w moim domu.

Ted z wolna pokiwał głową. Zazdrość z powrotem zapadła w otchłań.

Odwrócił się i zaczął kontemplować rząd bagietek wystawionych w oknie kawiarni. A jeżeli ubrana na czarno stara kobieta jest kolaborantką? Mógł wraz z Claire zostać aresztowany w każdej chwili. Na myśl o tym, że Claire mogłaby być aresztowana i przesłuchiwana - zrobiło mu się słabo.

- Czy widziałaś śmierć wielu ludzi? - zapytał po chwili. Pociągnęła kolejny łyk kawy, powoli odstawiła filiżankę na spodek. Kilku - odparła.

- Czy uwierzyłybyś w coś podobnego trzy, cztery lata temu?

-Uwierzyła...?

- W to wszystko - gestem ręki objął cały rynek. - W tak wiele śmierci. Wszelobecny strach. Niepewność, czy facet siedzący obok jest przyjacielem, czy wrogiem. Fakt, że jednego ranka rozmawiasz z sąsiadką, a następnego ona zostaje powieszona - tylko dlatego że akurat mieszka w tym, a nie innym miasteczku.

- Od wielu lat wiedzieliśmy, że nadejdzie wojna – odrzekła Claire.

- Nieprawdopodobne staje się prawdopodobne.

- Słucham?

- Pewnego dnia zestrzelenie, przyglądanie się śmierci przyjaciela, obywanie się bez jedzenia przestaje być tak straszne, jak się kiedyś wydawało. Na swój sposób staje się nawet... romantyczne.

- Nie - odparła, stanowczo kręcąc głową. - To nie jest romantyczne. Nigdy nie zapominamy, o co naprawdę chodzi. Może tobie - bo przybywasz z daleka, a w Ameryce nie ma wojny - trudno zrozumieć, czemu my tak bardzo chcemy walczyć.

Nie, pomyślał, w Ameryce nie ma wojny, a mimo to ginie bardzo wielu Amerykanów. Nagle przed oczami stanął mu jego strzelec - i ta straszna dziura w jego ciele. Do końca wojny mógłby rozmyślać o tej ziejącej jamie. Istota jego męskości zniknęła na zawsze. Jak zniosłaby coś podobnego żona tego mężczyzny, doskonale pamiętająca jego ciało?

Żona, oczywiście, nigdy by się nie dowiedziała, jaka śmierć spotkała jej męża. Otrzymałaby jedynie wiadomość, że zginął szybko i bezboleśnie. Gdyby Ted był teraz w Anglii, sam musiałby napisać do niej odpowiedni list.

Jeden z wielu tysięcy listów.

Jedna z wielu tysięcy opowieści.

- Chciałbym cię o coś zapytać. To rodzaj testu, jakiemu nas poddawano w czasie szkolenia na pilotów.

Przekrzywiła z ciekawością głowę, a Ted pomyślał w tym momencie, że ma bardzo inteligentną twarz, a jednocześnie niezwykle ufną.

- Jedziesz dżipem drogą nad morzem. Musisz przetransportować załogę do innej bazy, z której mają wylecieć na ważną misję. To bardzo wąska droga, na której nie zmieszczą się dwa pojazdy. Po jednej stronie jest stromy klif spadający ku morzu, po drugiej - pionowa, skalista ściana.

Claire kiwnęła głową.

- Wyjeżdżasz z za zakrętu i nagle widzisz pędzący autobus szkolny pełen dzieci. Nie ma już czasu, by się zatrzymać, więc stajesz przed alternatywą: albo ty, albo autobus musi spaść w przepaść.

Ponownie skinęła głową.

- Co robisz?

Oparła brodę na dłoni. Wpatrywała się w jakiś bliżej nieokreślony punkt nad jego lewym ramieniem. Nie był pewien, czy w pełni zrozumiała pytanie, ale gdy już zamierzał wszystko powtórzyć od nowa, udzieliła odpowiedzi.

- To straszne pytanie. I odpowiedź musi być straszna. Ale ja rozumiem, co to wojna. Autobus spada w przepaść, tak?

- Pozwoliłabyś, żeby dzieci spadły z klifu? - zapytał przerażony jej odpowiedzią.

- Załoga ma walczyć na wojnie, tak? Mają latać samolotem. A ty musisz ich do tych samolotów dowieźć.

- Ale jaki sens ma dowiezienie ich do samolotów, którymi teoretycznie mają walczyć, by ratować życie ludzi w innym kraju, jeżeli ma się to odbyć kosztem życia dzieci?

- To powinność - odparła. - Na wojnie nie ma innego wyboru.

Pokręcił głową w niedowierzaniu, zupełnie nie mogąc się pogodzić z jej argumentacją - chociaż oczywiście zdawał sobie sprawę, że ona sama bierze udział w wojskowej operacji. Operacji wykorzystującej inny rodzaj sprzętu i personelu - jednak typowej misji militarnej.

- Ja się na to nie zdobyłem - powiedział po chwili. – Nie mogłem się na to zdobyć. Powinienem wodować na Kanale, a przynajmniej spróbować to zrobić. Ale miałem na pokładzie dwóch rannych i nie potrafiłem skazać ich na pewną śmierć. A oni i tak umarli. I oprócz nich wielu innych ludzi.

- To jak zimna kalkulacja - odparła cicho. - Ja niekiedy tak robię.

Gdy spojrział na nią, poza jej ramieniem dojrzał chłopca nadjeżdżającego na rowerze z przeciwnej strony placu. Sylwetka zdawała mu się nieznajoma, jednak po chwili coś, być może czapka wydziergana na drutach, kazało Tedowi odwrócić głowę. Chłopiec, wyczuwając ten nagły ruch, spojrział na Teda i ze zdumieniem rozpoznał wysokiego obcokrajowca w starym, wełnianym płaszczu. Być może w tym momencie puścił kierownicę. Przednie koło uderzyło o nierówność bruku. Rower zatrzymał się gwałtownie i chłopiec przeleciał ponad kierownicą, uderzając o kamienny bruk rynku.

Ted zaczął się podnosić. Claire, naciskając mocno na jego ramię, zmusiła go, by usiadł z powrotem. Ted patrzył więc jedynie, jak pobiegła w stronę chłopca. Gdy uniosła jego głowę, Ted ujrzał krwawą ranę na czole - chłopiec jednak był przytomny i mógł mówić.

Kilka osób zebrało się wokół Claire. Teraz, gdy uwaga wszystkich skupiła się na dziecku, Ted podniósł się i szybko pokuśtykał na drugą stronę kawiarni, po czym skręcił za róg, w ciemną uliczkę. Przywarł ciałem do muru pobliskiego domu, uniósł głowę. Ujrzał wąskie pasmo nieba, cienką wiązkę światła.

Nagle dobiegł go niski warkot samolotu. Wydawało mu się, że silnik się dławi, pracuje na nierównych obrotach. Czekał z nadzieją, że ujrzy samolot w wąskim prześwicie uliczki. Teraz nie miał wątpliwości - pilot był w opałach. Bombowiec. W końcu jednak nie udało mu się dojrzeć maszyny, po chwili też przestał ją słyszeć. Jakiś nieszczęsny sukinsyn przegrał i powoli spada? Czy próbuje dostać się nad Kanał?

Wiedział, że musi ją zostawić. Teraz. Natychmiast. Jego obecność była dla niej równoznaczna z wyrokiem śmierci. W ciągu zaledwie dziesięciu minut został dwukrotnie zdemaskowany. Nawet jeżeli oba te przypadki

były zupełnie nieszkodliwe (jeżeli chodzi o chłopca, był tego niemal pewien), to co z innymi ludźmi, którzy mogli go dostrzec na rynku? Zagrożeniem mógł być ktoś, kogo Ted nawet nie zauważył.

Miała ciężarówkę, ale najpierw na pewno przeszuka miasteczko. Będzie musiał zapamiętać drogę wiodącą do lasu - a potem kierować się na południe, ku Francji. Przy odrobinie szczęścia znajdzie go jakiś przyjazny Belg lub Francuz i szybko przeschmuguje za granicę.

Na myśl o tym, że musi ją opuścić, ogarnęła go słabość. Ale przecież nigdy nie mieli przed sobą żadnej przyszłości – ona to wiedziała od samego początku, tak jak od razu zrozumiała, że to szkolny autobus musi spaść w przepaść. Ted nie miał też wątpliwości, że oboje oszaleliby, gdyby musieli się wsłuchiwać w tykanie zegara odmierzającego czas do piątku. O wiele sensowniej było odejść teraz - szybko i bez pożegnań.

Po dłuższej wędrówce wąskimi alejkami i drózkami znalazł się na skraju miasteczka, samotny, odkryty dla ludzkich oczu. Jakies sto jardów dalej zaczynał się las, a po drodze znajdował się jeszcze jeden dom mieszkalny. Jakiś pies - mały, szybki, ujadający terier - wyskoczył z obejścia i dopadł Teda. Jego piskliwe szczekanie nagle i niespodziewanie zakłóciło panującą wokół ciszę. Przerażony Ted zatrzymał się, wypatrując jakiejś twarzy w oknie, sylwetki wylaniającej się zza drzwi. Jednak nic podobnego się nie wydarzyło; a więc zapewne poza kundlem nikogo nie było w domu. Teraz już dużo szybciej Ted zaczął zdążać w stronę lasu, powłócząc chorą nogą. Nagle przyszła mu do głowy dziwaczna myśl, że chętnie oddałby swoją zdrową nogę za kolejną szklanekę tego belgijskiego piwa.

Kierował się słońcem, choć wiedział, że to bardzo niedokładny kompas. Miał też świadomość, że jeżeli nie przyspieszy, będzie musiał spędzić noc w lesie. Starał się unikać bitego leśnego traktu - mimo że gruba ściółka i płatanina krzewów bardzo utrudniały i opóźniały marsz – ponieważ wiedział, że Claire w ciężarówce będzie musiała się tej drogi trzymać. Jednak gdy zobaczył, że trakt ostro skręca w lewo, postanowił z niego przez chwilę skorzystać, by dać wypocząć chorej nodze.

Patrząc na kąt padania promieni słonecznych uznał, że dochodzi trzecia. Nagle zdał sobie sprawę, że teraz nawet gdyby chciał wrócić do domu Claire - nie byłby w stanie tego dokonać. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Jedną ręką ściągnął przy szyi klapy palta. Żałował, że nie włożył swetra. Teraz miał na sobie jedynie cienką bawełnianą koszulę i niedające

wiele ciepła stare palto Henriego. Piwo wypite niemal na pusty żołądek tylko wzmogło głód. Ted zaczął się nagle zastanawiać, czy ta cała historia ostatecznie nie zakończy się tak, jak miała się zakończyć na samym początku - wpełźnie w jakieś krzaki i tam zamarźnie na śmierć.

Claire zrozumie, dlaczego odszedł. Gdyby ona znalazła się na jego miejscu - postąpiłaby w ten sam sposób. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Zawsze - od samego początku - wiedziała, że to, co się między nimi wydarzyło, jest jedynie epizodem wielkiego historycznego dramatu, nad którym żadne z nich nie miało kontroli. Tak więc ona nadal będzie jeździć do sklepiku madame Omloop, wyrabiać białą kielbasę bez odrobiny mięsa i słuchać w nocy radia BBC. Będzie stawać w oknie i palić - tak jak zwykle - z jedną ręką założoną pod biustem. A on? Ameryka wydawała mu się niemal nieistniejącą krainą, zaginionym światem wczesnego dzieciństwa. Zaledwie sześć miesięcy temu znajdował się w Teksasie i czekał na transport do Europy. A teraz wydawało mu się, że wszystkie najważniejsze wydarzenia w życiu ma już za sobą.

Gdy wyszedł zza zakrętu, ujrzał dobrze sobie znaną ciężarówkę upstrzoną plamami czerni i rdzy. Stała zaparkowana na środku leśnego traktu. Silnik nie pracował. Nie dostrzegł nikogo w szoferce. Gdzie do diabła ona się podziewa?

Przyspieszył na tyle, na ile mu pozwalała chora noga. Raz, głośno, wykrzyknął jej imię, po czym wspiał się na stopnie kabiny od strony pasażera. Przestraszona niespodziewanymi odgłosami, Claire podniosła wzrok i spojrzała na niego przez szybę. Siedziała zgięta w pół, z głową opartą o kierownicę. Twarz miała zalaną łzami.

Ted gwałtownie otworzył drzwi, wspiął się na skórzane siedzenie, usłyszał trzask, gdy drzwi się za nim zamknęły. Nachylił się i zaczął ją całować, aż Claire nie mogła złapać oddechu. Podniosła ręce do jego twarzy.

- Tak się przestraszyłam. Nigdzie nie mogłam cię znaleźć.

Ponownie wymówił jej imię. Niech go zastrzelą Niemcy czy Belgowie - teraz już dobrowolnie jej nie opuści. Ich uściski w kabinie ciężarówki były nieporadne, chaotyczne – niczym uściski dwójki nastolatków. Wtuliła głowę w jego pierś, trzymała go z całych sił. Włosy opadły jej na twarz niczym dwie zasłony, tak samo jak wtedy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. Chwytał ją za brodę, uniósł jej twarz i zaczął palcem obwodzić zarys jej ust. Górną wargę miała mokrą. Kciukiem próbował wytrzeć łzy z jej oczu, ale przedzierając się przez las ubrudził ręce, więc pozostawił na jej policzkach dwa ciemne półksiężycy.

- Czy z chłopcem wszystko w porządku? - zapytał. Skinęła głową.

- Skorzystajmy z tego, że mamy ciężarówkę. Pojedźmy natychmiast do Francji.

Odwróciła wzrok i ucałowała go.

- Nie - wyszeptała, odrywając się od jego ust.

- Przecież znasz drogę. Zatrzymamy się niedaleko granicy. Resztę trasy pokonamy pieszo.

Znowu szept. I to samo słowo.

- Ludzie we Francji zapewnią nam schronienie. A potem przedrzemy się do Hiszpanii. Do Gibraltaru. Jak setki innych przed nami.

Teraz już nic nie mówiła, ale cały czas potrzasała głową. Pocałował ją w czubek głowy, poczuł ciepło bijące od jej włosów. Odchylił głowę, zamknął oczy. Samo trzymanie jej w ramionach było cudownie kojące. Teraz już nie mógł wyobrazić sobie bez niej życia.

- Claire, posłuchaj.

Oderwała się od niego i odwróciła głowę, jakby chciała mu coś powiedzieć. I w tym momencie błyskawicznie i niespodziewanie zmienił się wyraz jej twarzy. Ted wyraźnie poczuł dreszcz przeszywający jej ciało.

Poza tym zastygła w bezruchu, niczym osoba śmiertelnie ugodzona pociskiem. Zdawało się, że nawet przestała oddychać.

W pierwszej chwili skupił się na jej twarzy. Po chwili obrócił się, by sprawdzić, co takiego ujrzała nagle w tylnej szybie.

Na zakręcie drogi, niecałe sto jardów od nich, stał człowiek. Twarz pokrywał mu brud, długie włosy zasłaniały uszy. Trzymał ręce w kieszeniach i wbijał wzrok w ciężarówkę.

- Henri - wyszeptała Claire.

Monsieur Gillian, właściciel kawiarni, w końcu nakłonił go, by załadował rower na jego małą furgonetkę. Początkowo Jean się opierał. Twierdził, że czuje się świetnie i bez problemu dojdzie na piechotę do domu. Jednak gdy spojrzał na scentrowane przednie koło, zdał sobie nagle sprawę, że ta wędrówka trwałaby wiele godzin - że dotarłby do domu grubo po zmierzchu, już po kolacji, a może nawet dopiero około północy. Musiał więc przyjąć ofertę podwiezienia na farmę ojca, był jednak tym faktem tak zmieszany, że niemal całą drogę zachowywał się jak niemowa, pomimo najszczerzych wysiłków monsieur Gilliana, starającego się pobudzić go do jakiejś rozmowy.

Zdawało się, że już wszyscy dowiedzieli się o chłście wymierzonej mu przez gestapo. A dorośli w swojej niepohamowanej ciekawości wszelkich szczegółów nie byli ani trochę lepsi od jego rówieśników. Nawet jeżeli była to bolesna historia budząca zażenowanie i przykre wspomnienia - każdy chciał poznać najdrobniejsze detale. W jaki sposób został nakryty? Czy naprawdę stracił przytomność? Czy próbował uciekać? Ile dostał batów? Czy wciąż jeszcze ma blizny?

O, tak. Wciąż miał blizny, to mógł im powiedzieć. Jeszcze nawet teraz, gdy wstawał rano ze swojego łóżka na poddaszu, na prześcieradle widniały smugi krwi. Wtedy natychmiast przypominał sobie przeżyty ból i zastanawiał się, czy rany kiedykolwiek się zagoją. A potem przewracał prześcieradło na drugą stronę lub, gdy miał więcej czasu, starał się zaprać plamy, by nie zauważyła ich matka.

To madame Daussois podniosła go z bruku. Wszystko widział jak przez mgłę, krew zalewała mu oczy. Delikatnie ujęła skronie chłopca, a gdy zaczęła wołać o pomoc, obróciła jego twarz ku piersi. W ten sposób zaplamiła sobie przód palta jego krwią.

Jean był zdezorientowany, półprzytomny. Próbował ją zapewnić, tuż zanim monsieur Gillian zaniósł go do swojej kawiarni, że nikomu nie powie ani słowa o pilocie. Ale ona gwałtownie potrząsnęła głową, by go uciszyć.

Zastanawiał się, jak szybko rozgrywają się podobne wydarzenia. Przecinał rynek, myślał o czekającej go długiej powrotnej drodze do szkoły, gdy nagle zwróciła się ku niemu jakaś twarz, którą natychmiast rozpoznał. Nie można było zapomnieć takich oczu - zielonych, rozjaśnionych jakimś wewnętrznym światłem. Gdyby nie te oczy, mógłby nie rozpoznać Amerykanina. Za duży beret zwisał mu na uszy. Palto wyglądało na okrycie wieśniaka. A gdy Jean ostatni raz widział pilota, zresztą bardzo bliskiego śmierci, mężczyzna był w mundurze, a mundur zawsze wzbudza respekt - bez względu na to, jak bardzo jest brudny czy obszarpany.

Monsieur Gillian zapytał go, co robił w Rance.

- Paczka, proszę pana. Dla mojej ciotki.

Monsieur Gillian skinął głową. Ale tak naprawdę Jean przyjeżdżał tu teraz codziennie w czasie południowej przerwy, ponieważ nie był w stanie znieść widoku rynku w Delahaut. Gdy tylko spojrzał na kute balkony, natychmiast stawały mu przed oczami wykrzywione twarze i wijące się ciała powieszonych. Ten widok prześladował go nawet we śnie. A jednocześnie nie mógł wejść na rynek, by natychmiast, wbrew własnej woli, nie spojrzeć na balkony. Była to straszna, zadawana samemu sobie tortura.

Tak więc niemal każdego dnia jeździł teraz do Rance i czasami przez to spóźniał się na popołudniowe zajęcia. A jeżeli

nie jechał do Rance, to zaszywał się w lesie, a nawet czasami zapuszczał się do St. Laurent, chociaż było to dość ryzykowne, ponieważ Niemcy wciąż zajmowali *l'hôtel de ville*.

- Czy mógłby mnie pan wysadzić już tutaj? Proszę, dalej pójde pieszo.

Wjechali na drogę prowadzącą na farmę. Jean nie chciał, żeby ojciec zobaczył go wysiadającego z furgonetki.

- Ale przecież jesteś ranny. Muszę cię zawieźć do domu.

- Nie, proszę. Bardzo proszę. Najlepiej będzie, jeżeli wysiąde już tutaj. Proszę. - Jean usłyszał błagalną nutę we własnym głosie. A, niech tam. Lepiej teraz przeżyć chwilę upokorzenia niż dodatkowo rozsierdzić ojca, który już i tak będzie na niego wściekły.

Monsieur Gillian zatrzymał samochód. Jean szybko wyskoczył z kabiny, by monsieur Gillian nie mógł już zmienić decyzji. Niechętnie, z ociąganiem, właściciel kawiarni podszedł do budy furgonetki i otworzył tylne drzwi.

- Jesteś pewien, że nie powinienem iść z tobą do domu? Porozmawiać z twoją matką? - dopytywał się, stawiając rower na ziemi.

- Jestem pewien, proszę pana. Bardzo dziękuję za podwiezienie.

Monsieur Gillian zawahał się, wyglądał na zmieszanego.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Jean skinął głową, próbował się uśmiechnąć.

- To znaczy, czy wszystko w porządku w domu? - dodał monsieur Gillian.

Jean przez chwilę zastanawiał się, czy monsieur Gillian wie o jego ojcu. Ale zaraz, by rozproszyć jego wątpliwości, szybko pokiwał entuzjastycznie głową. Teraz już nie mógł się doczekać, by sobie pójść.

- No, dobrze. W takim razie wracam do siebie. Chociaż nie mogę powiedzieć, że mi się to wszystko podoba.

Jean stał i patrzył, jak właściciel kawiarni wsiada do furgonetki, zamyka drzwi i zawraca. Poczekał jeszcze chwilę, by się upewnić, że samochód zmierza w stronę Rance, po czym

pomachał dłonią. W tylnym oknie pojawiła się dłoń machająca w jego stronę.

Wówczas Jean powoli skierował się ku domowi. Za następnym zakretem będzie go już widział jak na dłoni. Wykrzywione przednie koło nie pozwalało na pchanie roweru. Jean musiał unieść przód i prowadzić rower tylko na tylnym kole. Teraz cieszył się, że skorzystał z propozycji monsieur Gilliana i zgodził się na podwiezienie do domu.

To madame Daussois przykleiła mu plaster na czole. Monsieur Gillian dał jej jodynę, by przemyła ranę. Gdy opatrzyła mu głowę, zamówiła dla niego mleko i rogalik.

- Teraz już muszę iść - wyszeptała, gdy monsieur Gillian poszedł zrealizować zamówienie. - Rozumiesz, prawda?

Rozumiał. Miała na myśli pilota. Musiała do niego wracać. Jean bardzo chciał jej zadać tak wiele pytań: jak się miewa Amerykanin? Co z jego zranioną nogą? Czy Amerykanin pamięta tę noc w lesie i pobyt u niego w oborze? Kiedy rna opuścić ich miasteczko? Jak zamierzają wywieźć go z kraju? Ale ostatecznie nie zapytał o nic.

A chwilę później ona zrobiła coś dziwnego i cudownego. Pochyliła się i pocałowała go. Jej usta wylądowały gdzieś między jego lewym okiem a policzkiem. Jean się zarumienił. A potem madame Daussois powiedziała „dziękuję” – dwa razy, szybko, szeptem - chociaż przecież tak naprawdę to on powinien jej dziękować. Tak przynajmniej sądził.

Przystanął na chwilę i delikatnie dotknął dłonią miejsca, które ucałowała.

Postawił rower w ponurej oborze, z boku, tak by nie dostrzegł go ojciec. Gdyby to zobaczył, w kółko wyrzekałby na jego niezdarność. Nieśmiało, z wahaniem, Jean uchylił kuchenne drzwi. Matka stała przy zlewie, odwrócona do niego plecami.

Obejrzała się i szeroko otworzyła oczy na widok syna. Tym, co zdumiało Jeana, nawet w takiej chwili, była niezwykła zmiana wyrazu jej twarzy - od znudzenia do zdziwienia, poprzez przerażenie na widok plastru po zwierzęcy strach, gdy

jej wzrok umknął w bok, w stronę drzwi do pokoju. A więc ojciec był w domu. Co oznaczało pytania i wyjaśnienia - pytania, na które nie będzie umiał odpowiedzieć; wyjaśnienia, które ojciec uzna za niewystarczające, bez względu na to, jak bardzo Jean będzie się starać. Postąpił krok do przodu i matka znów na niego spojrzała. Wiedział, co myśli w owej chwili. Gdyby tylko udało im się w jakiś sposób zamaskować ten plaster.

W powietrzu uniósł się zapach tytoniowego dymu i ojciec Jeana stanął w drzwiach.

- Upadłem - rzucił natychmiast chłopiec. - To był wypadek.

Ojciec był nieogolony. Teraz golił się tylko dwa razy w tygodniu. Miał na sobie poplamioną, niebieską koszulę roboczą, rozpiętą do połowy piersi.

- Jaki wypadek?

- Rowerowy. Spadłem z roweru.

Ojciec pochylił się i wyjrzał przez okno.

- Gdzie rower?

- W oborze.

- A czemu ty nie jesteś w szkole? Przecież zajęcia się jeszcze nie skończyły.

- Nauczyciel uznał, że powinienem iść do domu – skłamał natychmiast.

Oczy ojca zmieniły się w dwie wąskie szparki. Jakby węchem wyczuł kłamstwo. Jean zawsze miał takie wrażenie. Matka szybko wytarła ręce w ścierkę i postąpiła w stronę syna. - Powinnam przyjrzeć się tej ranie - oświadczyła.

- Zostaw go.

Matka stanęła w miejscu.

- Skąd masz ten plaster?

Jean zawahał się przez chwilę. Uznał, że nie powinien mieszać do tego szkoły. To był grząski grunt.

- To się wydarzyło na rynku. Ten wypadek. Przykleiła mi go madame Daussois.

- Madame Daussois?

Jean skrzywił się w środku, przeklął sam siebie w duchu.

- Co ty w ogóle robiłeś w towarzystwie madame Daussois?

- Ja nie byłem w jej towarzystwie. Ona po prostu do mnie podbiegła, gdy upadłem, i to ona przykleiła mi plaster.

- Madame Daussois była na rynku?

Jean spuścił wzrok. Jego umysł pracował jak oszalały. Dokąd to wszystko zmierza? Kiedy się potknie? Jak mógł być takim głupcem, by wspomnieć nazwisko Daussois?

Ojciec podszedł do niego. Jean poczuł jego oddech śmierdzący piwem.

- Madame Daussois była na rynku? - powtórzył ojciec, tym razem dużo głośniejsze.

- Tak, tak - wydukał chłopiec.

- Na rynku w Delahaut? ! - teraz ojciec już niemal wrzeszczał.

Chłopiec poczuł wzbierającą panikę. Nie mógł pisać słowa o Rance - nigdy nie umiałby zadowalająco wyjaśnić, czemu jeździł do Rance. O, Boże, czemu wspomniał nazwisko Daussois?

Zawsze gdy Jean zostawał po takich incydentach sam, próbował odtworzyć w myślach przebieg awantury, zrozumieć, który moment stanowił punkt zapalny, wprawiający ojca w ślepe wściekłość. Było to jednak niczym wciąż powtarzany naukowy eksperyment, który nigdy nie dawał takiego samego rezultatu.

Ręka wylądowała na jego twarzy szybciej, niż się spodziewał. Jean usłyszał krzyk matki. Zasłonił głowę ramionami. Stracił jednak równowagę, zatoczył się pod ścianę i upadł na ziemię. Ojciec natychmiast nad nim stanął.

- Myślisz, że to zabawa? Myślisz, że nie wiem, czemu wężysz wokół madame Daussois? Może chciałbyś wstąpić do Maquis? Do partyzantów?

Jean podciągnął kolana, ponownie zakrył głowę rękami. To zawsze wyglądało tak samo.

Ojciec wyciągnął palec i zaczął nim wygrażać.

- Chciałbyś walczyć z Niemcami, co? Zostać bohaterem? Bojownikiem ruchu oporu?

Jean milczał. Zaprzeczanie słowem czy gestem nie miało najmniejszego sensu. Tylko jeszcze bardziej rozjuszyłoby ojca.

- Cóż, powiem ci coś, ty mały, śmierdzący gnojku. Prosisz się o śmierć. W końcu cię zabiją. A jeżeli ja kiedykolwiek przyłapię cię w pobliżu któregokolwiek z Daussoisów, stłukę cię na krwawą miazgę.

Jean o mały włos się nie roześmiał. Jeżeli ktoś cię najpierw nie zabije, to ja to zrobię. Ojciec poczęstował go kopniakiem. Ojcowskie napady szału często kończyły się kopniakami. Tym razem jednak czubek jego buta trafił jedynie w drewnianą podeszwę chodaka Jeana, więc chłopiec nie ucierpiał. Przez chwilę obawiał się, że ojciec będzie chciał wymierzyć mu celniejszego kopniaka.

Ten jednak litościwie wypadł z kuchni, trzaskając za sobą drzwiami.

Jean przyłożył dłoń do policzka. To był ten sam policzek, który ona ucałowała. Delikatnie zaczęła wodzić po nim palcami.

Claire uniosła dłoń do ust. Ted nie wiedział, czy dlatego że zostali przyłapani razem, czy z powodu opłakanego stanu Henriego.

Na jego widok Tedowi stanęli przed oczami włóczędzy czasów kryzysu, niekiedy pukający do kuchennych drzwi jego rodzinnego domu w Mount Gilead. Pamiętał, że Frances robiła kanapki z serem, zawijała w woskowany papier i wręczała tym mężczyznom, pukającym o różnych porach dnia. Rzadko się zdarzało, by ten sam człowiek zjawiał się dwa razy, ale zapewne wśród tych ludzi rozniosła się wieść: w tym domu zawsze można liczyć na kanapkę i kubek gorącej kawy. Wówczas Ted nie był jeszcze nawet nastolatkiem i patrzył na tych mężczyzn zafascynowany, próbując sobie wyobrazić ich życie. W owym czasie sypianie przy torach kolejowych i podróżowanie pociągami towarowymi bez określonego celu miało w sobie obietnicę niekończącej się przygody.

Henri zapuścił brodę. Włosy opadały mu na czoło tłustymi strąkami. Oczy tonęły w ciemnych kołach, które mogły być wżartym brudem, ale mogły też być zasinieniami spowodowanymi brakiem snu. Spodnie miał obszarpane na dole, a w palcie ani jednego guzika. Buty mu się rozpadały. Ted zastanawiał się, co spotkało tego mężczyznę. Dziwił się, że on w ogóle jest w stanie chodzić.

Claire wypadła z ciężarówki. Chustka jej się rozwiązała i z wolna opadła na ziemię. Ted przyglądał się, jak podeszła do męża, położyła dłoń na jego ramieniu, zaczęła coś do niego mówić. Gdy Claire położyła dłoń na ramieniu Henriego, Ted miał wrażenie, że ktoś zdzielił go kijem baseballowym w brzuch. Nie wiedząc dokładnie, co robi, otworzył drzwi i wykuśtykał z ciężarówki. Przeszedł na drugą stronę kabiny i podniósł chustkę Claire. Trzymał ją luźno w palcach, wpatrując się w barwny wzór z takim wyrazem twarzy, jakby natknął się na ważne dzieło rąk ludzkich i nie wiedział, do czego służy. A chwilę później zwinął chustkę, i wsunął do kieszeni.

Gdy podniósł wzrok, zobaczył, że Claire i Henri zmierzają w jego stronę. Claire już nie dotykała męża. Henri obrzucił Teda uważnym spojrzeniem, po czym powiedział jakimś szczególnym tonem: *Bonjour*. Wyjął z kieszeni pomiętą paczkę papierosów, wytrząsnął jednego i zaoferował Tedowi. Ted, który w tym momencie zrobiłby wiele, by złagodzić napięcie, zając czymś dłonie, przyjął papierosa i pochylił się nad zapalką wyciągniętą w jego stronę przez Henriego. Mężczyzna rozsiwał wokół paszkudny odór, jakby nie kąpał się od wielu tygodni, i zapewne rzeczywiście tak było. Osłaniając dłońmi płonąca zapalkę, Ted zerknął na twarz Henriego. Z zapadniętych oczodołów wзираły twarde, nieruchome oczy – nie smutne, nie zranione - ale nieomylnie wskazujące na głębokie wyczerpanie - wyczerpanie pozbawiające człowieka możliwości normalnego przeżywania emocji. Henri popatrzył Tedowi w twarz, po czym zmierzył go spojrzeniem od stóp do głów. Claire stała obok z rękami w kieszeniach palta. Przygryzała od środka policzek. Włosy spływały jej luźno na ramiona. Co dziwne, Henri sam zapalił, ale nie zaproponował żonie papierosa, po prostu schował paczkę z powrotem do kieszeni swego pozbawionego guzików palta.

Ted zaciągnął się głęboko, odwrócił twarz i wypuścił dym. W tej samej chwili pochwycił wzrok Claire. Henri, trzymając papierosa między kciukiem a palcem wskazującym, też zaciągnął się głęboko, i ponownie spojrzął na Teda. W tym momencie Ted się odwrócił, zostawił ich samych i podszedł do budy ciężarówki. Wdrapał się na górę i oparł o chłodny me-

tal. Rękę z papierosem oparł na zgiętym kolanie. Palił powoli, spokojnie, ale w uszach czuł dziwaczny, monotony szum. Co go powstrzymało od wsadzenia Claire do ciężarówki i odjechania w stronę Francji? Bardzo chciał powiedzieć Henriemu o tym, co zaszło między nim a Claire, ale przecież nie mógł rozmawiać z tym człowiekiem bez jej pośrednictwa. Pomyślał, że byłoby to bardzo śmieszne, gdyby nie było tak śmiertelnie poważne.

Nagle jednak, gdy popatrzył na Henriego zmierzającego ku szoferce, zdał sobie sprawę, że on już wie. Henri nie potrzebował żadnych słów, żadnego tłumacza. To dlatego poczęstował Teda papierosem; to dlatego patrzył na niego niewzruszonym wzrokiem i mierzył go spojrzeniem od głowy do stóp. Była to dziwna wiedza - pewność pomimo tego, że nic nie zostało wypowiedziane. Pełna świadomość nie tylko faktów, ale także tego wszystkiego, co się za tymi faktami kryło. Ted niekiedy widział coś podobnego także w twarzy Claire.

Claire prowadziła. Ciężarówka podskakiwała na wybojach i Ted trzymał się mocno burty, by nim nie rzucało po całej budzie. Gdy znaleźli się na miejscu, Henri natychmiast wszedł do domu. Ted zaś stanął za samochodem, niepewny, co powinien w tej sytuacji zrobić.

Claire podeszła do niego. Spojrzała mu przelotnie w oczy, po czym odwróciła wzrok.

- Muszę jechać po Dussarta - oznajmiła. - Mój mąż mówi, że opuścisz
nasz dom jeszcze tej nocy.
Ted chwycił ją za rękaw.
Szybko pokręciła głową.
Cofnął dłoń.

Ted nie wszedł do domu. Tam gdzieś w środku był Henri - być może mył się w kuchni, a może leżał na łóżku. Na podobną myśl zrobiło mu się słabo. A może po prostu jadł. Ted poczuł ściskanie w żołądku, które jednak na pewno nie było wywołane głodem. Miał dziwne poczucie, że zostało mu zaledwie kilka minut, a potem wydarzy się coś dziwnego, nad czym nie będzie mógł zapanować. W zapadającym zmierzchu spojrzął na swoje dłonie. Były szorstkie z zimna i wyraźnie drżały. Nagle przypomniał sobie półksiężycowate smugi brudu na twarzy Claire.

Słońce zachodziło za pola. Wzmagał się wiatr, teraz już wyraźnie świstał. Na krótką chwilę, tuż przed zapadnięciem za linię horyzontu, słońce oświetliło okoliczny krajobraz, przeobrażając wszystko - każde drzewo, każde zmatowiałe źdźbło trawy, oborę, szare kamienne ściany domu - w łośosiowy twór, żyjący własnym życiem, niezwykle piękny. Bruzdy pól, jeszcze przed chwilą będące bezkształtnymi, gołymi wybojami, nagle stały się świetlistymi strzałami pędzącymi ku zachodowi. Duży ptak na niebie przekształcił się w czarny kontur ze złotymi skrzydłami. Nawet dłonie Teda, upstrzone czerwonymi plamami, teraz zdawały się połyskiwać różowym światłem. Ta nagła jasność wprawiała go w uniesienie. Uniesienie, jakiego już doświadczał wcześniej w życiu - w maszynie tiger moth 2000 stóp nad wschodnią Anglią; w bombowcu 15 000 stóp nad ziemią, o świcie, gdy zostawiał za sobą wody Kanału. W takich chwilach nie sposób było wierzyć w spustoszenia wywołane wojną czy w świat pozbawiony radości istnienia. W tym momencie wyobraził sobie, jak po wojnie zacznie poszukiwać Claire, wyobraził sobie ich ponowne złączenie. Uważał to za pewnik. Zacisnął powieki, by utrwalić tę wizję, wyryć ją w swym umyśle.

Gdy otworzył oczy, słońce - dokładnie na zachód od domu i schodów, na których siedział - zgasło gwałtownie i wówczas równie gwałtownie znik-

nęła różowa poświata. Powietrze wokół zszarzało - jakby niespodziewanie napłynęła ciemna chmura; świat nagle znowu został pozbawiony koloru. Na podjeździe pojawiły się dwa rowery, zatrzymały tuż przed nim. Z jednego z nich zsiadł dziwnie wyglądający mężczyzna, w zasadzie jeszcze chłopak, z drugiego - Claire. Ted spostrzegł, że ów człowiek nie ma ucha. Claire powiedziała, że nazywa się Dussart. On i Henri mieli zabrać Teda tej nocy na spotkanie z dwoma innymi lotnikami - ale nie z jego załogi; a potem wszyscy trzej mieli zostać przekazani innej komórce siatki przerzutowej. Wyruszą, gdy zapadną całkowite ciemności, za godzinę. Ona teraz przygotowuje dla nich wszystkich coś do zjedzenia. Weszła na schody, za nią postępował Dussart. Zatrzymała się na górze. Poprosiła Teda, by wszedł do środka i zjadł posiłek razem z Henrim i Dussartem. Ted przecząco potrząsnął głową.

Przez jakiś czas z za zamkniętego okna kuchni dochodziły go różne stłumione dźwięki. Męskie głosy. Brzęk talerzy. Od czasu do czasu zastanawiał się - trzęsąc się już teraz z zimna, bo beret zgubił w lesie i nie miał rękawiczek - czy nie powinien jednak wejść do środka i czegoś zjeść. Nie wiadomo, kiedy znowu będzie miał szansę na posiłek. Poza tym mógłby jeszcze przez chwilę popatrzeć na Claire krzątającą się przy zlewie i przy piecu, cieszyć się jej widokiem przez te ostatnie kilka minut. Bo zapewne minie trochę czasu, zanim zobaczą się znowu. Jednak na myśl o siedzeniu w niewielkiej kuchni razem z Henrim i młodym człowiekiem bez ucha postanowił pozostać na zewnątrz.

Usłyszał, że otwierają się drzwi. Claire, w palcie, przysiadła obok niego na schodach. Położyła między nimi książkę z leżącym na wierzchu zdjęciem Stelli. W rękę trzymała jakieś papiery, które po chwili wręczyła Tedowi. Zauważył, że to jego nowe dokumenty. Jednak w mroku nie był w stanie odczytać swojego nowego nazwiska.

- Przyniosłam ci twoje rzeczy.

Rzucił okiem na książkę, szybko odwrócił wzrok. Nie wziął ani tomiku, ani fotografii.

- Czy on ci coś powiedział?
-Nie.

- Tak

mi

przykro.

Skinęła głową.

- On wie, prawda?

Nie odezwała się słowem, tylko znowu skinęła głową.

- Kocham cię - szepnął.

Nic na to nie odpowiedziała i w pierwszej chwili Teda ubodło jej milczenie. Natychmiast jednak zauważył, że ona próbuje coś powiedzieć, tylko że jej się nie udaje. Czy dlatego że nie zna właściwych słów, czy po prostu nie jest w stanie wypowiedzieć tego, co chce?

Palcami zdrowej nogi wiercił w stwardniałej ziemi. Claire przesunęła się tak, że teraz patrzyła mu prosto w twarz. W ciemnościach prawie nie widział jej rysów. Położyła dłoń na książce, a on natychmiast przykrył ją własną dłonią. Jej ręka była taka ciepła - pomyślał, że jego palce muszą się jej zdawać soplami lodu. Żadne z nich się nie poruszyło. Ted zamknął oczy, koncentrował się na dotyku jej dłoni. Próbował zapamiętać jej kształt i fakturę - miękką, dziecięcą skórę. Poczuł ślubną obrączkę, twarde, złoty pasek, i natychmiast przesunął rękę. Powiół po końcach jej palców, po krótkich, gładkich paznokciach.

Tuż zza drzwi dobiegły ich głosy.

- *Non* - rzuciła zdławionym głosem. Przycisnęła czoło do jego twarzy - szybko, gorączkowo. - Ja... - zaczęła i urwała.

Drzwi otwarły się głośno, po czym zamknęły z trzaskiem. Po kąpieli Henri był już innym człowiekiem. Claire wysunęła dłoń z dłoni Teda i wstała. Ted także wstał. Patrzył na jej twarz w ciemnościach. Co zamierzała mu powiedzieć? „Ja... też cię kocham”? „Ja... się boję”?

Henri zaczął coś mówić do żony.

Claire wsunęła ręce w kieszenie palta. Zwróciła się do Teda:

- Teraz cię stąd zabiorą. Mąż powiedział, że masz iść między nimi, a kiedy nadejdzie czas, on wypowie słowo *courage*... Odwróciła twarz w stronę Henriego. - *Courage?* - zapytała. Henri skinął głową. Ponownie spojrzała na Teda: - Wypowie słowo *courage*, co po angielsku oznacza „odwagi”, i ty w tym momencie sam podejdziesz do samochodu, który

będzie tam czekać. Oni nie pójdą z tobą, bo nie chcą widzieć twarzy ludzi z innej komórki, tak?

Dussart i Henri odeszli kilka kroków i czekali na Teda.

Chciał powiedzieć: „Dziękuję ci”, co było szczere, a na dodatek całkiem odpowiednie w obecności Henriego i Dussarta, ale nie był zdolny wydusić z siebie choć słowa. Poczul jej rękę na swoim ramieniu. Ucałowała go w oba policzki i wyszeptała mu do ucha:

- Będę cię zawsze pamiętać. - Po czym się cofnęła.

Ted patrzył, jak za Claire zamykają się drzwi.

W tym momencie pomyślał, że jest to najtrudniejsza rzecz, jaką przyszło mu zrobić w życiu - o wiele trudniejsza od lądowania na brzuchu, z powodu którego w ogóle znalazł się w owym miejscu. Spojrzał w stronę Henriego i Dussarta. Henri umknął ze wzrokiem. Wówczas Teda przeszła całkowita pewność, że nie tylko Henri wie o nim i o Claire, ale że wie o tym całe miasteczko. Ten romans, przyzwolenie na ten romans było darem dla niego i Claire. Dla niego - bo był Amerykaninem, dla Claire - bo działała w ruchu oporu.

Ostry podmuch wiatru załzawił mu oczy. Wcisnął do kieszeni nowe dokumenty i pod palcami poczuł chustkę Claire. Książkę i zdjęcie zostawił na schodach, w tym samym miejscu, gdzie je położyła ukochana kobieta.

Zdawało mu się, że maszerują od wielu godzin, chociaż gdy się nad tym rozsądnie zastanowił, wiedział, że nie mogło to trwać dłużej jak czterdzieści minut. To z powodu chorej nogi tak bardzo zniekształcało się jego poczucie czasu - a także z powodu świadomości, że z każdym krokiem zwiększa się odległość pomiędzy nim i Claire. Powiedziała: „Będę cię zawsze pamiętać”. Jej gardłowy, niski głos zapadł głęboko w jego duszę. Wiedział, że zawsze będzie mu dźwięczał w uszach.

Jednak tak wielu rzeczy już się nie dowie. Czy za rok o tej porze ona wciąż będzie o nim myśleć? Czy pewnego dnia będzie miała dziecko, dzieci - i zapomni o wojnie i o nim, Tedzie? Czy może już zaczęła wymazywać go z pamięci, by obronić się przed szaleństwem. *Fou* - tak to nazywała. Próbował ją sobie wyobrazić jako kobietę w średnim wieku, jako

staruszkę. Jednego był pewien - jej szare oczy nigdy się nie zmieniają. Próbował też wyobrazić ją sobie razem z Henrim - i nie potrafił, nie mógł się na to zdobyć.

Kierowali się na zachód. Na południowy zachód. Chociaż w ciemnościach nie sposób było mieć tę pewność. Może mieli pokonać pieszo całą trasę aż do Francji. Pola, które przemierzali, pełne były wybojów i bruzd. Kilka razy Ted potknął się tak, że ledwie zdołał utrzymać równowagę. Od czasu do czasu dobiegały go też niezwykle dźwięki nocy - niskie pohukiwania nieznanymi ptaków, czuł, że jakieś stworzenia przebiegają mu drogę. Nagle stanął mu przed oczami pełen satysfakcji uśmiech Henriego, gdy tak wiódł amerykańskiego pilota coraz dalej od swojej belgijskiej farmy. Z drugiej strony jednak Ted miał świadomość, że Henri także jest w tej chwili półprzytomny z wyczerpania. Jedyne Dussart, który przez cały czas bezskutecznie usiłował nawiązać z Henrim rozmowę, od czasu do czasu pogwizdywał jakąś melodię. Ted zastanawiał się, czemu Henri nie ma ochoty rozmawiać z Dussartem. Czyżby w szeregach bojowników ruchu oporu istniała pewna hierarchia niepozwalająca na zbytne spoufalanie? Czy po prostu ci dwaj mężczyźni nie mieli żadnych wspólnych tematów poza zadaniem, które ich właśnie czekało?

Pierwszy sygnał był tak niedostrzegalny, że początkowo Ted pomyślał, iż to światło niewielkiej gwiazdy wychylające się zza ciężkiej chmury. Jednak drugi znak nie pozostawiał już żadnych wątpliwości. Błysk latarki na poziomie pasa człowieka przeciętnego wzrostu. Na linii światła stało pojedyncze drzewo. W końcu, w świetle powtarzających się sygnałów, Ted dostrzegł płaski spłachetek ziemi - ostre bruzdy, wystające kępki zeschniętych traw.

Dussart wymamrotał coś do Henriego. W tym momencie Henri wyciągnął przed siebie ramię, by zatrzymać Teda. Poruszali się teraz o wiele ostrożniej, przybliżając jedynie o kilka centymetrów ku świecącej latarce. Gdy znaleźli się jakieś pięćdziesiąt jardów od źródła światła, Henri wykrzyknął jakieś słowo czy imię - Ted nie był tego pewien. Szybko odpowiedział mu męski głos. Henri gestem nakazał Tedowi, by się zatrzymał. Teraz blask latarki przesunął się w bok i przelotnie oświetlił niewielki sa-

mochód bliżej nieokreślonej barwy. Dussart nerwowym szeptem zadał Henriemu jakieś pytanie. Henri odparł szorstko, na odczepnego. Dussart zaczął protestować. Henri natychmiast uciął rozmowę. Ted ponownie poczuł w uszach nieznośny szum. Za jego plecami Henri wyjmował z kieszeni jakiś przedmiot, który lekko zaszeleścił w przejmującej ciszy. Ted pomyślał, że to papierosy, i że Henri poczęstuje go jednym, zanim go wyśle za granicę do Francji. A tymczasem Henri sięgnął po rękę Teda i wcisnął mu ten przedmiot w dłoń. Było to coś płaskiego i cienkiego, owiniętego w papier.

- *Chocolat* - wyszeptał mu Henri do ucha.

Zdezorientowany Ted wpatrywał się w tabliczkę czekolady. Po co Henri mu ją dał?

A potem Henri wypowiedział wyraźnie jedno oczekiwane słowo: *Courage*.

Snop światła układał się teraz w jasny krąg na ziemi, niezmienny krąg, ku któremu Ted musiał podejść. Co porabia teraz Claire, zastanawiał się. Czy siedzi przy stole w kuchni? Leży w łóżku i wsłuchuje się w dźwięki nocy? Henri powtórzył cichym głosem: *Courage*. Ted postąpił krok naprzód, zawahał się, podszedł jeszcze o krok. Gdzie są ci dwaj inni lotnicy? Niepewnie stapał po nierównym, nieznanym terenie. Ku jego zdumieniu z tyłu dobiegł go odgłos pospiesznie wycofujących się kroków. Obrócił się na pięcie, chciał zawołać oddalających się ludzi. Czemu opuszczają go tak szybko? Chciał im zadać jeszcze wiele pytań. Z oddali dobiegło go szczekanie psa.

Ponownie odwrócił się w stronę, gdzie powinien stać samochód. To była obietnica wolności, czyż nie? Obietnica życia na nowej ziemi. Zasmiał się głucho w ciemnościach. Spojrzał na nieruchome ramię - niezmienny okrąg światła na zmrożonej ziemi. Musi tam iść. Bo nie ma innego wyboru.

5 KWIETNIA 1944

Gdy dotykała kamiennej ściany, dłoń pozostawała mokra. Niekiedy wydawało się jej, że słyszy, jak woda spływa po ścianach.

Wysoko, w zewnętrznej ścianie był wykuty mały prostokąt, nie większy od książki. Claire usiadła na przymocowanej do ściany desce, która miała służyć za łóżko, objęła się ramionami i patrzyła, jak pierwsze promienie brzasku powoli oświetlają celę. Z każdym dniem światło wpadające przez mały prostokąt zmieniało się - stawało się jaskrawsze, mocniejsze. Była też w stanie dostrzec odrobinę koloru - pierzaste, żółtawozielone pączki liści jakiegoś drzewa. Z oddali, jak co dzień, dobiegał szum ruchu ulicznego Antwerpii, gdy ludzie jakimś cudem zajmowali się zwykłymi codziennymi sprawami, nieświadomi lub też obojętni na to, co rozgrywało się wśród tych ścian.

Usłyszała, że drzwi na zewnętrzny korytarz otwierają się z hukiem i zamykają z trzaskiem. Kroki dwóch par podkutych, ciężkich butów i odgłos ciągniętego po kamiennej posadzce ciała. Na dźwięk kroków kobiety w sąsiednich celach zaczęły wrzeszczeć - były to wrzaski gniewu czy niemal szaleństwa lub jedynie krzyki, mające na celu zwrócenie uwagi strażników. W całym bloku echem rozniósł się metaliczny zgrzyt kluczy, zza drzwi dobiegł kaszel kobiety. Nagły snop ostrego światła. Przynieśli z powrotem do celi Odette.

Claire uklękła, uniosła głowę dziewczyny. Odette zdawała się wciąż nieprzytomna. Znów zakaszła i strużka krwi pociekła na brudną koszulę.

- Skurwysyny - wyszeptała Claire.

Najdelikatniej jak umiała - bo nie wiedziała, jakie tym razem dziewczyna ma obrażenia - Claire przeturlała Odette na koc rzucony na kamienną podłogę. Wolałaby położyć ją na drewnianej pryczy, ale póki kobieta była nieprzytomna, nie zdołałaby tego zrobić.

W mdłym świetle Claire starała się dokładnie obejrzeć jej ciało. Teraz już były na nim same sińce na sińcach. Odette miała szpetnie rozcięte

wargi; Claire włożyła palec do ust i sprawdziła, czy nie ma w środku odłamków zębów. Ta dziewczyna, zgarnięta w czasie akcji gestapo w Louvain, siedziała z nią w jednej celi od czterech dni. O ile Claire zdołała się zorientować, Odette była łączniczką grupy ruchu oporu. Miała zaledwie osiemnaście lat.

Dziewczyna zakaszłała ponownie, szarpnęła się, próbowała usiąść. Claire położyła dłoń na jej piersi i lekko przytrzymała.

- Już jesteś bezpieczna. To ja. Po prostu odpoczywaj.

- Czemu robią to nam Belgowie? - spytała dziewczyna z Louvain chrapliwym szeptem.

Fakt, że przesłuchujący i torturujący bez wyjątku byli Belgami, również dla Claire stanowił zagadkę. Co prawda już w Delahaut widziała mężczyzn, którzy z własnej, nieprzymuszonej woli kolaborowali z wrogiem, i kobiety zadające się z niemieckimi żołnierzami - jednak nigdy w życiu nie widziała tak perfidnej brutalności, jaka królowała w tych murach. Może ci ludzie robili to dla pieniędzy, lepszej żywności, a może ze strachu, że podobne bicie mogłoby spotkać i ich. Claire dowiedziała się, że wielu strażników było pospolitymi przestępcami, którym darowano karę. Więźniowie polityczni znajdowali się na samym dole drabiny społecznej - ich status był gorszy od statusu złodziei czy nawet morderców.

Claire doszła do wniosku, że ma dużo szczęścia – bicie i tortury, które przeszła, nie spowodowały w jej organizmie takich spustoszeń, jak w wypadku dziewczyny z Louvain. Miała kilka połamanych żeber i była głucha na jedno ucho, ale wciąż żyła i już dawno przestała wymiotować krwią. Okrągła kłapa w drzwiach otworzyła się. Claire położyła głowę Odette na kocu, a sama podeszła do drzwi, by wziąć dwa kubki zimnej zupy i dwa kawałki czarnego chleba. Położyła jedzenie obok swojej współtowarzyszki.

- Czy jesteś w stanie coś przełknąć? - spytała.

Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową.

- Ale ty zjedz moją porcję - zadysponowała. - Nie pozwól, by jedzenie się zmarnowało.

Claire delikatnie podciągnęła ją do ściany i usadowiła w półsiedzącej pozycji. Bała się, że dziewczyna może się zachłysnąć i udusić, jeżeli nadal będzie leżała na lodowatej podłodze. Przyniosła ścierkę i zaczęła ocierać z twarzy Odette pot i brud.

- Boże, co oni ci zrobili? - zapytała gniewnie. Odette tylko pokręciła głową.

Siedząc przy zmaltretowanej dziewczynie, Claire podniosła do ust cynowy kubek. Zupa śmierdziała obrzydliwie. Jak zawsze, był to rodzaj kapuśniaku, do którego niekiedy dodawano coś nieokreślonego, gumowatego. Zmusiła się do wypicia płynu. Bała się dać cokolwiek do jedzenia Odette, gdyż dziewczyna wciąż pluła krwią; z drugiej strony, Claire wiedziała, że jeżeli młoda kobieta nie będzie jadła, choćby tych paskudztw, które im tu dają, to straci tę resztkę marnych sił, jaka jej jeszcze została.

Claire zjadła zupę i chleb, oparła się o ścianę i chwyciła dziewczynę za rękę. W piersiach wciąż czuła ból. Pomasowała palcami żebra, które źle się zrastały, bo nigdy nie zostały odpowiednio nastawione. Od chwili, gdy dostała się do więzienia, nie oglądał jej żaden lekarz. Jej uda pod cienką koszulą były kośćmi obciągniętymi skórą. Piersi wciąż miała nabrzmiałe i lekko zaokrąglony brzuch, ale reszta jej ciała zanikała. Claire zastanawiała się, niekiedy beznamietnie, czy organizm głodującej matki może obumrzeć wcześniej niż płód; czy też może najpierw umiera dziecko, a zaraz potem matka.

Pogładziła Odette po krótkich, sztywnych kępkach włosów. Ją też w końcu ostrzygli i Claire była z tego zadowolona. Na początku szarpali ją za włosy tak mocno, że bała się, iż złamią jej kark. Teraz z jej głowy też sterczały nierówne, posklejane kępki. Mycie za pomocą małych ścierek i skąpych racji wody było bardzo trudne. Claire zdawała sobie sprawę, że śmierdzi, podobnie jak siedząca obok niej dziewczyna. Zastanawiała się, jak mogą to znieść strażnicy - te wszystkie śmierdzące, wciąż wymiotujące kobiety; te wszystkie kobiety, wrzeszczące dzień i noc. Może dla strażników był to rodzaj kary. Claire miała gorącą nadzieję, że tak właśnie jest.

Dzisiaj mieli ją wysłać na wschód, do Ravensbruck, chociaż nikt nie powiedział jej dlaczego. Przesłuchania i bicie skończyły się kilka tygodni temu i Claire też nie wiedziała dlaczego. Od czasu gdy znalazła się w Starym Więzieniu w Antwerpii, usłyszała wiele strasznych opowieści o Ravensbruck, nie umiała sobie jednak wyobrazić, by cokolwiek było gorsze od tego, co tu przeżywała. Tak czy owak, przynajmniej wreszcie zobaczy światło dzienne - albo w czasie podróży, albo gdy dotrze na miejsce. A bardzo już chciała je zobaczyć.

Odette znów się rzuciła do przodu, jakby chciała dokądś uciekać. Claire powstrzymała ją, chwyciła w ramiona.

- Już w porządku. Jesteś ze mną. Teraz jesteś bezpieczna. Claire wiedziała, że dziewczynę przeraża bicie i tortury. A od nich nie było żadnej ucieczki. Nawet gdy się zapadało w drzemkę, przeżywało się je na nowo w snach. Najgorsze były zawsze pierwsze dni.

- Czy ciebie też przywiązywali do krzesła? - spytała dziewczyna zduszonym szeptem.

-Tak.

-I potem bili?

-Tak.

- Bez względu na to, jakich udzielałaś odpowiedzi?

- Tak.

- Ale czemu oni wciąż to robią? Przecież podałam im już wszystkie nazwiska.

- Nie mam pojęcia.

Przyszli po nią tuż przed świtem. Oficerowie SD w czarnych płaszczach i spiczastych czapkach. Na zewnątrz stała ciężarówka wermachtu. Claire zasnęła, siedząc przy kuchennym stole, i gdy wyłamali drzwi, zaczęli wrzeszczeć jej coś do ucha i ciągnąć po podłodze za włosy - nawet nie pomyślała o ucieczce. Nie pomyślała - bo była całkowicie zdezorientowana. Nieustannie wykrzykiwali jakieś pytania, zrzucali z półek puszki. Kopniakiem wyrzucili ją za drzwi, tak że upadła na zwirowy podjazd. Wepchnęli ją do ciężarówki. Konwój do Antwerpii. W środku byli też inni mieszkańcy miasteczka - siedzieli z pochylonymi głowami. Niektórzy tuliли dzieci, niektórzy płakali. Nikt nie ośmielił się odezwać do niej słowem.

Tej nocy, gdy Henri i Dussart zabrali Teda, usiadła przy kuchennym stole, objęła się ramionami i w końcu wybuchnęła płaczem. Nieprawdopodobne staje się prawdopodobne, powiedział Ted. Claire wysłała amerykańskiego pilota w drogę, bo wiedziała, że tak musi postąpić. I zrobiła to w milczeniu.

Pamiętała, że w lesie szła w stronę Henriego jak w jakimś transie. Pomyślała, zanim jeszcze do niego dotarła: „Powiem mu od razu”. Ale gdy dotknęła ramienia Henriego i spojrzała mu w oczy, dojrzała coś dziwnego. To był, a jednocześnie nie był Henri, jakiego знаła. I w tym momencie ogarnął ją strach.

To koniec, pomyślała wówczas.

Obiecał jej, że zabiorą Amerykanina jeszcze tego samego wieczoru. Claire nalegała, była jak w gorączce. Henri powiedział, że już wszystko zorganizowane. Potrzebował jedynie pomocy Dussarta. „Nie mogą znaleźć u nas Amerykanina”, powtarzała, ale tak naprawdę miała na myśli: „W ogóle nie mogą znaleźć Amerykanina”.

Ted.

Nagle ujrzała kolor jego oczu - tę świetlistą zieleń. Przypomniała sobie, że gdy siadał, krzyżem nigdy nie opierał się o krzesło. Pamiętała jego uśmiech i głos, ale nie pamiętała dotyku, tego, co czuła, gdy się kochali. Zastanawiała się, czy gdy ubywa ciała, zanikają wszystkie cielesne przyjemności.

A może niezdolność do odczuwania pewnych emocji jest rodzajem ochrony? Może pamięć pewnych odczuć byłaby po prostu nie do zniesienia.

Tej nocy, gdy zabrali ją do Antwerpii, natychmiast rozpoczęło się bicie. Kiedy wyszła z ciężarówki w krąg jasnego światła, strażnik tak mocno uderzył ją w ucho, że padła na ziemię. Potem zaciągnięto ją do budynku więzienia, gdzie wszystkich z nowego transportu ustawiono w dwóch rzędach - w jednym mężczyzn, w drugim kobiety. Stali do siebie twarzami. Jakiś oficer kazał im się tam rozebrać do naga. Claire wciąż odczuwała palący wstyd owej chwili, pomimo tego wszystkiego, co od tamtej pory ją spotkało.

Dni, które nastąpiły, nie układały się w logiczny, czasowy ciąg. Ile ich było? Pięćdziesiąt? Sześćdziesiąt? Do tej pory nie wiedziała. Nikt nie znał dokładnej daty. Niektórzy sądzili, że jeszcze jest marzec, inni - że już kwiecień. Z korytarza pełnego wrzasków niekiedy dobiegały ją wieści ze świata: zdziesiątkowano partyzantów z okolic Charieroi; Amerykanie zdobyli Anzio.

Z początku nie odróżniała dnia od nocy. Posiłki nie pojawiały się regularnie, wszystko było jej zupełnie obce. Wiedziała jedynie, że zabierano ją do pokoju, przywiązywano do krzesła i zadawano w kółko te same pytania, zazwyczaj o nazwiska. Poza nazwiskiem Antoine'a i Dussarta Claire tak naprawdę nie znała żadnych innych, jednak z czasem, gdy bicie stawało się coraz okrutniejsze, wszystkie imiona zlewały się, zacierały i w końcu Claire mówiła „tak”, gdy „tak” wcale nie było prawdziwą odpowiedzią, lub „nie”, nawet gdy słyszała imię męża. Czekwała cały czas, by zapytali ją o Teda, ale oni nigdy tego nie zrobili. Zastanawiała się niechętnie, co to może oznaczać. Czy został złapany? Czy go zabili? Co dziwne, w czasie tych wszystkich okrutnych przesłuchań ani razu nie zapytali ją o nikogo, kogo przechowywała w swoim domu. Więc nie zdradziła sekretu kryjówki na strychu.

Niekiedy bili ją otwartą dłonią po twarzy, a niekiedy pięścią - po ramionach, plecach, piersiach. Czasami bił ją tylko jeden człowiek, czasami - trzech. Zawsze jednak przesłuchiwał ją ten sam mężczyzna - szczupły belgijski oficer o ostrym podbródku, lekko zezujący na jedno oko. Był

Flamandem, z północy. Mówił do niej *Liebchen*. Dawał sygnał do bicia uniesieniem wymanikiowanego palca.

Ostatniego dnia przesłuchań kazał ją przywiązać do krzesła, ale strażnicy jej nie bili. Oficer zaczął jej zadawać te same pytania, ale ze znużeniem, którego wcześniej u niego nie widziała. Jakby nagle przestało mu zależeć na jej odpowiedziach.

Sama zaryzykowała więc pytanie.

Zapytała, gdzie znajduje się Henri. Oficer nie odpowiedział. Zapytała, czy mogłaby się zobaczyć z mężem. Odmówił. Zapytała, czy Henri jeszcze żyje. Oficer milczał.

Claire nie wiedziała, czy Henriego zabrali do Antwerpii, czy do Brukseli. Czy może został zastrzelony, gdy opierał się aresztowaniu. A może, jakimś cudem, wciąż jest na wolności?

Odette poruszyła się. Oparła twarz o pierś Claire.

- Połamali mi krzesło na głowie - wyszeptała.

Claire pogładziła ją po włosach.

- To wkrótce się skończy - powiedziała.

- Czemu tu jesteś?

- Dla ciebie lepiej, żebyś nie wiedziała - odparła Claire.

Nagle Odette znów zanosła się kaszlem. Na brodę i szyję ciekła jej krew. Claire chwyciła ją za ramiona.

- Czy ja umieram? - spytała dziewczyna.

- Nie. Postaraj się zasnąć. Cokolwiek w środku masz uszkodzone, w czasie snu będzie się goić.

Ale tak naprawdę Claire w to nie wierzyła. Była przekonana, że siedząca obok niej kobieta umrze jeszcze tego dnia. A jeżeli nawet nie dzisiaj, to już wkrótce. W pewnym sensie uważała, że Odette ma szczęście.

- Kiedy wojna się skończy, pobierzemy się z Georges'em - oznajmiła Odette. - Czy byłaś szczęśliwa ze swoim mężem?

- Tak - odparła Claire szybko.

- Georges działał razem ze mną w ruchu oporu.

-Ciiii...

- Ale ja już im podałam jego nazwisko. Musiałam im podać jego nazwisko. - Dziewczyna zaczęła cicho płakać.

- Wszyscy tak robimy - pocieszała ją Claire. - Nikt nie jest w stanie znieść tych tortur. Poza tym na pewno nie powiedziałaś im niczego, czego już nie wiedzieli. Z twoim Georges'em wszystko w porządku. Jestem pewna, że nie ty pierwsza podałaś jego nazwisko. Teraz on prawdopodobnie zamartwia się o ciebie.

- Miałam się z nim spotkać. W domu Barbiera. I wtedy po mnie przyszli. Zabrali też moją matkę, ojca i babcię. Ciągnęli moją babcię po podłodze za sukienkę...

- Ciii... - powtórzyła Claire. - Postaraj się zasnąć. Tak będzie najlepiej.

Niekiedy, siedząc w celi, rozmyślała o tych dwudziestu wspólnie spędzonych dniach. Czasami wydawało się jej, że nic podobnego w rzeczywistości się nie zdarzyło - że takie rzeczy nie mogą się zdarzać w czasach, gdy codziennie w murach tego więzienia dochodzi do tak bestialskich aktów - ale potem powracał do niej jakiś szczegół, chwilę później jeszcze następny, i wtedy musiała uznać, że to, co pamięta, wydarzyło się naprawdę. Te szczegóły były nic nieznaczące: fragment melodii, którą gwizdał za ścianą; jego twarz odwracająca się lekko, gdy się śmiał, tak że widziała jego usta z profilu; nonszalancja, z jaką siadał na krześle, z rękami w kieszeniach, jakby niczego na świecie nie należało traktować poważnie. Widziała jego skórę napiętą pomiędzy kością policzkową a szczęką. Pamiętała go z tej pierwszej nocy, gdy ranny i nagi leżał przy ogniu. Nie mogła sobie przypomnieć wszystkiego, i teraz już nie była zdolna do odczuwania wielu rzeczy, ale przynajmniej miała pewność, że to wydarzyło się w rzeczywistości. Próbowała wyobrazić go sobie w macierzystej bazie, z wyleczoną nogą, idącego z rękami w kieszeniach przez zielony trawnik w stronę srebrnego samolotu. Czy to w ogóle możliwe, że na przekór wszystkiemu zdołał się przedostać do Anglii?

Nagle zdała sobie sprawę ze znajomych odgłosów: huku drzwi korytarza, stukotu ciężkich butów, brzęku wielkiego pęku kluczy. A więc przyszli po nią. Uniosła dłoń, by zasłonić oczy przed ostrym światłem. W drzwiach pojawiła się sylwetka strażnika.

W małym pomieszczeniu zostawili ją samą, kazali się rozebrać. Rzuciła koszulę na podłogę. Instynktownie wciągnęła brzuch najmocniej jak mogła.

Jaskrawe, elektryczne światło padło na jej sińce. Wyglądały jak fioletowo-żółte smugi rzucone na jej uda i ramiona. Miała tak wychudzone nogi, że jej kolana sterczały ostro niczym gruzłowate węzły. Powstrzymała odruch zakrycia się czymkolwiek - choćby rękami. Pielęgniarka wręczyła jej skrawek mydła i ścierkę, po czym wskazała na drzwi prowadzące do łaźni.

- Tak jak ci powiedziano, zostaniesz dziś przetransportowana do Ravensbruck - oświadczyła. - Ale przedtem zbada cię lekarz.

Claire zacisnęła dłoń na mydle i ścierce. Nie była w stanie się poruszyć. Lekarz, pomyślała z przerażeniem.

- O co chodzi? - spytała zirytowana pielęgniarka. - Co ci się stało?

Woda nie była gorąca, ale nie była też lodowata. Pod prysznicami znajdowało się wiele kobiet. Claire mogła się normalnie umyć po raz pierwszy od chwili, gdy zabrali ją z domu. Zastanawiała się, czy prysznic to dobry znak. Być może warunki sanitarne w Ravensbruck są dużo lepsze, więc Belgowie nie chcą wysyłać brudnych kobiet do niemieckich więzień. Ciekawa była, jak długo pozwolą jej stać pod prysznicem. Musiała też bardzo uważać na skrawek mydła - był tak niewielki, a ona chciała też umyć włosy.

Ręce jej drżały, więc z trudem udawało się jej utrzymać śliskie mydło w dłoni - nie dopuścić, by upadło na wyłożoną kaflami podłogę. Jak dokładne będą badania lekarskie? Czy lekarz przeoczy symptomy? Czy może właśnie takich oznak będzie przede wszystkim szukał u badanych kobiet?

Ona sama ledwie zorientowała się w sytuacji. Jeden miesiąc, potem następny. Pomyślała, że to traumatyczna reakcja ciała: wygłodzenie. Inne kobiety, przebywające już długo w więzieniu, powiedziały jej, że przestały mieć okres wiele miesięcy temu. Ale potem Claire zaczęła odczuwać dziwny, metaliczny smak w ustach i poczuła obrzmiewanie piersi, zupełnie inne obrzęki od razów. Ta nagła i absolutna pewność przeszła ją

dreszczem nieoczekiwanej radości. A więc w jej wnętrzu jest życie - dowód na prawdziwość tych dwudziestu dni.

Wytarła się niewielką ścierką. Nawet szorstki materiał wydawał się luksusowy, gdy dotykała nim czystej skóry. Kazano jej uczesać włosy i przydzielono czystą koszulę. Następnie przeszukano jej odbyt i pochwę. Potem miała się ubrać i stanąć na korytarzu wraz z innymi kobietami.

Gdy opierała się o wyłożoną kaflami ścianę, słyszała francuski, waloński, flamandzki - wiele różnych dialektów. Świeżość stroju i czystość ciała obudziły ochotę do pogawędek. Kobiety rozmawiały o czekającym je transporcie niczym sekretarki w wielkiej firmie. Czy pojedą pociągiem, zapytała jednych. Nie, odparła jakaś starsza pani, na pewno ciężarówkami, jak zwykle. Czy podróż będzie trwała dłużej niż jeden dzień? Ravensbruck leży w głębi Niemiec, odparła dobrze poinformowana starsza kobieta. Claire nie miała pojęcia, czy to prawda. W Ravensbriick na pewno nie będzie tak źle, zawyrokowała jeszcze inna. Bo inaczej nie pozwoliliby im na kąpiel.

Kolejka przesuwała się szybko, chociaż do gabinetu wchodziły pojedynczo. Asystentka lekarza otwierała drzwi i wywoływała nazwisko. Claire czuła przejmujący chłód w nogach poznaczonych niebieskimi żyłami. Koszula była na nią za duża i wciąż zsuwała się jej z ramion.

Nie modliła się od dwóch miesięcy - od czasu pierwszego bicia. Gdy znęcano się nad nią bez żadnej litości - maltretowano coraz bardziej - przestała się modlić. I nawet, gdy bicie się już skończyło, Claire nie potrafiła się zdobyć na modlitwę.

Teraz zaś, gdy przesuwała się powoli do przodu, a papierowe kaptcie ledwie zakrywały jej palce stóp - zaczęła się modlić. Bez względu na to, co ją jeszcze ma spotkać, prosiła w duchu Boga, bez względu na to, do czego ją zmuszą, chciałyby zachować to dziecko. Było to jej wielkie wyzwanie.

Kobieta stojąca tuż przed nią była mała, siwa, przygarbiona. Claire zauważyła sińce na jej nagich ramionach. Jak dziwnie musimy wszystkie wyglądać, pomyślała. Każda z nas poznaczona tymi niezwykłymi znakami, a rozmawiamy, jakbyśmy znalazły się na majówce.

Wywołano nazwisko siwej kobiety. Claire przyglądała się, jak ta znika za drzwiami, i wówczas spostrzegła w gabinecie skórzany fotel z metalowymi strzemionami przykryty prześcieradłem. Wiedziała, że za wszelką cenę będzie musiała uniknąć wsunięcia nóg w strzemiona.

Czekała na swoją kolej. Zastanawiała się, co się dzieje po drugiej stronie gabinetu. Dokąd prowadzą kobiety? Czy dostają jakieś ubranie na drogę? Był koniec marca lub początek kwietnia. Może w gabinecie będzie kalendarz? Tak czy owak, będą potrzebowały cieplejszej odzieży na podróż. Nie mogły jechać ciężarówkami jedynie w tych cienkich bawełnianych koszulkach. Wszystkie by zamarzły, jeszcze zanim dojechałyby do Niemiec.

Nagle przyszedł jej na myśl Henri. Próbowała przekonać samą siebie, że mąż żyje. Ale jeżeli żyje, to jakim cudem udało mu się zbiec przed gestapo? Musiałby się ukrywać w innym miasteczku albo przekroczyć granicę Francji. Claire sądziła, że już nigdy nie ujrzy Henriego, nawet jeżeli udało mu się przeżyć. Miała tylko nadzieję, że jeśli jednak go złapali, to został zastrzelony, a nie powieszony. Nie czuła wyrzutów sumienia z powodu tego, co mu zrobiła. Nie uważała swego postępuku za akt zdrady. To ostatecznie jedynie dwadzieścia dni z całego życia. Nie mogła się zmusić do myślenia, że pokochanie Amerykanina było czymś złym. Chociaż w tym momencie przemknęło jej przez myśl, że jeżeli nie czuje wyrzutów sumienia, to czy ma prawo się modlić?

- Daussois.

Asystentka doktora przytrzymała drzwi. Claire miała ochotę powiedzieć: ja też jestem pielęgniarką. Byłam pielęgniarką. W kącie stał wysoki, ciemnowłosy mężczyzna w białym fartuchu, zwrócony do niej plecami. Lekarz.

Gabinet był pomalowany na biało, pełen szkła i chromu, z brązowym skórzanym fotelem. Nad metalowymi szafkami na kółkach wisiały szafki o szklanych drzwiczkach. Claire rozpoznawała zawartość niektórych z nich: instrumenty medyczne, plastry, opatrunki. Po przeciwnej stronie znajdowało się dwoje drzwi. Jedne nieoznakowane; na drugich napis *Contagion*.

Lekarz był czymś zajęty, ale Claire nie widziała, co to takiego; wydawał się zirytowany i zakrzyknął na swoją asystentkę. W końcu, wzdychnąwszy gniewnie, powiedział asystentce, że jeszcze jedna strzykawka leży w laboratorium. Kobieta szybko zniknęła za drzwiami z napisem *Contagion*.

Tymczasem lekarz jakby zupełnie zapomniał o obecności Claire. Claire zerknęła na nieoznakowane drzwi, zastanawiając się dokąd prowadzą, jak daleko mogłaby się za nimi zapuścić. Ostrożnie posunęła się krok w ich stronę. W tym momencie zauważyła, że lekarz podnosi do oczu niewielką fiolkę, uderza w nią dwukrotnie palcem.

Drzwi z napisem *Contagion* otwarły się nagle i pojawiła się w nich asystentka lekarza ze strzykawką w ręku. W otwartych drzwiach Claire ujrzała wąski korytarzyk, a po jego drugiej stronie następną otwartą drzwi. Tam przy biurku stał inny lekarz w pincez-nez na nosie, a naprzeciw niego, przy stole, odwrócony plecami do drzwi, siedział mężczyzna.

Był bez koszuli i nie miał ani śladu sińców czy innych ran na ciele. Claire wyraźnie ujrzała zarys jego ramion i karku.

Wstrzymała oddech, postąpiła krok naprzód. W jaki sposób go złapali? I kiedy? Jeżeli jest w Antwerpii, to znaczy, że nie udało mu się wydostać z Belgii.

Coś w jej zachowaniu - nagle poruszenie, ręka opasująca brzuch - każały lekarzowi badającemu mężczyznę podnieść wzrok. Błędnie interpretując jej spojrzenie, uśmiechnął się ironicznie i powiedział coś do swojego pacjenta.

Ted się odwrócił.

Spojrzał na nią, ale zdawał się jej nie poznawać.

Claire postąpiła jeszcze jeden krok naprzód, otworzyła usta, jakby zamierzała coś powiedzieć. Lekarz stojący za Tedem odwrócił się, zdjął z szyi stetoskop.

Ted był wychudzony na twarzy i dużo bledszy. Jego oczy wydawały się większe - przejrzyste kręgi w romantycznie cienistych oczodołach. Na jego widok przypomniała sobie, co czuła, gdy dotykała jego twarzy. Miał fatalnie obcięte włosy.

Nie odwrócił się do niej plecami, ale jego twarz pozostała bez wyrazu.

Claire bardzo pragnęła usłyszeć jego głos, otrzymać choćby najdrobniejszy znak, że ją rozpoznał. Chciała wypowiedzieć na głos jego imię.

Ted siedział w idealnym bezruchu, półprofilem, z ramieniem niedbale zarzuconym na oparcie krzesła.

Przycisnęła rękę do piersi. Od chwili, gdy otworzyły się drzwi, nie była w stanie zaczerpnąć oddechu.

Przelotnie - na ułamek sekundy - przycisnęła palec do ust.

Odwrócona plecami do Claire, asystentka lekarza nagle spostrzegła, że nie domknęła drzwi, i niedbale je zatrzasnęła.

Claire zacisnęła powieki, zachwiała się na nogach. Dla zachowania równowagi musiała uchwycić się mocno za fotel.

Ted zniknął, a ona nawet nie wiedziała, czy w ogóle ją zauważył.

„Pan Bóg stosuje specjalne sztuczki, by różne rzeczy nie działały się równocześnie”. Tak mawiała Frances w odpowiedzi na jego męczące pytania, dotyczące upływu czasu: Kiedy znów będą moje urodziny? Ile dni zostało do Bożego Narodzenia? Kiedy wydarzy się to czy tamto? Czy trzeba jeszcze długo czekać? Dwadzieścia dni czy tysiąc? A tymczasem całe życie człowieka może ulec diametralnej zmianie w ciągu zaledwie sekundy. Zadławienie silnika, podanie nazwiska. Ted sądził, że dla niego pojęcie czasu jest teraz równie niejasne jak w dzieciństwie. Jeszcze nie tak dawno cztery dni zdawały się udreką. W tej chwili ten sam czas zdawał się niemożliwy do przeżycia.

Leżąc na pryczy, przyglądał się, jak powoli wstaje dzień - jak światło narasta w niemal niezauważalny sposób, tak że wkrótce wyłonią się kontury przedmiotów znajdujących się w celi. Wiadro na nieczystości. Krzesło. Para wysokich butów przy ścianie. Ted zadrżał na pryczy, naciągnął koc wyżej na pierś. Zaniósł się kaszlem, zaczął głęboko i powoli oddychać, by zdusić kaszel. Tutaj kazali mu nosić połowy mundur amerykański. Chcieli, żeby wyglądał na alianckiego pilota. Ted nie miał pojęcia, skąd władze więzienia w Breedonk mają te mundury. I prawdę mówiąc, wolał się nad tym zbyt długo nie zastanawiać.

Zwracali się do niego per „poruczniku”, pytali o jego samolot i załogę, a Ted na każde pytanie zawsze odpowiadał w ten sam sposób - podawał im swój stopień, nazwisko i numer identyfikacyjny. Grozili mu biciem, ale nigdy się do tego nie posunęli. Zdawali się trzymać jakiegoś kodu, którego reguł Ted mógł się jedynie domyślać. W Breedonk trzymali go w izolatce, odmawiali opieki lekarskiej i niekiedy pozbawiali posiłków, a poza tym budzili o każdej porze dnia i nocy, by go kompletnie zdezorientować. Ale nigdy go nie tknęli poza tym, że wyprowadzali z celi i wprowadzali z powrotem. Prawdę mówiąc, często oficerowie belgijscy zachowywali się z jowialną dobroduszością. Często dawali Teda papierosami, podawali mu ogień i zagadywali o B-17 czy P-38, jednak najwyraźniej nie po to, by zyskać jakieś nowe, rewelacyjne informacje; robili to raczej w sposób, w jaki dwóch przeciętnych mężczyzn mogłoby w czasie towarzyskiej pogawędki porównywać zalety fordów i chevrolatów.

Gdyby się skoncentrował, nie miałby kłopotu z określeniem daty. Ale na początku był tak wściekły, że upływ czasu go nie interesował. Teraz nawet godzina zdawała się straszną torturą - z niecierpliwością czekał na każdą nadchodzącą minutę, zmuśnię obserwował jej przemijanie, odnotowywał w umyśle. A potem robił to samo z następną minutą.

Przeturlał się na bok. Pomyślał, tak jak robił to już tysiące razy od chwili, gdy się tu znalazł, że nadmiar czasu nie jest jednak najgorszą torturą, jaka go tu spotkała - najgorszą jest niewiedza.

Gdy usłyszał za plecami gwałtownie oddalające się kroki, ruszył na przód po nierównym polu. Przed nim tkwił nieruchomy krąg światła - jakby go przyzywał. W ręku Ted trzymał tabliczkę czekolady. Dokumenty i chustkę Claire miał w kieszeni palta. Czy będzie musiał im podać swoje nowe nazwisko? Czy dwóch pozostałych lotników znajduje się już przy samochodzie?

Gdy znalazł się jakieś półtora metra od światła, latarka zgasła. Natychmiast po jego obu stronach stanęło dwóch ludzi, ujęło go pod łokcie. Uprzejmie zaprowadzili go do samochodu, otwarli tylne drzwi, gestem zaprosili do środka. W samochodzie za kierownicą siedział jeszcze jeden

człowiek. Ted ujrzał, przez ułamek sekundy, błysk dystynkcji na pagonie pod szaroburym płaszczem. Natychmiast przyszedł mu na myśl ten chłopak bez ucha, Dussart, i ton jego głosu, gdy rozmawiał z Henrim. Ted wszystko zrozumiał w tym momencie, w jednej chwili dotarła do niego cała prawda. Ta świadomość uderzyła go niczym pocisk - raz, potężnie, ogłuszająco. Pochylił się lekko do przodu i schował twarz w dłoniach. Miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

Henri.

Czy także Claire?

Mężczyzna siedzący po prawej stronie Teda wyjął mu tabliczkę czekolady z dłoni. Dobrą angielszczyzną, choć z silnym obcym akcentem, oznajmił:

- Nie będzie pan tego potrzebować tam, dokąd się pan udaje.
- A dokąd się udaję? - zapytał Ted.

Mężczyzna odchrząknął znacząco, po czym odezwał się tak, jakby przez dłuższy czas ćwiczył podobne oświadczenie:

- Poruczniku Theodorze Brice, z przykrością muszę pana poinformować, że nie udaje się pan do Francji. Zabieramy pana do Brukseli.

Tedowi zdawało się, że w tym momencie na twarzy mężczyzny dojrzał uśmiezek satysfakcji z dobrze wykonanego zadania w obecności przełożonego.

Jechali w ciemnościach - najpierw fatalnymi polnymi drogami, potem gładką szosą. Człowiek siedzący obok połamał czekoladę na kawałki, poczęstował kierowcę i mężczyznę siedzącego po lewej stronie Teda. Czy ta czekolada to był sygnał, specjalny znak? Ted próbował przypomnieć sobie wszystkie wydarzenia tego dnia, odtworzyć je w umyśle niczym film. Zobaczył twarz Claire siedzącej w ciężarówce, twarz mokrą od łez, na której pojawił się wyraz szczerzej ulgi na jego widok. Ale zaraz też ujrzał jej dłoń na ramieniu Henriego, uświadomił sobie intymność owego gestu.

Co więc to oznaczało, czym tak naprawdę była jej miłość do niego?

I co zamierzała powiedzieć? Może: „Ja... nie jestem osobą, za jaką mnie bierzesz?”.

Myśli mu wirowały, biegły naprzód i wracały, galopowały szaleńczo. Nie był w stanie ułożyć ich w logiczny ciąg. Zaczął od nowa, spróbował odtworzyć swój film klatka po klatce. Ujrzał każdą godzinę, analizował każdy gest. Siedzący po jego bokach mężczyźni rozmawiali szybko po francusku i od czasu do czasu wybuchali śmiechem. Byli zrelaksowani, zadowoleni. Umysł Teda pracował w niezwykłym tempie, myśli klarowały się, po czym znów gubiły w zawiłościach. W żołądku czuł szczególną pustkę, miał nudności - nudności, jakie niekiedy odczuwał, gdy wysiadał z samolotu po wyjątkowo nieudanej misji. Tak manifestował się szok - szok, który trzeba było zdusić tam na górze, w powietrzu. Ale który dawał o sobie znać natychmiast po lądowaniu. Jak w wypadku Case'a, którego łapał silny ból głowy, gdy tylko wkraczał na pas startowy. Gdzie teraz podziwia się Case? Może jest już w domu? Zwolniony ze służby z powodu rany ramienia?

Czy Henriemu za to zapłacono? Czy może zrobił to dla dobra sprawy, z przekonania? Czy Henri rzeczywiście wiedział na pewno, że Ted i Claire byli kochankami? Czy stało się tak za jego pełnym przyzwoleniem? Czy potem cieszyła go ta ironia losu? Rozkoszował się poczuciem winy amerykańskiego pilota?

W drodze do Brukseli zatrzymali się raz, by każdy z mężczyzn mógł oddać moc. Gdy dwóch belgijskich strażników wyszło z samochodu, kierowca odwrócił się w stronę Teda, mierząc do niego z rewolweru, który trzymał zaledwie kilkanaście centymetrów od twarzy Amerykanina.

Ted w tym momencie omal nie powiedział: „Strzelaj!”.

Przez wiele tygodni było mu wszystko jedno, gdzie się znajduje i jak długo. Miał tylko ochotę odtwarzać w umyśle swój film, wciąż i wciąż, i w kółko od nowa. Denerwowały go przesłuchania, nie dlatego jednak, że się ich bał, ale ponieważ odrywały go od tego, co wówczas było dlań najważniejsze. Próbował sobie przypomnieć, jak wiele może powiedzieć przesłuchującym, co powinien zrobić, by przygotować plan ucieczki. Pewnego razu zastanawiał się z gorzką satysfakcją, czy nie wydać Henriego, a nawet Claire, ale powstrzymał się od niskiej zemsty. Niekiedy nabierał absolutnej pewności, że Claire była z Henrim w zмовie. Szczegóły i niuanse układały się w logiczny ciąg. W wymyślną intrygę. W takich chwilach Ted zaczynał postrzegać jej mądrość i głęboko zakorzeniony instynkt przetrwania jako cechy zrodzone nie z oporu wobec wroga, ale z pragmatyzmu i oportunisty. I zaraz potem przypominał sobie, jak ujmowała jego dłoń, całowała palce, oddawała mu się z pasją i bez reszty. I w tych chwilach wiedział, że już nigdy w życiu nie będzie zdolny - patrząc na coś, smakując to coś - powiedzieć z całą pewnością: to jest właśnie to, a nie coś innego.

Po jakimś czasie (paru tygodniach? miesiącu?) - zachorował. Miał silną gorączkę, ubranie mokre od potu, wilgoć celi zaś przyprawiała go o straszliwe dreszcze. Był przekonany, że już nigdy w życiu nie zdoła się choćby odrobinę ogrzać. A potem przyplątały się gwałtowne napady kaszlu i klucie w piersiach, przeszywające bólem przy każdym oddechu. Ted miał wrażenie, że coś zagnieździło mu się w klatce piersiowej, jakiś obcy twór - gniew lub może zgorzknienie.

W Breedonk podobno nie było lekarza ani żadnych lekarstw na jego chorobę, jednak zaprzestano przesłuchań i nawet od czasu do czasu dawano mu suche koce. Ted często popadał w malignę i wówczas głośno rozmawiał z Frances, a nawet z kapitanem swojej eskadry - człowiekiem,

którego prawie nie znał. Czasami wydawało mu się, że jest w Ohio, a czasami - że na akcji bojowej w powietrzu. Pewnego razu śniło mu się, że znalazł Claire ponad chmurami zamotaną w spadochron. W innym śnie siedział w ciężarówce tuż obok Henriego, uśmiechającego się szeroko i pogwizdującego jakąś melodię.

Tracił świadomość i ją odzyskiwał, po czym znów opadały go majaki. Raz wydawało mu się, że odwiedził go oficer RAF-u imieniem Bernie, który wciąż miał na sobie mundur i który zabawnie połykał samogłoski. Ta wizyta bardzo różniła się od wszystkich innych halucynacji, więc Ted nabrał przekonania, że rzeczywiście miała miejsce. Oficer RAF-u był bardzo troskliwy i dopytywał się gorliwie, czego Tedowi potrzeba; potem jednak wyznał, że nie jest w stanie wiele mu pomóc. Bo sam jest jedynie więźniem. Jego załoga musiała wyskakiwać - cóż za pech! - nad samą Brukselą, więc został natychmiast aresztowany. Fascynowała go opowieść o lądowaniu bombowca Teda i w miarę rozwoju rozmowy wypytywał o coraz więcej szczegółów dotyczących uszkodzenia samolotu, nocy spędzonej w lesie i pomocy udzielonej pilotowi przez belgijski ruch oporu. Gdy Ted już-już miał mu opowiedzieć o chłopcu, który go odnalazł i uratował, zorientował się nagle, że oficer RAF-u (nad wyraz nonszalancki w gestach, niespotykane swobodny; czemu właściwie się nie boi i dlaczego jego mundur jest taki czysty?) wykazuje przesadną ciekawość, i w tym momencie w głowie zapaliło mu się światełko alarmowe. A może popada w paranoję i dlatego węszy zdradę wszędzie, zupełnie bez powodu? Niemniej udał, że zasypia, i wówczas usłyszał, że oficer wzdycha z rezygnacją, po czym woła strażnika. Ted nigdy w życiu nie ujrzał więcej tego człowieka.

Ponownie zapadł w sen z kocem naciągniętym niemal na czubek głowy. Spał głęboko, po czym się budził, płytko drzemał, znowu zapadał w otchłań snu, aż w końcu wynurzył się na powierzchnię i sen rozproszył się powoli niczym gęsta mgła. Ted usiadł na pryczy, dochodził do siebie. Do celi wpadało teraz więcej światła - prawdopodobnie było koło ósmej rano. Okrągła kłapa w drzwiach była otwarta i stał tam metalowy kubek teraz

już wystygłej herbaty, obok zaś leżały dwie czerstwe bułki. Ted pochylił się do przodu i wstał. Zabrał jedzenie z tacy i wrócił na pryczę.

Trzymał bułkę w jednym ręku, kubek - w drugim. Jego dłonie w porównaniu z cienkimi nadgarstkami wydawały się teraz karykaturalnie duże - niczym dłonie postaci ze śmiesznej kreskówki. Zastanawiał się, jak dużo stracił na wadze od czasu rozbicia samolotu - dwadzieścia, trzydzieści funtów?

Wbił zęby w czerstwą bułkę. Słońce żłobiło jasny prostokąt w kamiennej ścianie. W niektóre dni, leżąc na swojej pryczy, jeszcze w więzieniu Breedonk, obserwował, jak ten prostokąt przemierza całą długość ściany, po czym wpełza na podłogę, by w końcu zniknąć.

Znowu złapał go napad kaszlu. Ted przycisnął pięść do piersi. Jeżeli kochasz kobietę i nagle odkrywasz, że nie jest taka, jak sądziłeś, pod jednym względem - jednym, istotnym względem - czy wciąż jeszcze jesteś w stanie kochać tę kobietę?

Nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Próbował przekonać samego siebie, że Claire dobrze znała zamiary Henriego, i gdy już mu się wydawało, że w pełni w to uwierzył, zadawał sobie pytanie, czy wciąż ją kocha. I gdy tylko myślał o miłości do niej, natychmiast całe przekonanie o jej niegodziwości rozpadało się w proch i już nie był w stanie wierzyć w jej winę. Czyż twarz kobiety w tak intymnych sytuacjach może kłamać - kłamać przez dwadzieścia dni i nocy, nie zdradzając się ani przez chwilę?

Odstawił pusty kubek na okrągłą tacę i sięgnął po buty. Były wyprodukowane w Belgii z bliżej nieokreślonego materiału, za małe na niego, ale wkładał je, by nie chodzić po wilgotnej podłodze w samych tylko skarpetkach. Cywilne ubranie zabrano mu już pierwszego dnia wwiezieniu, a w tym polowym mundurze i w tych samych skarpetkach chodził już od niemal dwóch miesięcy. Skarpetki. Oddałby niemal wszystko za czystą parę.

Wsunął ręce do kieszeni i zaczął okręcać celę. Wciąż jeszcze nie był w stanie obciążać w pełni chorej nogi. więc silnie utykał. Kilka dni po przybyciu do Breedonk belgijski oficer kazał mu zdjąć bandaż. Przesłano sa-

nitariusza z dużymi nożycami i niewielką piłą; w owej chwili Ted był pewien, że utną mu stopę.

Po dziesięciu okrążeniach położył się na wznak na pryczy i wbił wzrok w sufit. Zadrećzał się wizjami Claire i Henriego w łóżku. Może nawet czasami o nim rozmawiali. Henri musiał wszystko wiedzieć, musiał się wszystkiego domyślić, gdy zobaczył swoją żonę i Teda razem w ciężarówce. Czy jej wybaczył? A może, co gorsza, te dwadzieścia dni to była przemyślana część planu Henriego? Ted zasłonił oczy ramieniem.

Zgrzyt metalu o drzwi kazał mu odwrócić głowę. Czekał, by z okrągłej klapy wysunęła się taca z pustym kubkiem, a tymczasem drzwi się otworzyły. Stający w nich strażnik kiwnął na niego ręką.

Ted podniósł się, wiedząc świetnie, że żaden fizyczny opór nie ma najmniejszego sensu. Kuśtykając, opuścił celę, po czym, z postępującym za nim strażnikiem, powędrował długimi korytarzami, by wreszcie wejść do jakiegoś pokoju. Zielone ściany, taboret na trzech nogach. Dwóch potężnych strażników przy drzwiach. Drewniana podłoga z plamami krwi. Za czystym, metalowym biurkiem belgijski oficer. Gestem kazał Tedowi usiąść.

Oficer zdjął spiczastą czapkę, położył na blacie. Z kieszeni spodni wyjął chusteczkę, otarł pot z czoła.

- Przybył pan do nas z Breedonk.

-Tak.

- Był pan chory.

- Tak.

- Ale teraz czuje się pan już lepiej.

- Nieco lepiej.

- Zjadł pan bułki.

-Tak.

- Wie pan, że dzisiaj odeślemy pana do obozu jenieckiego dla lotników. Do Niemiec. Oflag Luft.

-Nie.

- Czy nie miałby pan nic przeciwko temu, żebym zadał panu jeszcze parę pytań?

- Miałbym wiele przeciwko temu.

- Poruczniku Brice. Pana opór i milczenie w Breedonk były zupełnie daremne. W efekcie tylko zapadł pan na zdrowiu i bardzo mi z tego powodu przykro.

- Nie wątpię.

- Mógłbym przyczynić się do znacznej poprawy warunków, w jakich pan przebywa. Mógłbym nawet załatwić panu zwolnienie.

- Wątpię.

Taboret był niski i Ted czuł się bardzo nieswojo, siedząc z wysoko sterczącymi kolanami. Na takim meblu w żadnym razie nie można było usiąść w pełnej godności pozie. Ted zaczął się zastanawiać, ile czasu potrzebowaliby strażnicy, żeby go dopaść, gdyby nagle rzucił się na oficera i próbował skrócić mu kark.

- Poruczniku Brice, czy nie zna pan przypadkiem... – oficer pochylił się, by odczytać coś z kawałka papieru - ...osobnika o nazwisku Henri Daussois?

Ted siedział całkiem nieruchomo, świadomy jednak, że zdradza się nagłym popadnięciem w milczenie. Poczul, jak serce skacze mu do gardła. Położył powoli dłonie na kolanach, by się uspokoić. Próbował przybrać obojętny wyraz twarzy i nonszalancki ton.

- Jestem porucznik Theodore Brice. Mój numer identyfikacyjny to AO 677292.

- Tak, tak - oficer machnął niedbale dłonią, jakby oczekiwał podobnej odpowiedzi, a mimo to poczuł się nią zawiedziony.

Czyżby nie wiedzieli, że to właśnie Henri go wydał? Czy znali go jedynie jako łącznika, a nie podwójnego agenta? Czy trzymali Henriego w areszcie, czy go poszukiwali?

Krew uderzyła Tedowi do twarzy, zaszumiała w uszach. Mógłby pograżyć Henriego jednym słowem - tak po prostu, bez najmniejszego wysiłku. Przypomnił sobie, jak w ciemnościach Henri wręczył mu tabliczkę czekolady, wystawiając go w ten sposób wrogowi. To byłaby szybka,

słodka zemsta. Niemal na pewno za pomoc udzieloną alianckiemu pilotowi Henri zostałyby rozstrzelany lub powieszony.

- Proszę się dobrze zastanowić, poruczniku Brice. I proszę nie zapominać, że mogę załatwić panu zwolnienie. Bez względu na to, co pan słyszał o niemieckich obozach jenieckich i panujących w nich względnie dobrych warunkach, zapewniam pana, że nie jest to miejsce, w którym miałby się pan ochotę znaleźć - szczególnie z tak nadwerężonym zdrowiem.

Ted zamknął oczy. Poczul przyprawiający o mdłości zawrót głowy, jak wtedy gdy zdarzało mu się za wiele wypić. Szybko otworzył oczy, by powstrzymać to wirowanie, i wówczas zauważył, że dłoń na kolanie zwinęła się w pięść. Rozprostował palce, usiłował rozluźnić mięśnie, ale oficer już to na pewnospostrzegł.

- Poruczniku Brice, żądam odpowiedzi.

Czuł ostre klucie w piersiach. Zaniósł się kaszlem i przycisnął pięść do mostka. Podniósł wzrok na oficera. Tak, mógłby pograżyć Henriego jednym słowem, ale wówczas nie mógłby już tylko na tym poprzestać.

- Jestem porucznik Theodore Brice - powtórzył. - Mój numer identyfikacyjny...

- A niejaka Claire Daussois? Czy przypadkiem nie zna pan takiej kobiety?

On wie, pomyślał Ted. Tak naprawdę wcale nie chce odpowiedzi, bo już tę odpowiedź zna. Po prostu chce popatrzeć na jego reakcję. I wówczas uderzyła go straszna myśl - myśl, od której zrobiło mu się niedobrze.

Mają ją. Została złapana.

- Claire Daussois - powtórzył oficer. - Czy pan ją zna?

Ted bał się odezwać, bo nie ufał swojemu głosowi. Nienawidził sposobu, w jaki ten człowiek wymawiał jej imię. Chciał krzyknąć, by zamknął swoją pieprzoną gębę. Tymczasem jednak odchylił się do tyłu, wyciągnął przed siebie nogi, skrzyżował je nonszalancko. Wsunął drżące dłonie do kieszeni. Zmusił się, by spojrzeć w stronę okna, i zacząć gwizdać. „In the Mood” Glenna Millera.

- Może więc ujmę to inaczej, poruczniku Brice. Uważam, że pan świetnie zna zarówno Henriego, jak i Claire Daussois.

Po raz pierwszy od chwili aresztowania, a właściwie po raz pierwszy od początku wojny Teda ogarnęła furia. Czuł, jak krew pulsuje mu w głowie, jak płoną mu policzki. Teraz już nie było istotne, co zrobiła czy czego nie zrobiła Claire. On nie będzie tym, który ją połączy z siatką przerzutową bądź potwierdzi podobny związek.

Furia jednak szybko ustąpiła miejsca niemal paraliżującemu bólowi. Ted mimo to zmusił się do zagwizdania kolejnej melodii. „Hot Chocolate” Duke’a Ellingtona. W rytm muzyki podrzucał nerwowo stopą. Siedział złapany w potrzask własnej nonszalancji, desperacko pragnąc dowiedzieć się czegoś o Claire. Wiedział jednak, że nie wolno mu zapytać. Możliwe więc, że nigdy w życiu już się nie dowie, co ją spotkało. Nagle przypomniał sobie opowieść Claire o niejakim Leonie Balie -jak recytował zdania ze szkolnego elementarza.

I w tym momencie zaczął powtarzać słowa jednego z wierszy angielskiego poety, które utkwily mu w pamięci. Zdołał wygłosić zaledwie dwie linijki i musiał urwać. Nie mógł się zmusić do wykrztuszenia choćby jeszcze słowa. Założył ręce na piersi, zacisnął usta.

Oficer patrzył na niego jak oniemiały, jednak po chwili przybrał zdegustowany wyraz twarzy. Podniósł się zza biurka.

- Zabrać go do lekarza - rozkazał cicho strażnikom.

Zwymiotował do ubikacji, pierwszej prawdziwej ubikacji, jaką widział od wielu tygodni. W żołądku nie miał ani odrobiny pokarmu; po prostu jego organizm wymagał jakiejś formy oczyszczenia. Wytarł usta wierzchem rękawa. W tym momencie w drzwi kabiny uderzył niecierpliwie strażnik i wymamrotał coś po francusku.

Ted podniósł się, wyszedł na zewnątrz. Znajdowali się teraz w innej części więzienia - w infirmerii, jak sądził. Zza ściany dobiegał go szum wody. Prysznice. Jeden ze strażników wręczył mu maleńki kawałek mydła i płócienny ręcznik, po czym palcem wskazał w kierunku płynącej wody.

Automatycznie, bezmyślnie Ted zrzucił ubranie, cisnął na podłogę. Wkroczył do łaźni, tylko połowicznie uświadamiając sobie obecność innych mężczyzn, zresztą tak zaabsorbowanych przyjemnością zażywania

kąpieli, że żaden z nich nie zwrócił na niego uwagi. Ted odkręcił wodę, poczekał, aż z zimnej stanie się letnia. Namydlił się, zaczął szorować włosy. Prawa noga, jak zauważył, była w łydce dużo chudsza niż lewa. Uniósł głowę, otworzył usta i pozwolił, by woda spływała mu po całym ciele, do gardła. Stał tak bez ruchu, aż inny nagi mężczyzna szturchnął go w bok i wskazał na drzwi.

Wytarł się starannie, włożył przyszykowane na stole ubranie. Kolejny mundur polowy. Za mały na niego. Ciekawe, co spotkało jego właściciela. Został zestrzelony? Rozstrzelany?

A może udało mu się przedostać z powrotem do Anglii?

Ciepła wilgoć łaźni oczyściła mu płuca. Ted zaczerpnął głęboki oddech po raz pierwszy od wielu tygodni. Poprowadzono go do grupy trzydziestu, może czterdziestu mężczyzn siedzących na wąskiej ławce. Na końcu ławki znajdowały się drzwi, w których pojedynczo znikali oczekujący mężczyźni.

Wielu z nich rozmawiało ze sobą przyciszonymi głosami, jakby wiatr niósł po jeziorze falę. Ted jednak nie rozumiał ani jednego wypowiedzianego słowa.

Ilu ludzi już zginęło z jego powodu? Próbował policzyć. Dwóch członków jego załogi. Trzech niemieckich strażników. Dziesięciu powieszonych. I kto jeszcze? Dziewiętnastu kolejnych? Trzydziestu pięciu? Pięćdziesięciu pięciu? Czy ostatecznie wszystkie straty nie sprowadzają się zaledwie do suchych liczb? Taką buchalterie przynajmniej prowadzili w bazie. Cztery samoloty zestrzelone. Trzydziestu siedmiu zabitych. Dwadzieścia lotów bojowych wykonanych, jeszcze jeden do wykonania. Tak rozmyślając, przesuwiał się po ławce wraz z innymi.

Dzisiaj miał zostać przetransportowany na wschód, do Niemiec. Nie wyskakujcie nad Niemcami, ostrzegano ich zawsze na odprawach, bo już nigdy się stamtąd nie wydostaniecie. Cóż, niech tak będzie. Ted miał tylko nadzieję, że w obozie jakiś dupek kapitan nie będzie ich zmuszać, by się próbowali przekopać tunelem do Francji. Teraz chciał jedynie, by Niemcy osadzili go w jednym miejscu i by wszyscy zostawili go w spokoju. Chciał pograć w karty. Potrzebował drinka. Zastanawiał się, czy jeńcy w

obozie mają możliwość pędzenia bimbru. Siedemdziesięciopięcioprocentowego. Ścinającego z nóg. Mało prawdopodobne. Ted nagle uświadomił sobie, że zachowuje się tak, jak słyszał w wielu opowieściach: po jakimś czasie przestajesz fantazjować na temat seksu, a zaczynasz fantazjować na temat jedzenia.

Powoli przesuwał się do przodu. Taśmociąg do Niemiec. Przyjrzał się mężczyznom siedzącym na ławce. Tylko on, Ted, był w mundurze. Kim byli pozostali mężczyźni? Dlaczego się tu znaleźli? Ukrywali alianckiego lotnika? Kolportowali ulotki? Wysadzili jakiś most?

Jakby z wielkiej odległości dobiegło go nagle własne nazwisko. Zostało wypowiedziane z takim samym akcentem, jakim posługiwała się Claire, i przez chwilę falą powróciły bolesne wspomnienia.

Wszedł do pokoju, w którym naprzeciw drzwi stały nosze, pośrodku biurko, a pod ścianami szafki z medycznymi przyrządami. Po prawej stronie były drzwi otwarte na korytarz.

Na skraju biurka siedział mężczyzna w białym fartuchu, ze stetoskopem zawieszonym na szyi. Robił jakieś notatki.

Gdy Ted wszedł do pokoju, podniósł wzrok i - co dziwne - uśmiechnął się serdecznie.

- Witam, poruczniku - odezwał się bardzo dobrą angielszczyzną. Miał na nosie pince-nez i Ted pomyślał, że już od bardzo wielu lat nie widział, by ktokolwiek nosił coś podobnego.

Lekarz gestem wskazał mu krzesło ustawione z boku biurka.

- To zwykłe rutynowe badanie - powiedział przyjaźnie. - Sprawdzenie kondycji fizycznej przed wysłaniem w dalszą drogę. Widzę, że pojedzie pan do obozu jenieckiego dla lotników. To o wiele przyjemniejsze miejsce niż to, w którym się pan teraz znajduje. Bardziej przypomina koszary niż więzienie. I zostawią tam pana w spokoju. Żadnych więcej przesłuchań. Jest pan pierwszym Amerykaninem, jakiego oglądam od bardzo długiego czasu. Bo rozumiem, że jest pan Amerykaninem? Ted skinął głową.

- No, dobrze. Proszę pokazać język. Chciałbym też pana osłuchać.

Ted owinał język wokół termometru. Lekarz nachylił się nad nim i przyłożył stetoskop do piersi. W skupieniu zacisnął usta w wąską kreskę.

Zaczął osłuchiwać dokładniej, miejsce przy miejscu. W końcu wyjął termometr z ust Teda.

Uważnie przyjrzał się twarzy Amerykanina, obejrzał oczy, obmacał szyję i za uszami.

-Kaszle pan?

Ted skinął głową.

-

Uczucie ciężaru w piersiach?

-Tak.

Lekarz jeszcze raz zaczął osłuchiwać Teda. Przesuwał stetoskopem po skórze. Postukał pilota po plecach, co natychmiast wywołało atak kaszlu.

Wreszcie wyprostował się, skrzyżował ręce i wbił wzrok w pacjenta.

- Już dawno temu powinien pana zbadać jakiś lekarz.

- Starąłem się o to. Bezskutecznie.

- Mnie to wygląda na zapalenie płuc. Przygotuję zastrzyk. W normalnych warunkach nie pozwoliłbym pana nigdzie przetransportować, ale powinien pan jak najszybciej zniknąć z tego miejsca. Tutaj pan umrze - oznajmił beznamiętnie. - Nie mogę obiecać, że w obozie będzie dużo lepiej, ale na pewno nie będzie gorzej. Och, niech pan na to spojrzysz. Całkiem niezła, chociaż praktycznie bez włosów.

Ted powędrował wzrokiem za spojrzeniem lekarza. Po drugiej stronie korytarza stały otworem drzwi do innego pomieszczenia.

Włosy, lekko wilgotne, opadały jej w postrzępionych, krótkich kosmykach na twarz. Stała z rozchyłonymi ustami, przyciskając jedną rękę do brzucha. Pod cienką koszulą rysowały się jej piersi, sutki. Ted ujrzał fioletowo-żółte pręgi na nogach i ramionach.

Zaląła go fala gorąca.

W duchu wykrzykiwał jej imię.

Była nieprawdopodobnie blada i miała tak wychudzoną twarz, że pod skórą sterczały wszystkie kości. Otworzyła szeroko usta i Ted przez chwilę myślał, że do niego przemówi. W pierwszej chwili bardzo chciał, żeby przemówiła, ale zaraz się zreflektował. Zarzucił ramię na oparcie krzesła, by się jakoś zakotwiczyć, powstrzymać od rzucenia przez korytarz.

Minęły dwie, może trzy sekundy.

Jednak w tym czasie zrozumiał, że nie może z niczym się zdradzić. Przyznanie się do znajomości z nią było równoznaczne z wydaniem na nią wyroku. Wyroku śmierci. Bo jeżeli była w infirmerii, to przecież oznaczało, że postanowiono darować jej życie. On mógłby to zniweczyć.

Tę straszną decyzję podjął w ułamku sekundy. I widział, że ona nic z tego nie rozumie.

Chciał wybuchnąć płaczem. Krzyczeć. Pomimo tego, co jej zrobili, wciąż była najpiękniejszą kobietą, jaką widział w życiu.

Claire postąpiła krok do przodu, przytknęła palec do ust.

Ten gest Ted miał zapamiętać do końca życia. I zaraz potem drzwi po drugiej stronie korytarza zamknęły się z hukiem.

Wiosenny wietrzyk trącał młode liście. Pod stopami zazielenione pole wciąż było nierówne. Trawy wypuszczały w górę świeże pędy. Chłopiec położył rower. Promienie słońca odbijające się w srebrzystym metalu samolotu boleśnie raziły w oczy. Z rękami w kieszeniach podszedł do maszyny, przyglądając się jej bacznie. Wydawała mu się śmiertelnie rannym zwierzęciem, starym psem, który legł, by jeszcze zaczerpnąć ostatniego oddechu. Wokół kadłuba wrytego w pastwisko rozkwitły wczesne leśne kwiaty. Poszycie ogona, trzepocząc na wietrze, wybijało taneczny rytm.

Plotka głosiła, że nazajutrz Niemcy zdemontują samolot. Chłopiec zastanawiał się, czy potną go na kawałki i jakich do tego użyją narzędzi. Wszystko, co można było wynieść z bombowca, już dawno temu zostało wyniesione. Został tylko wybebeszony kadłub - pogięty, poznaczony plamami niczym znakami po ospie. W miasteczku mówiło się, że Niemcy zamierzają przekształcić pastwisko w pas startowy dla samolotów transportowych. Jean pomyślał, że Amerykanin na pewno bardzo by się zdziwił, gdyby się dowiedział, do czego doprowadziło jego lądowanie na brzuchu. Nieprawdopodobne, co pociągają za sobą niektóre wydarzenia.

Pilot zniknął, a Jean nie wiedział, dokąd go zabrali. Widział go na rynku w Rance, a następnego dnia usłyszał, że aresztowano madame Daussois. Nikt nie wiedział, czy Amerykanina zabrano razem z nią, czy też udało mu się zbiec. Jean miał gorącą nadzieję, że lotnik - w tym źle dopasowa-

nym berecie i wieśniaczym palcie - dostał się bezpiecznie do Hiszpanii, a potem jeszcze dalej. Czasami, gdy słyszał warkot bombowca, patrzył w niebo i zamyślał się. Gdyby ten Amerykanin przelatywał na Delahaut, to na pewno zamachałby skrzydłami – tak czy inaczej przesłał im jakiś sygnał.

Chłopiec podszedł do samolotu, położył dłoń na skrzydle. Tak wiele się wydarzyło od chwili, gdy bombowiec spadł tutaj niecałe trzy miesiące temu. Jean przypominał sobie bliznę w ziemi, jaką wówczas wrył samolot; teraz była to szeroka, płytka bruzda zarastająca trawą. Przed oczami stanęła mu też własna wędrówka po lesie, przypominał sobie szok, jaki odczuł na widok nogi pilota. Jednak dobrze, że to wszystko stało się w zimie - teraz, przy obfitości listowia, prawdopodobnie nigdy nie udałoby mu się znaleźć Amerykanina.

Obszedł dookoła dziób, cały czas wodząc ręką po metalu. Martwił się o madame Daussois. Dokąd ją zabrali? I kiedy tutaj wróci? Niemal każdego dnia starał się przejechać obok jej domu. Trawa zaczęła zarastać obejście, a jej rower wciąż stał oparty o szarą, kamienną ścianę. Nikt nie rozsunął zasłon zaciemniających, które teraz nadawały domowi żałobny wygląd. Ciężarówka, którą - jak każdy wiedział - trzymała za oborą, została zarekwirowana przez Niemców. Jean był zdziwiony, że nie zabrali także jej roweru.

Postanowił, że gdy to wszystko się skończy, poprosi madame Daussois, by mógł zamieszkać razem z nią. Ona nie miała własnych dzieci, a on mógłby pracować na swoje utrzymanie. Znał dobrze pracę na farmie, a poza tym dowiedział, że można mu ufać. No i może bez żadnych dzieci madame Daussois czuła się samotna.

Tak czy owak jednego był pewien - kiedy wojna się skończy, bez względu na to, kto ją wygra, Jean opuści dom ojca. Jeżeli alianci zostaną pokonani, życie pod jednym dachem z ojcem stanie się nie do zniesienia; jeżeli zwyciężą - ojciec będzie sądzony za kolaborację i prawdopodobnie rozstrzelany. Jean nie potrafił się przyznać przed samym sobą, iż tak naprawdę ma nadzieję, że ojca rozstrzelają; mówił więc sobie tylko, że po prostu przypuszcza, iż tak się stanie. W każdym razie Jean nie pozostanie

w rodzinnym domu. Będzie tam mieszkać tylko do końca wojny, ze względu na matkę, ale ani chwili dłużej. Nawet ona nie może oczekiwać od niego niczego więcej.

Nagle przyszło mu do głowy, że gdy następnym razem będzie przejeżdżać koło domu Daussois, poszuka w oborze kosy i skosi dla niej trawę. Tak, to doskonały pomysł. Będzie dbać o jej obejście. Sam, z własnej inicjatywy. Ona wówczas się przekona, jakim dobrym jest pracownikiem. Może nawet zacznie jeszcze dzisiaj, tuż po szkole.

Okrążając samolot, lekko uderzał ręką w metal. Nie chciał, żeby Niemcy pocięli bombowiec. To była piękna maszyna. Jean złożył dłonie w kształt samolotu - złączone kciuki tworzyły kadłub, rozpostarte palce - skrzydła, po czym zaczął swój wyimaginowany lot nad Belgią. Na koniec zatrzęsło nim, niską pętlą przeleciał nad miasteczkiem i wylądował na brzuchu na pustym pastwisku. Rozłączył kciuki, wsunął ręce do kieszeni i schylił się nisko, by przejść pod ogonem. Powinien wracać do szkoły, wiedział o tym. Wkrótce zaczną się popołudniowe lekcje.

Idąc już w stronę roweru, zatrzymał się nagle i odwrócił, by jeszcze po raz ostatni rzucić okiem na samolot. Wbił wzrok w kokpit z roztrzaskaną szybą. Pomyślał o strzelcach stojących w środku, wystawionych na zimno i niemiecki ostrzał. Zastanawiał się, co czuje taki strzelec. Albo pilot. Pod wpływem chwili, zupełnie nie wiedząc dlaczego, podbiegł z powrotem do samolotu i wspiął się na skrzydło. Odwrócił się, rozejrzał po polu i po pobliskim lesie. Dzień był słoneczny, tylko młode drzewka ugiwały się pod podmuchami wiatru.

Jean ostrożnie przeszedł na skraj skrzydła, rozpiął kurtkę, zamknął oczy. Wiatr wydał materiał kurtki za jego plecami.

Chłopiec wychylił się do przodu i rozpostarł ramiona. A potem skoczył najdalej, jak umiał.

30 GRUDZIEŃ1993

Ciągnęła swą opowieść aż do nocy, a potem spokojnie zamilkła, niby nagle zgaszona świeca, i wówczas pomyślał, że zrozumiał, albo przynajmniej był sobie w stanie wyobrazić, jak wyglądało to życie.

Pomiędzy nimi na stole stała pusta butelka po czerwonym winie i popielniczka wypełniona po brzegi niedopałkami - wszystkimi jej. Paliła bardzo dużo - niemal odpalała jednego papierosa od drugiego przez cały czas, gdy snuła tę historię, tak że powietrze dookoła nich nabrało lekko sinawego zabarwienia. Raz czy dwa przerwała opowieść i wyszła z kuchni; Tom nie miał jednak pojęcia, dokąd chodziła. No i przerwała też opowieść, by przygotować coś do zjedzenia - chleb, ser, kielbasę, owoce. Stół nakryła kremową koronką.

Z przyjemnością słuchało się jej głosu - niskiego, głębokiego, pozbawionego cienia dramatyzmu. Prawie przez cały czas siedziała, podpierając dłonią podbródek, trzymając papieros z dala od twarzy. Podciągnęła rękawy za łokcie; nadgarstki i przedramiona miała szczupłe i silne.

Jednak uwagę Toma najbardziej przyciągały jej oczy. Wielkie, bladoszare ową szarością, którą utożsamiał ze spokojem. Miała kremową karnację, skórę pudrowo aksamitną w dotyku. Twarz znaczyło wiele zmarszczek, ale pod skórą zaznaczała się piękna linia kości i nietrudno było wyobrazić sobie, jak wyglądała, gdy była młoda. Siwe włosy zaczesła za uszy. Miała na sobie lnianą bluzkę i szary sweter w kolorze oczu; spódnica sięgała jej tuż za kolana. Nie nosiła żadnej biżuterii. Siedziała idealnie wyprostowana - miała sylwetkę o wiele młodszej osoby.

Gdy Tom odszukał ją tuż przed ceremonią, spostrzegł, że nie zdziwiła się bardzo na jego widok, choć coś musiało ją uderzyć w jego wyglądzie, bo drgnęła wyraźnie, kiedy pierwszy raz spojrzała mu w twarz. Ceremonia była uroczysta i wzruszająca - szczególnie przelot Belgijskich Sił Po-

wietrznych nad miasteczkiem i poświęcenie przez księdza tablicy z nazwiskiem ojca. Po ceremonii zaprosiła go do siebie na kawę. I właśnie wtedy, gdy usiedli w kuchni, oświetlonej wpadającymi przez okno słabymi promieniami zimowego słońca, zaczęła swą opowieść - niskim dźwięcznym głosem, specyficznym akcentując wyrazy.

Snuła tę historię przez wiele godzin.

Gdy skończyła, potrzebował kilku minut, by zebrać myśli.

- Ale czemu Henri zamordował strażników? – zapytał w końcu cicho.

Zwróciła się do niego bokiem, założyła nogę na nogę. Wciąż opierała łokieć na stole; w drugiej ręce trzymała szklanekę.

- Nie miałam o tym pojęcia aż do czasu zakończenia wojny. Wojna była straszna dla Henriego. Jak ci mówiłam, bardzo się bał. Sądzę, że chciał udowodnić samemu sobie, że jednak nie jest wielkim tchórzem.

Pociągnęła niewielki łyk wina.

- Po wojnie dowiedziałam się też, że Antoine zdołał zbiec ze szkoły, ale Henriego złapano. Torturowano go, a może tylko zagrożono mu torturami, a gdy go puszczono i wrócił do Antoine'a, był już... odwrócony. Tak?

- Został podwójnym agentem.

- Właśnie. Dobił z nimi targu: jego i moje życie za informacje.

- Powiedziała pani, że na tej wojnie nie było targów - zauważył Tom cicho.

-I miałam rację. Niemcy zastrzelili Henriego jeszcze przed zakończeniem wojny, kiedy wydał im pilota i pomógł zdemaskować nowy szlak przerzutowy. Nie chciał im powiedzieć, gdzie się ukrywał pilot.

-Więc nigdy im pani nie wydał.

-Nie.

- Ale jednak panią aresztowano.

- Tak. Żeby mnie przesłuchać. Ale nie dostałam kary śmierci.

- Wysłano panią do Ravensbruck.

Źle słyszała na lewe ucho, więc gdy Tom do niej mówił, zawsze starała się obracać do niego prawą stroną.

- Nie. Tego dnia, o którym ci opowiadałam, załadowano mnie na ciężarówkę. Znalazłam się w ostatnim samochodzie konwoju i nagle się okazało, że coś jest z nim nie w porządku. Nie chciał zapalić. Wysadzono nas więc i zamknięto z powrotem w więzieniu w Antwerpii. Wówczas czułam się bardzo rozczarowana, ale potem zrozumiałam, że miałam szczęście. Zostałam w więzieniu jeszcze trzy miesiące, a potem zabrano nas na dworzec w Antwerpii, chciano nas deportować, ale nagle na stacji mnie i wszystkie inne kobiety puszczo wolno. Do dziś nie wiem dlaczego.

Tom rozglądał się po kuchni. Piec z lanego żelaza stał w nienaruszonym stanie, ale szafki i inne urządzenia były nowe, białe, wyraźnie europejskie; pasowały do siebie jak klocki wymyślnej układanki. Z czasów jego ojca została zapewne kamienna podłoga. Zastanawiał się, czy przypadkiem równie wiekowa nie jest tapeta widoczna zza białych szafek, na której widniały rozrzucone w pozornym nieładzie małe bukietki kwiatów. Na marmurowym kominku stał krucyfiks i dwa srebrne świeczniki.

Tom wodził dłonią po koronkowym obrusie. Nie był w stanie ukryć swej ciekawości. Uniósł koronkę i przesunął palcami po stole. Odsunął obrus jeszcze dalej - dębowy stół, poznaczony wieloma rysami.

Siedząca naprzeciw Claire Daussois znowu zwróciła się ku niemu, odstawiła szklanę, przytknęła do ust dłoń. Przyglądała mu się badawczo, zdawała się wazyć jakąś decyzję.

W końcu wstała.

- Czy chciałbyś poznać moją córkę?

Zrozumiał, że tak naprawdę to nie było pytanie. Podniósł się więc, a ona gestem zaprosiła, by poszedł za nią. Weszli do wąskiego korytarza, w którym panował mrok, Tom jednak zdołał dojrzeć elegancką tapetę ze scenami z życia miejskiego, krzyż na ścianie i płytką biblioteczkę wypełnioną zdjęciami w ramkach. Madame Daussois zatrzymała się w progu pokoju, cicho wypowiedziała jakieś imię, a potem dodała jeszcze kilka słów. Delikatnie otwarła na oścież drzwi. Oparła się o nie, zapraszając Toma, by wszedł do środka. Tom odwrócił się i spojrzał w głąb pokoju.

Siedząca tam kobieta miała rysy twarzy i oczy jego ojca. Podobieństwo było tak uderzające, że poczuł ukłucie bólu - jakby wpadł do obcego pokoju i zobaczył ojca wciąż żywego. Mimo woli zakrył usta dłonią.

Miała krótko ścięte włosy, lekko siwiejące w sposób typowy dla ciemnych blondynek. Siedziała na bujanym fotelu z rękami złożonymi na kolanach, a gdy spojrzała na niego, jej twarz rozplynęła się w słodkim, dziewczęcym uśmiechu – uśmiechu dziecka. Miała szczere, ufne spojrzenie oczu o niezwykłym kolorze, który Tom widział tylko u swojego ojca; te oczy w połączeniu z uśmiechem stwarzały atmosferę niezwykłego spokoju. Była ubrana w sweter i spodnie, a mimo to Tom nie mógł się oprzeć wrażeniu, że spowija ją jakiś szczególny kokon. Prawdopodobnie poczucie bezpieczeństwa sprawiało, że miała w sobie coś z mniszki.

- To moja córka, Charmaine. Charmaine... - zwracając się do niej, Claire wyraźnie podnosiła głos. - To jest Tom Brice.

Podszedł do siedzącej kobiety. W oknie obok migąły obrazy z telewizora. Charmaine wyciągnęła do niego dłoń. Mimo że siedziała, widział, że jest niemal tego samego wzrostu co on. Miała bladą, gładką twarz, nie-
tkniętą upływem czasu.

- *Bonjour* - powiedział.

Kobieta wyglądała na nieco zmieszaną.

- Charmaine nie mówi zbyt wiele - wtrąciła Claire, wciąż stojąc w drzwiach.

Trzymał jej dłoń dużo dłużej, niż powinien. Zdał sobie nagle sprawę, że przez całe jego życie ona była tutaj. Tutaj. W tym domu. Szybko obliczył, że ma czterdzieści dziewięć lat. Była trzy lata starsza od niego. Jego siostra. Jego przyrodnia siostra. Pochylił się i pocałował ją w policzek.

Zarumieniła się natychmiast i wstydliwie cofnęła rękę z jego uścisku. Jak dziecko przyłożyła płasko dłoń do policzka w miejscu, które ucałował. Wymruczała kilka słów, których nie zrozumiał, po czym spojrzała na matkę.

- Głodzili mnie w więzieniu - wyjaśniła Claire. – Gdy Charmaine była w moim łonie.

Tuż za Tomem stało krzesło. Postąpił dwa kroki w tył i usiadł ciężko. Charmaine znowu zwróciła się w stronę przyciszonego telewizora.

- Ja... - urwał, nie mogąc wydusić z siebie słowa.

- Tak - odparła Claire. - Wiem.

- Nigdy się nie dowiedział, że ma córkę.

- Po wojnie wszyscy chcieliśmy odsunąć od siebie te przeżycia najdalej jak można.

- Gdy ojca wyzwolono z obozu jenieckiego, nie był w stanie chodzić o własnych siłach, trzeba go było wynosić na noszach. Został natychmiast odesłany do Stanów.

Tom miał wrażenie, że to dla niego za wiele. Wiedział, że gdyby dopuścił do siebie tragizm tej całej sytuacji – dramat jego ojca, który nigdy się nie dowiedział, że ma jeszcze jedno dziecko - musiałby natychmiast wyjść z tego pokoju.

- Czy przez ten cały czas wiodła pani samotne życie? - zapytał w końcu.

- Och, nie - odparła szybko, opierając się o ścianę. Pokój był niewielki. Stała w nim wersalka, telewizor, lampa, wielka dębowa szafa i mały stolik, którego blat mógł pełnić także funkcję tacy. Na ścianie kolejny krucyfiks. - Oprócz Charmaine wychowywałam także chłopca, Jeana.

- Gdy spotkałem go dzisiaj na uroczystości, nie powiedział mi, że to on znalazł mojego ojca w lesie.

- O, nie. On by tego nigdy nie zrobił. To nie w jego stylu.

To było wspaniałe dziecko. Z przyjemnością go wychowywałam. Jego ojciec został rozstrzelany po wojnie, a matka wyprowadziła się z miasteczka. A ja w jakiś czas potem spotkałam mężczyznę, nauczyciela z Charleroi, i pobraliśmy się. W tym miesiącu byliśmy na wakacjach w Hiszpanii. Z początku nie zamierzałam iść na tę ceremonię. Mam wiele złych wspomnień z czasów wojny, poza tym w Delahaut wciąż żyją ludzie, którzy pamiętają, że Henri był zdrajcą. Ale w końcu zmieniłam zdanie. Bardzo chciałam zobaczyć odsłonięcie pomnika. I spotkać ciebie. Mój mąż wciąż jeszcze jest w Hiszpanii. Spojrzała na Toma, po czym spuściła wzrok.

- Mam coś dla ciebie - oznajmiła.

Wyszła z pokoju, by za chwilę powrócić z fotografią w srebrnej ramce.

To było zdjęcie jego ojca w białej koszuli i fatalnie zawiązanym krawacie. Jego „ucieczkowe zdjęcie”, pomyślał Tom.

- Zachowałam je - powiedziała Claire. - Niekiedy pokazuję je Charmaine i tłumaczę, że ten mężczyzna to jej ojciec. Nigdy nie ukrywałam przed nią prawdy. Ani przed nią, ani przed nikim innym.

Wyjęła zdjęcie z jego dłoni, odwróciła na drugą stronę, usunęła ramkę. Z tyłu znajdowała się jeszcze jedna fotografia. Wręczyła mu i to zdjęcie.

- Moja matka - wykrztusił ze zdziwieniem Tom. Claire prawie się uśmiechnęła, po czym skinęła głową.

- A więc się pobrali. Przypuszczałam, że tak się stało. Tom wbił wzrok w twarz kobiety ze zdjęcia - swojej matki.

Tak wyglądała przed pół wiekiem. Czy ojciec kiedykolwiek opowiedział jej o Claire Daussois? Czy sama się czegoś domyśliła?

- Kochali się? - zapytała Claire.

- Tak - odparł. - Jestem tego pewien. - Oddał jej fotografię. - W obozie złamali mu rękę. Po powrocie do Ameryki ojciec jeszcze przez jakiś czas latał na samolotach transportowych, a potem został instruktorem pilotażu na małym lotnisku w pobliżu naszego miasteczka. Trudno mu było jednak utrzymać tę pracę. Miał poważne kłopoty z płucami od czasu uwięzienia w obozie. Zmarł w 1960 roku na zapalenie płuc. Jego nazwi-

ska nie zostało nigdzie upamiętnione - poza tym miejscem. Claire przyciskała zdjęcia do piersi obiema rękami.

- Nigdy się nie dowiedziałam, czy twój ojciec wierzył, że to ja go zdradziłam. Bardzo mi zawsze było z tego powodu przykro.

- Jestem pewien, że nic podobnego nie przyszło mu do głowy - odparł Tom szybko.

Madame Daussois postąpiła krok w stronę drzwi. Było już późno, dochodziła północ, a tymczasem Tom wcale nie miał ochoty wyjść z tego pokoju.

- Zawsze miałem świadomość, że wojna odmieniła ojca, ale gdy umarł, byłem jeszcze dzieckiem, więc nie dowiedziałem się, co się naprawdę stało. Matka zmarła w roku 1979. Szczęście, że jakimś cudem zaproszenie udało się do mnie dotrzeć.

- Cieszę się.

- Czy jeszcze kiedyś będę mógł tu przyjechać? – zapytał Tom. - Zobaczyć się z... - kiwnął głową w stronę kobiety siedzącej na bujanym fotelu, która przez cały czas ich rozmowy nie odrywała oczu od telewizora. Wciąż nie potrafił się zdobyć na wypowiedzenie jej imienia.

- Oczywiście. Zawsze będziesz mile widzianym gościem.

Tom podniósł się z krzesła i podszedł do swojej przyrodniej siostry. Dotknął jej ramienia i pożegnał się. Spojrzała na niego i znów się uśmiechnęła, ale nie wypowiedziała ani słowa. Tom miał wielką ochotę ją pocałować, ale się nie odważył.

Tom i Claire wyszli z pokoju i zaczęli nieśmiało przesuwać się w stronę drzwi.

- Masz dzieci? - spytała.

- Tak. Dwóch synów. Ale jestem rozwiedziony.

- A czym się zajmujesz?

- Uczę angielskiego w gimnazjum, w rodzinnym miasteczku mojego ojca.

- Nie latasz samolotami?

- Nie.

- Następnym razem musisz zabrać ze sobą swoich chłopców. Charmaine jest ich ciotką.

Skinął głową.

- Och - rzuciła nagle. - O mało nie zapomniałam. Na samolocie twojego ojca był obrazek i nazwa „Woman's Home Companion”. Jak już ci mówiłam, po kraksie samolotu dużo słyszałam na temat tego obrazka. Twój ojciec obiecał, że mi powie, co tam było wymalowane, ale potem został aresztowany...

- „Woman's Home Companion” to nazwa popularnego w owych czasach tygodnika.

- Tak. A obrazek?

Jak miał to wytłumaczyć tej Belgijce? Gdy ojciec mu o tym opowiadał, on miał już dwanaście lat, a mimo to zarumienił się gwałtownie.

- Czy w ogóle widziała pani te obrazki malowane na nosach amerykańskich samolotów w czasie wojny?

- Tak. Widziałam. Przypominały kreskówki, prawda? Tyle że zazwyczaj były na nich dość skąpo ubrane kobiety.

- No, cóż. Tak. Ale na tym obrazku... - zamilkł, zastanawiając się, jak to ująć w słowa. - To było wyobrażenie męskiego...

Znów zamilkł.

- Och - rzuciła po chwili, orientując się w sytuacji.

- Bardzo wielkiego, męskiego...

- Ach, tak - skinęła głową. Wyglądała na lekko zszokowaną. - „Woman's Home Companion” - powtórzyła w zamyśleniu. A potem przyłożyła dłoń do ust i spojrzała mu w oczy. Wybuchnęła śmiechem. To był wspólny śmiech - wyrażający radość i zgorszenie zarazem. Rozjaśnił niezwykłym blaskiem jej twarz i Tom zrozumiał wówczas, jak bardzo była kiedyś piękna.

Sam też się roześmiał, ale tak naprawdę rozmyślał o tych wszystkich rzeczach, o których nie mogli opowiedzieć nam nasi ojcowie.